

Jan de la Brète.

# MÓJ WUJ I MÓJ PROBOSZCZ.

*Powieść uwieńczyła przez Akademię Francuską,*

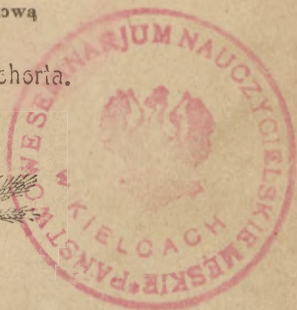
przekład

Instytut Seminarium Naucz. Męskie  
A. CALLIER,  
Żeromskiego w Kielcach

z przedmową

Z. Inr. II Nr. 799/398  
Juliana Mchorła.

*W*  
*962*



WARSZAWA.

DRUKARNIA

„Biblioteki Dzieł Wyborowych”

47. Nowy-Świat 47.

301377



132 909

840-3

840

499

Дозволено Цензурою.

Варшава, 23 Ноября 1899 года.

Kora - Absen - skawolyn.

## PRZEDMOWA.

---

Dajemy czytelnikom „Biblioteki” próbkę powieści, nagradzanych przez Akademię paryzką.

Stanowią one niejako odrębny dział we współczesnem powieściopisarstwie, rozstrzelonem na tyle różnych kierunków.

Dział ten, odbiegający zarówno od zmysłowo-mistycznych, jak i od ordynarnie-naturalistycznych produkcji dzisiejszej doby, zawiera utwory różnej wartości: niekiedy zbyt blado zarysowane, na tle małomieszczańskiego życia i filisterskich ideałów, ale niekiedy też pełne dowcipu i świeżości uczuć, tak pożądanej w epoce przeżycia i bankructwa specyficznie francuskiej powieści, z jej nieśmiertelnem wiarołomstwem, z jej płytkiem ślizganiem się po zagadnieniach małżeńskiej psychologii, lub niezdrowem przeżuwaniam kryminalnych przygód i okropności.

Powieść Bréte'a wybraliśmy jako najlepszą z nagrodzonych w ostatnich latach.

Zaleca ją nietylko wspomniana świeżość i czystość uczuć, nietylko głębsza, niż zazwyczaj, psychologia, ale i owa, niewątpliwie dodatnia, a niewątpliwie francuska cecha powieściopisarskiego talentu: lekkość, zręczność i jasna wytworność stylu.

„Mój wuj i mój proboszcz” cieszą się też wśród

publiczności czytającej po francusku niezwykłym powodzeniem, w ciągu bowiem lat dziesięciu, powieść ta miała *ośmdziesiąt* wydań!

Autor jej, Jan de la Bréte, należy do młodych; wydał jednak już cały szereg utworów, a mianowicie:

*L'imagination fait le reste* (8 wyd.).

*L'esprit souffle où il veut* (7 wyd.).

*Mon oncle et mon curé* (80 wyd.).

*Badinage* (11 wydań).

*Un vaincu* (12 wyd.)

*Le comte de Polen* (11 wyd.)

*Roman d'une croyante* (14 wyd.),

które, jak widzimy, wszystkie miały większą liczbę wydań.

Jest to autor wykwintny, a zarazem poważniejszy od wielu innych. Nie stworzył on nowego rodzaju powieści, ale dawny reprezentuje zaszczytnie.

Zresztą, co się tyczy owych prób stworzenia czegoś nowego, to w dzisiejszym ruchu „modernistycznym“ nie znaleźliśmy jeszcze nic takiego, coby istotną świeżością pomysłu okupywało dziwactwa formy i treści.

Zanim tedy nowe prądy skryształizują się w jakimś istotnie wybitnym i dojrzałym utworze, który moglibyśmy przedstawić czytelnikom „Biblioteki“, bez obawy posądzenia, że gonimy za sztucznie i nieogłędnie wymuszonym efektem — radzimy przeczytać „Wuja i Proboszcza.“

Jestto antyteza dzisiejszych wichrowatych symbolizmów i rozanielonych zmysłowości, ale antyteza taka, która przetrwa nie jeden nowy kierunek. Człowiek bowiem zawsze będzie potrzebował, obok podrażnienia imaginacji, także wytchnienia dla myśli i spokoju dla serca.

Julian Mohort.



## I.

Jestem tak małą, że możnaby mnie uważać za karlicę, gdyby nie doskonała proporcya głowy, nóg i rąk do całości mej postaci. Twarz moja ani jest wydłużoną nadmiernie, ani też śmiesznie szeroką, jak to bywa zazwyczaj u karłów i wogóle u wszystkich istot bezkształtnych, a zgrabności moich kończyn pozazdrościłaby mi niejedna z pięknych pań.

A jednak ten brak wzrostu nieraz już oblałam pokryjomu gorącemi łzami!

Pokryjomu, powiadam, bo lilipucie moje ciało mieściło duszę dumną, ambitną, niezdolną do okazywania własnej słabości pierwszemu lepszemu... a nadewszystko mojej ciotce. Takimi przynajmniej były moje poglądy w piętnastym roku życia.

Wypadki wszakże, zmartwienia, troski, doświadczenia życia jednym słowem, pokonały i złagodziły me jeden charakter twardszy i oporniejszy znacznie od mojego.

Ciotka moja była osobą najnieprzyjemniejszą, jaką znałam kiedykolwiek. Uważałam ją za nadzwyczaj brzydką, o ile umysł mój, który nic nie widział jeszcze i nie miał sposobności porównywania, mógł o tem sądzić. Twarz jej była kanciasta i pospolita, głos wrzaskliwy, chód ciężki, a postawa śmiesznie wysoka.

Przy niej wyglądałam jak mrówka. Ilekroć

do niej mówić mi przyszło, musiałam podnosić głowę tak wysoko, jak gdybym chciała przypatrzeć się wierzchołkowi topoli. Pochodzenie jej było plebejuszowskie, a na wzór wielu ludzi jej rasy ceniła nade wszystko siłę fizyczną, dla wątlej zaś mojej osłabki odczuwała wzgardę, przygniatającą mnie doszczętnie.

Organizm duchowy był wiernem odbiciem fizycznego. Nie było w nim nic, oprócz ostrych kantów, o które nieszczęśliwi, zmuszeni żyć z nią, rozbiłali sobie nosy codziennie.

Mój wuj, szlachcic wiejski, którego głupota stała się przysłowiową w całej okolicy, poślubił ją dzięki swej słabości umysłu i charakteru. Wkrótce po ożenieniu się umarł i nie poznałam go nigdy. Kiedy już umiała się zastanawiać, przypisywałam tę jego śmierć przedwczesną mej ciotce, która, jak mi się zdawało, zdolną była doprowadzić do grobu nie takiego jednego marnego szlachcica, ale co najmniej cały pułk mężów.

Miałam dwa lata, kiedy rodzice moi opuścili świat, pozostawivszy mnie na łasce losu, życia i rady familijnej. Z pięknego majątku pozostawili mi dość ładne jeszcze szczątki, coś około czterechkroć stu tysięcy franków w posiadłościach ziemskich, które przynosiły dochód przyzwoity.

Ciotka podjęła się wychować mnie. Nie lubiła wprowadzić dzieci, ale ponieważ mąż jej nieosobliwie zarządzał majątkiem, skutkiem czego była ubogą, z przyjemnością myślała o tem, że dostatek razem ze mną w dom jej zawita.

Jakiż to był dom szkaradny! wielki, zrujnowany, źle utrzymany; zbudowany pośrodku dziedzińca, pełnego stert gnoju, błota, kur i królików. Po za nim rozciągał się obszerny ogród, w którym bezładnie rozrastały się wszelkie rośliny, o które nie troszczył się zgoła nikt w świecie. Zdaje mi się, że jak zasięgnie pamięć ludzka, nikt nie widział ogrodnika, obcinającego w nim gałęzie, lub wrywającego ziel-

ska, rozrastające się swobodnie; ani zaś ciotce mojej, ani mnie nie przychodziło na myśl nim się zająć.

Ten las dziewiczy nosił nazwę Buisson. Leżał w głębi wioski, o pół mili od kościoła i wsi, złożonej z jakich dwudziestu chat. Na pięć mil dokoła nie było ni pałacu, ni zamku, ni dworu. Żyliśmy w najzupelniejszem odosobnieniu.

Ciotka moja wyjeżdżała czasami do C., miasteczka najbliższego położonego od naszego folwarku. Gorąco życzyłam sobie nieraz, żeby mnie kiedy tam z sobą wzięła, ale życzenie to nie ziściło się nigdy.

Jedynymi wydarzeniami naszego życia były przyjazdy dzierżawców, przywożących należności, lub pieniądze za czynsz i—wizyty proboszcza.

O! jakież to zacny człowiek był ten nasz proboszcz!

Przychodził trzy razy na tydzień do nas, podjąwszy się któregoś dnia w przystępie gorliwości, napychania w moją mózgownicę wszelkiego rodzaju znanych jemu umiejętności.

I spełniał też przyjęte na siebie zadanie z wytrwałością, aczkolwiek ja umiałam cierpliwieść jego na nielada wystawiać próby. Nie dlatego, żebym miała głowę zakutą, przeciwnie, uczyłam się wszystkiego z łatwością, ale dlatego, że próżniactwo było najulubieńszym z mych grzechów; kochałam je, kultywowałam, pieściłam naprzekór wymowie proboszcza i jego niezmqczonym usiłowaniam, podejmowanym w celu wyrwania z mojej duszy tego posiewu szatana.

A przytem — i kto wie, czy to nie był punkt najważniejszy — zdolność rozumowania rozwinęła się u mnie niezmiernie szybko. Zapuszczałam się zazwyczaj w dyskusye, które wyprowadzały proboszcza z równowagi; pozwalałam sobie na uwagi i oceny, które częstokroć drażniły, a nawet raniły najdroższe jego przekonania.

Prawdziwą przyjemnością było dla mnie sprze-

ciwiać mu się, przeczyć, drażnić, twierdzić coś wprost przeciwnego jego poglądom, upodobaniom, mniemaniom. To podniecało mi krew, utrzymywało umysł w stanie podbudzenia, tak, że i on doznawał tego samego uczucia i byłby głęboko zmartwiony, gdybym nagle wyrzekła się moich nawyknień przekornych i niezależności zapatrywań.

Ale nie miałam ku temu najmniejszego zamiaru; ilekroć bowiem zobaczyłam, że się kręci na krzesła, wicherzy włosy na głowie w rozpacz, maże sobie nos tabaką, zapominając o wszystkich regułach porządku, co zdarzało się tylko w wypadkach najpoważniejszych, wówczas uciecha moja nie miała granic.

Gdyby wszakże chodziło tu było o niego samego tylko, zdaje mi się, że czasami zdołałabym była oprzeć się demonowi kusicielskiemu. Ciotka moja powzięła smutny zwyczaj asystowania przy lekcjach, jakkolwiek nic a nic z nich nie rozumiała i poziewała przynajmniej z dziesięć razy w ciągu godziny.

Otóż wszelki opór, wówczas nawet, kiedy wstrętna jej osoba nie wchodziła w grę, doprowadzał ją do wściekłości, wściekłości tem większej, że nie śmiała nic mówić wobec proboszcza. A ten sam fakt, że ja podejmuję rozprawę, wydał jej się potwornością, obalającą wszelki porządek fizyczny i moralny. Nigdy, co prawda, nie napadałam wprost na nią, bo była grubiańską i lękałam się bicia. Ale już sam głos mój, jakkolwiek łagodny i harmonijny, o ile sobie pochlebiam, wywierał na jej nerwy słuchowe wpływ dziwnie nieszczęśliwy.

Zważywszy te okoliczności, łatwo zrozumieć, że niepodobieństwem było dla mnie, absolutnem niepodobieństwem, wyrzec się złośliwych uwag, doprowadzających do wściekłości moją ciotkę i udreczających proboszcza.

A jednak kochałam serdecznie tego biedne-

go proboszcza i wiedziałam, że mimo wszystkie moje dowodzenia cudaczne, dochodzące częstokroć do zuchwalstwa, był on do mnie najszczerzej przywiązanym. Nietylko byłam dla niego wybraną owieczką jego owczarni, ale jeszcze dziecięciem ukochanym, jego dziełem, dzieckiem jego serca i umysłu. W tej miłości iście ojcowskiej była pewna domieszka uwielbienia dla moich zdolności, moich słów i czynów wogóle.

Wziął on przyjęte na siebie zadanie prawdziwie do serca; poprzysiągł sobie, że mnie wykształci, że czuwać będzie nademną jak anioł opiekuńczy, mimo tej głowy upornej, mimo mej logiki i moich kaprysów. Zresztą zadanie to wkrótce stało się najmilszą dla niego sprawą w życiu, najwięcej wartą, jeśli nie jedyną rozrywką w jednostajnym jego istnieniu.

Czy to wśród deszczu, czy wśród wichru, śniegu, gradu, upału, zimna, burzy, pojawiał się proboszcz z sutanną podkasaną do kolan i z kapeluszem pod pachą. Nie wiem, czy w ciągu całego życia widziałam bodaj raz jeden kapelusz na jego głowie. Miał istną manię chodzenia z odkrytą głową, uśmiechając się do przechodniów, do ptaków, do drzew, do każdego niemal źdźbła trawy. Otyły i pękaty, zdał się formalnie odskakiwać od ziemi, po której dażył rzeskiemi kroki i do której zdał się przemawiać: „Dobrze jesteś i kocham cię!” Zadowolony był z tego, że żyje, zadowolony z siebie samego, ze wszystkich na świecie. Poczciwa twarz jego różowa i świeża, otoczona białymi włosami, przypominała mi zawsze te róże spóźnione, co kwitną jeszcze wtedy, gdy je pierwszy śnieg przypruszy.

Kiedy wchodził na dziedziniec, kury i króliki biegły na głos jego, rzucając się na okruszyny chleba, którego nie zapominał nigdy wsunąć do kieszeni, przed wyjściem z probostwa.

Piotrusia, dziewczka folwarczna, dażyła na jego

powitanie z ukłonem, potem Zuzanna, kucharka, śpieszyła otworzyć mu drzwi i wprowadzić do salonu, gdzie odbywały się nasze lekcye.

Ciotka, usadowiona w fotelu z wdziękiem pionochronu cokolwiek grubego, podnosiła się za jego nadejściem, witając i co prędzej przystępowała do litanii moich niecných postępków. Poczem, siadłszy za jednym zamachem, brała w rękę pończochę, kota faworyta na kolana i czekała, albo i nie czekała na sposobność powiedzenia mi czegoś nieprzyjemnego.

Zacny pleban słuchał cierpliwie tego głosu przenikliwego, od którego, zda się, pękały w uszach bębenki. Kurczył się, jak gdyby reprimanda przeznaczona była dla niego i groził mi palcem z półuśmiechem. Bogu dzięki, znał on moją ciotkę oddawna.

My siadaliśmy przy małym stoliku, który ustawiliśmy sobie niedaleko okna. Pozycya ta miała tę dwoistą korzyść, że trzymała nas w pewnem oddaleniu od ciotki, tronującej w pobliżu kominka, w głębi pokoju, a prócz tego pozwalała mi śledzić wzrokiem lot jaskółek i much, a zimą grę światła na śniegu i szronie, pokrywającym drzewa ogrodu.

Proboszcz kładł przy sobie na stole tabakierkę, kraciastą chustkę na poręczy fotelu i lekcya rozpoczęła się.

Skoro lenistwo moje nie było zbyt wielkiem, rzeczy szły jako tako, dopóki chodziło o poprawienie zadań; jakkolwiek bowiem były one o ile moności najkrótsze, niemniej zawsze bywały starannie odrobione. Pismo miałam porządne, a styl gładki. Proboszcz potrząsał głową z miną zadowolenia, raz po raz zażywał tabaki z zapalem i powtarzał na wszystkie tony: „Dobrze, bardzo dobrze!”

Przez ten czas ja liczyłam plamy, pokrywające jego sutannę, i rozmyślałam nad tem, jakby on też wyglądał, gdyby mu włożyć na głowę czarną perukę, obcisłe spodnie do kolan i czerwone aksamitne ubranie, jakie miał dziad mój na portrecie.

Myśl o proboszczu w obcisłych spodniach i peruce była dla mnie tak zabawną, że wybuchałam głośnym śmiechem. Wówczas ciotka wołała:

— Głuptas! waryatka!

I inne komplementy tego rodzaju, które miały ten przywilej, że były parlamentarnemi i dobitnemi zarazem.

Proboszcz patrzył na mnie z uśmiechem i powtarzał dwa lub trzy razy:

— Aj, młodość! ta piękna młodość!

Snaćwspomnienie własnej, a tak dawno minionej młodości wydzierało mu lekkie westchnienie z piersi.

Następnie przechodziliśmy do wydawania zadanych lekcyj, a wówczas rzeczy nie szły tak dobrze. Była to godzina krytyczna, czas pogadanki, osobistych opinij, dyskusyj, a czasem nawet i sporów

Proboszcz lubił niezmiernie postacie starożytnego świata, bohaterów, czyny niemal bajeczne, w których odwaga fizyczna odgrywała ważną rolę.

Dziwna to była predylekcyja, bo nie był on bynajmniej ulepiony z gliny, z której się tworzą bohaterowie.

Zauważyłam, że strasznie nie lubił wracać nocą do domu, a odkrycie to, jakkolwiek uczyniło mi go jeszcze droższym, bo sama byłam porządnym tchórzem, nie pozostawiło mi żadnego złudzenia na punkcie jego odwagi.

A potem dusza jego spokojna, lubiąca odpoczynek, rutynę, swe owieczki i ciało, które było jej siedliskiem, nigdy, przenigdy nie marzyła o męczeństwie. Widziałam jak bladł, o tyle przynajmniej, o ile pozwalały na to rumiane jego policzki, czytając opisy mąk, zadawanych pierwszym chrześcianom.

Uznawał, że to rzecz niesłychanie piękna wtargnąć do nieba jednym skokiem bohaterskim, ale sądził, że równie dobrze można było dążyć spokojnie ku wieczności bez zmęczenia i pośpiechu.

Nie miewał on tych porywów egzaltacji, które przejmują pragnieniem śmierci, byle tylko mózdz ujrzeć wcześniej Pana światów i czasów. O, bynajmniej! Zdecydowany był odejść bez szemrania, kiedy jego godzina nadejdzie, ale życzył sobie serdecznie, aby godzina ta nadeszła o ile można jak najpóźniej.

Wyznaję, że mój temperament, który nie odznacza się bynajmniej bohaterstwem, godził się w zupełności z tą moralnością łatwą i słodką.

Niemniej przeto mój proboszcz wielką wagę przywiązywał do swoich bohaterów; uwielbiał ich, podnosił, kochał o tyle więcej niezawodnie, o ile czuł, że w danym wypadku absolutnie nie byłby zdolnym ich naśladować.

Co do mnie, nie podzielałam ani jego upodobań, ani zachwytów. Czulałam stanowczą antypatyę do Greków i Rzymian. Jakąś niedocieczoną drogą pracy fantazyi doszłam do przekonania, że ci ostatni musieli być podobnymi do mojej ciotki... czy też, że ciotka była do nich podobną, jak kto woli — i od dnia, w którym zrobiłam to zestawienie, Rzymianie zostali osądzeni, skazani i straceni w moim umyśle.

Proboszcz jednak upierał się wciąż brodzić ze mną po niwach historyi rzymskiej, ja zaś upierałam się z mojej strony, żeby najmniejszego nie budziła ona we mnie zajęcia. Postacie republiki pozostawiały mnie całkiem chłodną, a cesarze macili się dziwnie w mojej głowie. Daremnie proboszcz wyrażał zachwyt swój okrzykami, daremnie gniewał się, dowodził, nic nie wzruszyło mojej obojętności i osobistych moich zapatrywań.

Tak naprzykład, opowiadając dzieje Mucyusza Scevoli, zakończyłam tak:

„Spalił sobie prawą rękę, aby ją ukarać za to, że się omyliła, co dowodzi, że był głupcem!“

Proboszcz, który poprzednio słuchał mnie z miłą zadowoloną, aż zerwał się oburzony.

— Głupcem, moja panno!... A to dlaczego?



— Ponieważ utrata ręki nie naprawiła jego omyłki—odpowiedziałam—ponieważ Porsena niemniej przeto był żywym, a sekretarz jego przez to nie był zdrowszym.

— Dobrze, moja mała; ale Porsena uląkł się o tyle, że odstąpił od obłączenia natychmiast.

— To dowodziłoby tylko, księżę proboszczu, że Porsena był tchórzem.

— Niech i tak będzie! Ale Rzym był oswobodzony, a dzięki komu? dzięki Scevoli, dzięki jego czynowi bohaterskiemu!

I proboszcz, który drżał na myśl, że mógłby sparzyć sobie koniec małego palca, tem więcej podziwiał Mucyusza Scewolę, unosił się, usiłując znaglić mnie do uznania owego bohatera.

— Ja obstaję przy tem, com powiedziała—odpowiadałam spokojnie—że to był po prostu tylko głupiec i to wielki głupiec.

Proboszczowi aż tchu zabrakło, gdy wołał:

— Już to kiedy dzieci zaczną rozumować, przychodzi ludziom niemało nasłuchać się niedorzeczności!

— Księżę proboszczu, uczyłeś mnie przed kilku dniami za ledwie, że rozum jest najcenniejszą z władz człowieka.

— Bezwątpienia, bezwątpienia, ale w takim tylko razie, jeśli się umie nim posługiwać. A przytem mówiłem o człowieku dojrzałym, a nie o małych dziewczynkach.

— Księżę proboszczu, mały ptaszek próbuje swych sił na krawędzi gniazdka.

Pocziwiec, cokolwiek zbity z tropu, wicherzył na głowie zaciekłe włosy, co mu nadawało podobieństwo do wilczej głowy, przysypanej białym pudrem.

— Źle robisz, moja mała, że się tak bardzo wdajesz w rozprawy — mawiał mi czasami — to grzech pychy. Mnie, co ci daję odpowiedź na twe

rozumowania, nie będziesz miała zawsze, a kiedy będziesz zmuszona rozprawić się z życiem, nauczysz się, że z niem nie ma dyskusyi, że mu uledez trzeba.

Ale co mnie tam obchodziło życie! Miałam proboszcza ku ćwiczeniu logiczności moich poglądów i to mi wystarczało.

Skoro już bardzo go nadrażniłam, nanudziłam, naprzekomarzałam się z nim, starał się przybrać wyraz twarzy surowy, ale wkrótce wyrzec się musiał tego zamiaru, usta jego bowiem, wiecznie uśmiechnięte, nie chciały żadną miarą być posłuszne.

Wówczas mawiał mi:

— Panno de Lavallo, przejdiesz sobie raz jeszcze dzieje rzymskich cesarzów i postarasz się o to, aby nie brać w przyszłości Tyberyusza za Wespazyana.

— Dajmy tym panom pokój, księżo proboszczu — odpowiadałam mu — oni mnie tak nudzą! Czy wiesz, księżo dobrodzieju, że gdybyś był żył za ich czasów, upiekliby cię żywcem na kracie albo wyrwali język i paznogie, lub poćwiertowali na drobne kawaleczki, jak mięso na pasztet.

Ten obraz ponury przejmował lekkim dreszczem proboszcza, który odchodził drobnymi kroczkami, nie racząc już zniżać się nawet do odpowiedzi.

Wiedziałam, że niezadowolenie jego doszło do szczytu, ilekroć zaczynał tytułować mnie panną de Lavallo. Ceremonialna ta nazwa była najżywszym tego objawem i wówczas miewałem wyrzuty sumienia aż do chwili, w której go zobaczyłam zjawiającego się ponownie z rozwianym włosiem i uśmiechem na ustach.

## II.

Ciotka pastwna się nademną, gdy byłam dzieckiem, i doszłam do takiej obawy bicia, że spełniałam posłusznie jej rozkazy.

Biła mnie jeszcze w dniu, w którym doszłam lat czternastu, ale było to po raz ostatni.

Zaczawszy od dnia tego, obfitującego dla mnie we wrazenia, mające wagę wypadków, bunt, co głucho wrzał w umyśle moim od kilku miesięcy, wybuchnął nagle i zmienił z gruntu moje postępowanie z ciotką.

W tym czasie proboszcz przechodził ze mną historię Francyi, którą, jak sobie pochlebiałam, znałam doskonale. To pewna, że pominąwszy luki i restrykcyę mego podręcznika, wiedza moja w tym kierunku posunięta była do możliwych granic.

Proboszcz otaczał królów swoich miłością posuniętą do czci, a jednak nie lubił Franciszka I-go. Antypatya ta była tem osobliwszą, że Franciszek I-y był przecież mężnym i pozostał popularnym. Ale proboszczowi nie przypadał on do serca, to też nie omijał nigdy sposobności krytykowania go; ja znów, powodowana duchem przekory, wybrałam go sobie za ulubieńca.

W dniu, o którym wspomniałam powyżej, miałam wydawać lekcję, odnoszącą się do tak milego mi króla. Rozmyślałam poprzedniego dnia już nad sposobem, w jaki mogłabym postać jego otoczyć blaskiem w oczach księdza. Na nieszczęście, mogłam tylko powtarzać wyrażenia mojej historii, opuszczając poglądy, oparte raczej na wrażeniu niż na rozumowaniu.

Od godziny już łamałam sobie głowę nad tem, gdy naraz świetna myśl mi zabłysła:

— A biblioteka! — zawołałam.

Natychmiast pędem przebiegłam długi kurytarz

i wtargnęłam, po raz pierwszy, do pokoju dość dużego, całkowicie obstawionego regałami, na których mieściły się książki, połączone z sobą gęstą tkanką nagromadzonej pajęczyny. Łączył się on z pokojami, które zamknięto po śmierci mego wuja na to, aby już nigdy do nich nie wchodzić; czuć tu było stęchliznę i brak powietrza tak bardzo, że omal tchu mi nie zabrakło. Otworzyłam coprędzej okno, bardzo małe, wychodzące na najdzikszy zakątek ogrodu, nie mające ani żaluzji, ani okienic; następnie przystąpiłam do poszukiwań. Ale jak tu odkryć Franciszka I pośród tak długich szeregów książek?

Już miałam dać za wygraną, kiedy na widok jednej małej książeczki wydałam okrzyk radości. Były to biografie królów francuskich aż do Henryka IV. Rycina dosyć dobra, przedstawiająca Franciszka I-go we wspaniałym kostymie Walezyuszów, dołączona była do jego biografii. Przypatrywałam się jej ze zdumieniem.

— Czy to podobna — mówiłam sobie zadziwiona — żeby istnieli na świecie tak piękni ludzie!

Biograf, nie podzielający bynajmniej antypatii proboszcza dla mego bohatera, wychwalał go bezwzględnie. Mówił z pełnem zapałem przekonaniem o jego piękności, o jego mężstwie, jego duchu rycerskim, o świetłej protekcji, jaką otaczał nauki i sztuki. Kończyła się kilku wierszami, dotyczącemi jego życia prywatnego, i z nich to dowiedziałam się tego, o czem nie wiedziałam dotąd, a mianowicie, że:

„Franciszek I-y prowadził życie wesołe i lubił niezmiernie kobiety. Nad inne przenoślił on jednak głównie i szczerze piękną panią Annę de Pisseleu, nadał jej hrabstwo d'Étamper, które podniósł następnie do godności księstwa, aby jej się stać wielce przyjemnym“.

Z tych kilku słów wyciągnęłam wnioski następujące: Po pierwsze, odkrywszy przed miesiącem, że istnienie moje było zbyt monotonnem, że brak mi

było wielu rzeczy, że posiadanie proboszcza, ciotki, kur i królików nie wystarczało bynajmniej do szczęścia, doszłam do przekonania, że Franciszek I, obie-  
 rając sobie życie wesole, będące oczywiście przeci-  
 wieństwem mojego, dał najlepszy dowód zdrowe-  
 go sądu.

Powtóre, że niezawodnie wyznawał on i wyko-  
 nywał świętą cnotę miłości bliźniego, głoszoną przez  
 mego proboszcza, skoro kochał tak bardzo kobiety.

Po trzecie, że Anna de Pisseleu była osobą  
 szczęśliwą i że ja chciałabym bardzo, aby jaki król  
 nadał mi hrabstwo, podniesione później do godności  
 księstwa, dla stania mi się „wielce przyjemnym“.

— Brawo! — zawołałam, rzucając książkę aż  
 pod sufit i chwytając ją natychmiast w powietrzu.—  
 Oto dowody, które pobijają proboszcza i nawrócą go  
 na moje przekonania.

Wieczorem odczytałam w łóżku całą biografię.

— Co to za zacny człowiek ten Franciszek I-y!—  
 mówiłam sobie. — Ale dlaczego autor wspomina tyl-  
 ko o jego uczuciach dla kobiet? Dlaczego nie dodał,  
 że kochał on także mężczyzn? Zresztą, szczerze  
 mówiąc, każdy ma swoje upodobania; gdybym jednak  
 miała sądzić o kobietach według mojej ciotki, zdaje  
 mi się, że zawsze dałabym pierwszeństwo mężczy-  
 zynom.

Potem przyszło mi na myśl, że biograf należał  
 do płci męskiej i pomyślałam, że niezawodnie uwa-  
 żał, iż grzeczniej będzie, uprzejmiej i skromniej, po-  
 minać milczeniem siebie i swój rodzaj.

I z tą myślą, w zupełności rozświecającą sy-  
 tuację, usnęłam.

Nazajutrz wstałam nadzwyczaj zadowolona.  
 Naprzód bowiem miałam już lat szesnaście; powtóre,  
 małe stworzonko, przeglądające się w lustrze, przy-  
 patrywało się twarzy, która nie budziła w niem by-  
 najmniej odrazy; potem dwa, czy trzy razy wykręci-

łam się na pięcie na myśl o zdumieniu proboszcza wobec nowych nabytków mojej wiedzy.

W niecierpliwości takiej siedziałam już od dość długiego czasu przy stoliku, kiedy wszedł różowy i uśmiechnięty.

Na jego widok serce trochę silniej mi zabiło, jak bije serce wodza w wigilię bitwy.

— Tak to, moja mała — powiedział, kiedy już poprawił wypracowania i skrzywił się cokolwiek na ich lakoniczność—przejdźmy teraz do Franciszka I-go i zbadajmy go wszechstronnie.

Rozsiadł się wygodnie na fotelu, ujął tabakierkę w jedną rękę, chustkę w drugą i patrząc na mnie z pod oka, przysposabiał się do podtrzymania dyskusyi, którą przeczuwał już z góry.

Przystąpiłam odrazu do tematu; rozruszałam się, ożywiłam, zaczęłam unosić zapalem; z oznaczalą mocno zalety, podnoszone w mojej hit oryi, poczem przeszłam do moich specjalnych wiadomości.

— A jaki to był zachwycający mężczyzna, księże proboszczu! Postawę miał majestatyczną, twarz szlachetną i piękną; brodę tak ładną, w klin przyciętą, i takie piękne oczy!

Zatrzymałam się na chwilę, żeby odetchnąć, proboszcz zaś, przestraszony, prostując się sztywnie, jak te dyabliki na sprężynkach, umieszczonych w pudełkach z tektury, zawołał:

— Zkąd zaczerpnęłaś, moja panno, wszystkich tych błazeństw?

— To już mój sekret — odpowiedziałam z lekким uśmieżkiem tajemniczym.

I paląc za sobą okręty, prawilał dalej:

— Nie wiem, księże proboszczu, co ci zrobił ten biedny Franciszek I-y! Czy wiesz, księże, że miał on zdrowy niezmiernie sąd o rzeczy? Prowadził życie wesołe i lubił nadzwyczajnie kobiety...

Wtedy już oczy proboszcza rozwarły się tak

szeroko, że aż zląkłam się, czy mu nie wyjdą z orbit. Krzyknął tylko:

— Przenajświętsza Matko, święty Michale! — i upuścił tabakierkę z takim łoskotem, że kot, drzemiący na fotelu, skoczył na ziemię z rozpaczliwym miauczeniem.

Ciotka moja, drzemiąca dotąd, zerwała się zbudzona, wołając:

— Szkaradny bydlaku!

Apostrofa ta skierowana była do mnie, nie do kota, jakkolwiek nie wiedziała zupełnie, o co chodzi. Epitet ten wszakże stanowił nieodmiennie wstęp i zakończenie wszelkiej przemowy.

Wprawdzie spodziewałam się, że wiadomości moje wywołają wielki efekt, jednakże wobec nadzwyczajnej istotnie fizyognomii proboszcza czułam się formalnie oszłomioną.

Wkrótce wszakże podjęłam w dalszym ciągu z niezmaconym spokojem:

— Osobliwie zaś kochał pewną piękną panią, której nadał na własność księstwo. Przyznaj, księżu proboszczu, że był on bardzo dobrym i że być na miejscu Anny de Pisseleu byłoby wielką przyjemnością.

— Matko Boska! — wyszeptał ksiądz gasnącym głosem — to dziecko jest chyba opętane!

— Co to się stało? — wrzasnęła moja ciotka, przekuwając warkocz jednym z drutów pończochy. — Wyrzuć ją ksiądz za drzwi, skoro sobie pozwala na nieprzyzwoitości.

— Moje dziecko — odezwał się ksiądz — zkądże to dowiedziałaś się tego wszystkiego, coś mi tu przed chwilą powiedziała?

— Z książki — odparłam lakonicznie, nie wspominając nic zgoła o bibliotece.

— I jakim sposobem możesz powtarzać takie bezceństwa?

— Bezceństwa! — zawołałam zgorszona. — Co

księżę proboszczu, więc uważasz za rzecz bezecną to, że Franciszek I-y był wspaniałomyślnym, hojnym i lubił kobiety? Więc ksiądz ich sam nie lubi?

— Co ona mówi? — ryknęła ciotka, która słuchając mnie uważnie od chwil kilku, wyciągnęła z mego pytania najokropniejsze wnioski. — Ty bezwstydnico!... czy...

— Cicho, kochana pani, cicho! — przerwał proboszcz, który, jak się zdawało, poczuł teraz wielką ulgę. — Pozwól mi rozmówić się z Regina. Zobaczymy, co widzisz tak chwalebne go w postępowaniu Franciszka I-go?

— Doprawdy, to przecież bardzo proste — odpowiedziałam tonem cokolwiek wzgardliwym na myśl, że proboszcz zaczyna widocznie się starzeć i trudniej już pojmuję. — Wszakże codziennie uczy mnie ksiądz proboszcz miłości bliźniego, a zdaje mi się, że Franciszek I-y w czyn wprowadzał ulubioną księdza zasadę: kochaj bliźniego jak siebie samego, dla miłości Boga.

Zaledwie skończyłam to zdanie, kiedy proboszcz, otarłszy sobie twarz, po której pot spływał grubemi kroplami, rozparł się w fotelu i złożywszy ręce na brzuchu, wybuchnął homerycznym śmiechem, który trwał tak długo, że aż ze złości i oburzenia łzy napłynęły mi do oczu.

— Doprawdy — zawołałam głosem drżącym — głupia byłam, że sobie zadawałam tyle trudu, żeby się dobrze przysposobić na lekcję i zmusić księdza do podziwiania zalet Franciszka I-go.

— Moja pocziwa, kochana dziecino — odezwał się wreszcie, przybierając napowrót powagę i używając nazwy ulubionej wtedy gdy był zadowolony ze mnie, co mnie zdziwiło bardzo — moja dobra dziecino, nie wiedziałem, że żywiesz takie uwielbienie dla ludzi, którzy wprowadzają w czyn cnotę miłości bliźniego.



— W każdym razie nie ma w tem przecież nic śmiesznego — odpowiedziałam nadąsana.

— Dajmy pokój, dajmy temu pokój, nie gniewajmy się już.

I proboszcz, zlekka uderzając mnie palcem po twarzy, skrócił na ten raz lekcję, powiedział mi, że przyjdzie znów jutro i poszedł skonfiskować klucz od biblioteki, którą znał dobrze, choć ja się tego nie domyślałam.

Jeszcze nie wyszedł z podwórza, kiedy ciotka rzuciła się na mnie i wstrząsając mną tak, że omal nie wyrwała mi ramienia ze stawu, wrzasnęła:

— Szkaradna sroko! coś ty powiedziała, coś zrobiła takiego, że aż proboszcz musiał wyjść ztąd tak wcześnie?

— Po co się gniewać — zapytałam — skoro ciocia nie wie nawet, o czem była mowa?

— A! ja nie wiem! alboż to nie słyszałam, coś mówiła do proboszcza, ty bezwstydnico?

Osądziwszy, że słowa nie wystarczały na wyłanie gniewu, dała mi policzek, zaczęła okładać z całej siły i wyrzuciła za drzwi, jak psiaka.

Uciekłam do swojego pokoju i zabarykadowałam drzwi za sobą. Pierwszem staraniem mojem było zdjąć suknię i stwierdzić naocznie w zwierciadle, że suche i chude palce ciotki pozostawiły ślady sińców na moich ramionach.

„Nikczemna niewolnico — mówiłam, pięść zaciśniętą ukazując mej podobiznie, odbitej w zwierciadle—dlugoż jeszcze znosić będziesz podobne rzeczy? Jakiegoż trzeba na to tchórzostwa, żeby dotąd jeszcze nie śmieć podnieść buntu!”

Gromiłam się tak surowo przez kilka minut, potem, skoro nastąpiła naturalna reakcja, upadłam na krzesło, płacząc gorzko.

„Czem zawiniłam—myślałam w duszy—aby się ze mną w ten sposób obchodzono? Wstrętne kobieta! A potem, dlaczego proboszcz miał dziś taką po-

cieszną jakąś minę, kiedy wydawałam przed nim lekcję?

I mimowolnie zaczęłam śmiać się, choć łzy spływały mi jeszcze po twarzy. Daremnie jednak zgłębiałam tę zagadkę, niepodobna mi było znaleźć żadną miarą jej rozwiązania.

Zbliżywszy się do otwartego okna, spoglądałam, smutnie nastrojona, w ogród i zaczynałam już odzykiwać krew zimną, kiedy wydało mi się, że poznaję głos ciotki, rozmawiającej w ogrodzie z Zuzanną. Wychyliłam się cokolwiek, ażeby mózdz lepiej przysłuchać się ich rozmowie.

— Źle pani robi—mówiła Zuzanna—mała już nie jest przecież dzieckiem. Jeśli się pani będzie tak pastwić nad nią, gotowa poskarżyć się panu de Pavol, który ją zabierze do siebie.

— Chciałabym to widzieć! Zkądże znów przyszedłby jej do głowy wuj? Toć ledwie wie o jego istnieniu.

— Ba! mała jest przebiegła! wystarczy jej chwilka zastanowienia, ażeby panią porzucić skoro się jej dasz we znaki, a razem z nią przepadną pani i jej piękne dochody.

— Ha, zobaczymy... nie będę jej już biła nigdy, ale...

Oddaliły się i nie dosłyszałam już końca tego frazesu.

Po obiedzie, przy którym się nie pojawiłam, poszłam poszukiwać Zuzanny.

Zuzanna była przyjaciółką mojej ciotki, zanim została jej kucharką. Kłóciły się obie dziesięć razy na dzień, ale jedna nie mogła się obejść bez drugiej. Trudno uwierzyć temu, co powiem, choć to szczerza prawda, ale Zuzanna kochała szczerze swoją panią.

Jeśli jednak przebaczała ciotce osobiście jej wzniesienie się na drabinie społecznej, niemniej przeto miała o fakt ten widocznie pretensję do reszty bliźnich, do okoliczności i życia, bo sarkała ustawi-

cznie. Miała ona fizyognomię odrażającą rozbójnika i nosiła stale spódniczki samodziałowe, krótkie i pływkie trzewiki, jakkolwiek nie chodziła nigdy do miasta sprzedawać mleka, a wyobraźnia jej nie wybiegała nigdy naprzód, jak u owej Piotrusi z bajki Lafontaine'a.

— Zuzanno—rzekłam, stając przed nią z miną zdecydowaną—więc ja jestem bogata?

— Kto panience powiedział takie głupstwo?

— To już do ciebie nie należy, moja kochana; żądam tylko, abyś mi odpowiedziała na to pytanie, oraz powiedziała, gdzie mieszka wój mój de Pavol.

— „Żądam, żądam,“ słowo daję, że dziś już nie ma na świecie dzieci! Daj sobie panna lepiej z tem spokój, bo ja nic nie wiem.

— Kłamiesz, Zuzanno, i zabraniam ci tak odpowiadać. Słyszałam wszystko, coś dziś mówiła do mojej ciotki.

— A no, to pocóż mnie pytać?

Zuzanna odwróciła się odemnie i nie chciała na nic już odpowiadać.

Powróciłam do swego pokoju, okropnie rozdrażniona, i długo jeszcze siedząc oparta u okna, brałam księżyc, gwiazdy i drzewa na świadki niewzruszonego mego postanowienia, że odtąd bić się już nie dam, że nie będę się bała ciotki i użyję wszystkich władz mego umysłu na to, aby się stać dla niej nieprzyjemną.

I rzucając listki obrywanego kwiatka, równocześnie rzucałam z wiatrem moją trwożliwość, małoduszność i nieśmiałość dotychczasową. Czulałam, że nie jestem już tą samą istotą i zasnęłam pocieszona.

W nocy śniło mi się, że ciotka moja, przeobrażona w smoka, walczyła z Franciszkiem I-ym, który rozrąbywał ją wielkim swym mieczem. Brał on mnie w objęcia i ulatywał ze mną w obłoki; w dole stał proboszcz, ścigający nas zrozpaczonem spojrze-

niem, i ocierał sobie twarz chustką w kraty. Potem wyciskał ją ze wszystkich sił, a pot wyciekał z niej strumieniami, jak gdyby ją był proboszcz poprzednio umaczał w rzece.

### III.

Nazajutrz, za ledwie zasiedliśmy przed stolikiem, proboszcz i ja, kiedy drzwi otwarły się z łoskotem i wpadła Piotrusia z czepeczkiem osuniętym na kark i wypchanemi słomą drewniakami w ręce.

— Cóż to, dom się pali, czy co? — spytała ciotka.

— Nie, proszę pani, ale jakiś dyabeł u nas broi, to pewne! Krowa wlała w jęczmień, co rośło tak ślicznie, trątuje wszystko i nie mogę ani raz jej zagnać, kapłony pouciekały na dach, a króliki są w ogrodzie warzywnym.

— W ogrodzie warzywnym! — krzyknęła ciotka, rzucając na mnie pełne zjadliwego gniewu spojrzenie, wyżej wymieniony ogród bowiem był miejscem świętem dla niej i jedynym przedmiotem jej miłości.

— Moje śliczne kapłony — zrzędziła Zuzanna, która uznała za właściwe pojawić się i dołączyć swój głos mrukliwy do wrzaskliwych tonów swej pani.

— A! smarkaczu! — wrzeszczała moja ciotka.

I puściła się w ślad za służbą, trzasnąwszy za sobą drzwiami z gniewem.

— Księżę proboszczu — odezwałam się natychmiast — czy sądzisz, że na świecie całym istnieje kobieta równie wstrętna, jak moja ciotka?

— No, no, moja mała, cóż to ma znów znaczyć?

— Czy wie ksiądz, co ona zrobiła wczoraj? Biła mnie?

— Biła! — powtórzył pleban niedowierzająco, tak

wydawało mu się niemożliwem, aby ktoś bodaj końcem palca dotknął istoty tak wątlej, jak ja.

— Tak, biła! a jeśli ksiądz temu nie wierzy, to mogę pokazać znaki tych razów.

I mówiąc to, zaczęłam rozpinąć suknię. Proboszcz patrzył przed siebie, zmieszany.

— To niepotrzebne, moje dziecko, niepotrzebne! wierzę ci na słowo—zawołał spiesznie z twarzą zarumienioną, spuszcżając skromnie oczy na końce swych butów.

— Bić mnie w dzień urodzin, i to kiedy skończyłam lat szesnaście!—mówiłam, zapinając napowrót stanik. — Wiesz, księżu proboszczu, że ja jej nienawidzę!

I uderzyłam w stół zaciśniętą pięścią, co mnie zabolalo porządnie.

— Patrzenie, patrzenie—mówił proboszcz szczerze wzruszony — uspokój się, kochana moja dziecinko, i opowiedz mi, co to takiego zrobiłaś.

— Nic nie zrobiłam! Skoro ksiądz wyszedł, ona nazwała mnie bezwstydnicą i rzuciła się na mnie jak furja. Ohydna kobieta!

— Daj pokój, Reginko, daj pokój, wiesz przecie, że trzeba wybaczać urazy.

— A! jeszcze czego! — zawołałam, odsuwając gwałtownie krzesło i przechadzając się wielkimi krokami po salonie — nie przebaczę jej nigdy, przenigdy!

I proboszcz wstał również i zaczął przechadzać się w przeciwnym kierunku, tak, że dalej prowadziliśmy rozmowę, mijając się z sobą bezustannie, jak ludożerca i maleńki Paluszkiewicz, kiedy tenże ukradł jeden z siedmiomilowych butów i kiedy to potwór ów go ściga.

— Trzeba upamiętać się, Reginko, i przyjąć to upokorzenie, jako pokutę za popełnione grzechy.

— Za moje grzechy! zawołałam, zatrzymując się i wzruszając zlekka ramionami; — dobrze wiesz,

księżę proboszczu, że są one tak małe, tak małe, że i mówić o nich nie warto.

— Doprawdy! — mówił proboszcz, który nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.—W takim razie, skoro jesteś tak świętą, znieś te wszystkie przykrości z pokorą dla miłości Boga.

— O! co nie, to nie! — odpowiedziałam tonem bardzo stanowczym.—Pragnę kochać Pana Boga cokolwiek... nie zbytecznie — nie marszcz brwi, księżę proboszczu — ale wyobrażam sobie, że zbyt on mnie kocha, aby mógł być zadowolony, kiedy widzi, jak jestem nieszczęśliwą.

— Co to za głowa!—zawołał pleban. — I to ja tak ją wykształciłem!

— Koniec końców — ciągnęłam, puszczając się w ruch napowrót — pragnę się zemścić i zemścić się.

— Reginko, to bardzo źle. Milcz teraz i posłuchaj mnie.

— Zemsta jest rozkoszą bogów — odpowiedziałam, skoczywszy, aby pochwycić wielką muchę, która unosiła się nad moją głową.

— Mówmy poważnie, moja mała.

— Ależ ja mówię całkiem poważnie—rzekłam, zatrzymując się na chwilę przed lustrem, aby stwierdzić z pewnem zadowoleniem, że z takim ożywieniem jest mi bardzo do twarzy. — Zobaczysz, księżę proboszczu! wezmę szablę i zetnę głowę ciotce, jak Judyta Holofernesowi!

— To dziecko jest szalone!—zawołał proboszcz z miną zrozpaczoną.—Stójże przez chwilę spokojnie, moja panno, i nie gadaj głupstw.

— Niech i tak będzie, księżę dobrodzieju, ale przyznaj, że Judyta nie warta była i złamanego szeląga?

Pleban oparł się o gzems kominka i delikatnie wciągnął w dziurki nosowe niuch tabaki.

— Pozwól, moja mała; to zależy od punktu widzenia, z jakiego się na to będziemy zapatrywali.

— Jakże w tem zdaniu mało logiki! — odrzekłam.—Podziwia ksiądz czyn Judyty dlatego, że nim wyswobodziła kilku przewrotnych izraelitów, którzy z pewnością nie byli tyle, co ja warci, i którzy nie powinni by chyba zajmować księdza, boć oddawna już pomarli i zostali pogrzebani!... a uważałby ksiądz czyn taki za coś bardzo złego, gdybym go spełniła dla mego własnego wyswobodzenia! A przecież, Bóg widzi, że ja jestem żywa, żywiuteńka! — dodałam, wykręcając się kilka razy na pięcie dokoła.

— Dobrze masz wyobrażenie o sobie samej — odparł proboszcz, starając się przybrać surową minę.

— Ach! doskonałe!

— No, a czy nie zechciałabyś mnie teraz posłuchać?

— Jestem pewna — mówiłam dalej, prowadząc me dowodzenie — że Holofernes był nieskończenie przyjemniejszy od mojej ciotki i że byłabym z nim porozumieć się mogła wybornie. Z tego wynika, że nie pojmuję, coby mi miało przeszkadzać w naśladowaniu Judyty.

— Regino! — krzyknął ksiądz, tupiąc nogą.

— Kochany mój proboszczu, nie gniewaj się, proszę; możesz się uspokoić, ciotki mojej nie zabiję, mam inny sposób pomszczenia się na niej.

— Opowiedz mi to — rzekł zacny ksiądz, już ułagodzony, siadając na kanapie.

Siadłam obok niego.

— Oto tak! Słyszał ksiądz zapewne nieraz o moim wuju, de Pavol?

— Oczywiście; mieszka on w pobliżu V...

— Bardzo dobrze. Jak się nazywa jego posiadłość?

— Pavol.

— W takim razie gdybym zaadresowała list

mój do zamku Pavol pod miastem V... list ten doszedłby na pewno?

— Bezwątpienia.

— A zatem, księże proboszczu, znalazłam sobie zemstę. Wiadomo księdzu zapewne, że skoro ciotka moja mnie nie lubi, to lubi natomiast tem więcej moje pieniądze.

— Ależ, moje dziecko, zkadże się o tem dowiedziałas?—spytał mnie proboszcz zdumiały.

— Słyszałam, jak to mówiła sama, zatem pewną jestem tego, co tu twierdzę. Lęka się ona nadewszystko, abym się nie poskarżyła panu de Pavol na jej postępowanie i abym nie poprosiła go, ażeby mnie zabrał do siebie. Zamierzam więc pogrozić jej, że napiszę do wuja; a nie mówię przez to jeszcze — ciągnęłam dalej po chwili zastanowienia—abym tego nie miała zrobić teraz lub później.

— No, to dosyć niewinna zemsta—odrzekł zadowolony proboszcz, uśmiechając się.

— A widzi ksiądz!—zawołałam klaskając w ręce—że i ksiądz przyznaje mi rację!

— Tak, do pewnego wszakże stopnia, moja mała, bo jasna rzecz, że bić cię tu nie powinni, ale nie należy ci być zuchwałą. Nie używaj swej broni inaczej, jak tylko w razie obrony słusznej, i pamiętaj o tem, że jeśli ciotka twoja nie jest bez wad, niemniej przeto należy ci ją szanować i nie należy być względem niej wyzywającą.

Zrobiłam minkę znaczącą.

— Nie przyrzekam ci, księże proboszczu, nie... albo raczej, jeśli mam być szczerą, przyrzekam, że postępować będę zupełnie wbrew temu, czego ode mnie żądasz.

— Ależ to prawdziwy bunt!... Nareszcie pogniewam się na ciebie, Reginko.

— To więcej niż bunt—odparłam całkiem poważnie—to rewolucya.

— Przyjdzie mi stracić przez nią cierpliwość



i życie — mruknał proboszcz. — Panno de Lavallo, zrób mi tę przyjemność i racz się poddać mojej władzy.

— Posłuchaj, księże dobrodzieju—podjęłam pieśczośliwym tonem—kocham cię z całego serca, więcej nawet, w całym świecie ty jesteś jedyną osobą, którą kocham.

Twarz proboszcza zajaśniała zadowoleniem.

— Ale nienawidzę, brzydzę się moją ciotką; uczucia moje nie zmieniają się nigdy pod tym względem. Jestem bez porównania rozumniejszą od niej...

Tu proboszcz, którego twarz sposepniała znów, przerwał mi żywym okrzykiem.

— Nie protestuj, księże — ciągnęłam dalej, patrząc nań z pod oka — dobrze wiesz, że jesteś tego samego, co ja zdania.

— Co to za wychowanie, co za wychowanie! — mrucał ksiądz z ubolewaniem.

— Księże proboszczu, zbawienie moje nie jest w niebezpieczeństwie, bądź spokojny; spotkamy się z sobą z pewnością kiedyś w niebie. Mówię zatem dalej: będąc nieskończenie rozumniejszą od ciotki, nie będę potrzebowała żadnego wysiłku na to, aby ją dręczyć słowami. Wczoraj wieczorem przyrzekłam samej sobie, że stanę się bardzo nieprzyjemną. Wzięłam księżyc i gwiazdy na świadków tej mojej przysięgi.

— Moje dziecko — przemówił do mnie proboszcz poważnie—nie chcesz mnie słuchać i będziesz tego żalowała.

— No, to zobaczymy dopiero!... Słyszę ciotkę, wściekła jest, bo to ja wypuściłam krowę, króliki i kapłony, a wypuściłam dlatego, ażebym mogła zostać tu sama z księdzem. Daj jej porządną burę, księże proboszczu; zapewniam, że biła mnie bardzo mocno, mam czarne znaki po tych razach na ramionach.

Ciotka wpadła jak huragan, a proboszcz, oszolo-

miony kompletnie, nie miał już czasu mi odpowiedzieć.

— Regino, chodź tu!—krzyczała z twarzą purpurową od gniewu i długiej zapewne bieganiny za królikami.

Złożyłam jej ukłon wielce ceremonialny.

— Pozostawiam panią z księdzem proboszczem — rzekłam, zwracając ku memu sojusznikowi porozumiewające spojrzenie.

Na szczęście, okno było otwarte.

Skoczyłam na krzesło, ztamtąd na parapet okna i zsunęłam się do ogrodu, ku wielkiemu zdumieniu ciotki, która ustawiła się przed drzwiami, aby mi odciąć odwrót.

Wyznaję, że udalam, iż uciekam, w rzeczywistości zaś ukryłam się za krzakiem lauru i z prawdziwym napadem uciechy nieporównanej wysłuchałam wymówek proboszcza i wybuchów wściekłych ciotki.

Wieczorem, przy obiedzie, miała ona pełną wdzięku minę dogą, któremu odebrano kość.

Burczała na Zuzannę, która dawała jej ze swojej strony porządną znów odprawę, dręczyła ulubionego kota, rzucała srebrem o stół, wyprawiając ogromny hałas; nakoniec, rozjątrzona do najwyższego stopnia moją miną niewzruszoną i drwiącą, wzięła karafkę ze stołu i wyrzuciła ją za okno.

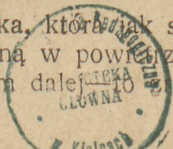
Natychmiast pochwyciłam półmisek ryżu, którego nie spróbowała jeszcze, i rzuciłam go w ślad za karafką.

— Nędzny bydlaku! — ryknęła ciotka, rzucając się na mnie.

— Proszę się nie zbliżać—rzekłam cofając się— jeśli mnie pani dotkniesz, dziś jeszcze napiszę do mego wuja Pavol.

— Ach!... — zawołała ciotka, która jak skamieniała pozostała z ręką podniesioną w powietrzu.

— Jeśli nie dziś—ciągnęłam dalej— to sobie to



jutro lub za dni kilka, bo nie zniosę tego, żeby mnie bito.

— Wuj nie uwierzy ci!—krzyknęła ciotka.

— O! dlaczegóżby nie! uwierzy z pewnością! Palce cioci pozostawiły ślady na moich ramionach. Wiem zresztą, że jest on bardzo dobry, i odjadę z nim.

Nie miałam, to pewna, najmniejszego pojęcia o charakterze mego wuja, kiedy go bowiem widziałam po raz pierwszy i ostatni w życiu, miałam zaledwie sześć lat. Ale zdawało mi się, że powinnam udawać, że wiem o nim bardzo wiele i że tym sposobem daję dowód wielkiej dyplomacyi.

Wysłałam majestatycznie, pozostawiając ciotkę, wylewającą swe uczucia na łono Zuzanny.

#### IV.

Wojna była wypowiedzianą i odtąd spędzałam czas na podjazdowej walce z panią de Lavallo. Dawniej zaledwie śmiałam otworzyć wobec niej usta, chyba wówczas, gdy proboszcz był z nami; kazała mi bowiem zawsze milczeć, zanim jeszcze skończyłam rozpoczęte zdanie.

Przyznaję się, że ten rodzaj postępowania był dla mnie szczególnie przykrym, bo z natury jestem nadzwyczajnie gadatliwa. Brak ten możności wygadania się wprawdzie mogłam sobie powetować z proboszczem, była ta jednak bezwarunkowo niedostateczna sposobność; to też nabrałam zwyczaju mówienia głośno z sobą samą. Często, stanąwszy przed zwierciadłem, prowadziłam całemi godzinami rozmowy z odbiciem własnej mej postaci...

Kochane lustro moje! wierny przyjacielu! powierniku najskrytszych moich myśli!

Nie wiem, czy ludzie zastanawiali się kiedykolwiek poważnie nad wpływem niezmiernym, jaki dro-

bny ten sprzęt wywierać może na umysł człowieka. Proszę zwrócić uwagę, że nie określam płci tego umysłu, będąc przekonaną, że indywidua brodate niemniej zamięłowane są w przyjemności studyowania swych zewnętrznych zalet.

Gdybym pisała filozoficzne dzieła, kwestyę tę zawarłabym w osobnym traktacie: „O wpływie lustra na inteligencyę i serce człowieka.“

Nie przeczę, że traktat ten byłby może jedynym w swoim rodzaju, że nie byłby podobnym w niczem do tej filozofii, w której Kant, Fichte, Schelling etc.... brodzili przez całe życie ku większej swej sławie i szczęściu potomności, co ich czyta z tem żywszem zadowoleniem, im mniej ich zrozumieć jest zdolną. Nie, mój traktat nie wstąpiłby w ślady prac tych panów: byłby jasny, zwięzły, praktyczny, z pewną przymieszką uszczypliwości i trzebaby chyba zbyt daleko posuwać ducha kontrowania, by nie przyznać, że własności te nie są bynajmniej zaletami wyżej wspomnianych filozofów. Czując wszakże, iż inteligencya moja nie jest dostatecznie dojrzałą do tego dzieła, poprzestaję na zachowaniu dla mego zwierciadła serdecznej życzliwości i przeglądaniu się w niem codziennie bardzo długo przez szczerą, ma się rozumieć, wdzięczność.

Wiem dobrze, że wobec tej rewelacyi, niektóre umysły zgryźliwe, co widzą wszystko w czarnych barwach, gotowe są utrzymywać, że kokieterya gra niemalą rolę w uczuciu, którego, jak twierdzą, doznają względem mego zwierciadła.

Boże mój! Nikt przecież nie jest doskonałością! I zważ, piękny czytelniku, że jeśli jesteś człowiekiem dobrej wiary, co znów nie jest tak absolutnie pewną rzeczą, przyznać musisz, iż interes osobisty, że nie użyję tutaj dobitniejszego słowa, zajmuje pierwsze miejsce w większej części własnych twych uczuć.

Wracając do poprzednio podjętego przedmiotu,

powiem, że zerwawszy zupełnie z dawną moją lękliwością, nie starałam się już bynajmniej poskramiać wrodzonej gadatliwości wobec ciotki. Nie przeszedł ani jeden obiad lub kolacya, żebyśmy nie miały z sobą dyskusyi, grożącej przerodzeniem się w burzę.

Jakkolwiek nie wiedziałam nic jeszcze o jej pochodzeniu, wkrótce odkryłam, że nie posiada najmniejszego wykształcenia i że drażni ją to niestychanie, ilekroć twierdzenia moje opieram na własnej mojej nauce lub nauce proboszcza. Zresztą nie ważyłam się nigdy, skoro zachodziła potrzeba popierania cytatai faktów historycznych i poglądów, poczerpniętych z własnego mózgu. Na nieszczęście, niepodobieństwem było dla mnie walczyć z doświadczeniem osobistem mojej ciotki, a ilekroć zaczęła twierdzić wobec mnie, że to lub owo tak lub inaczej działo się na świecie, że mężczyźni byli wszyscy samochwalcami, narzędziami szatana i t. p., dusiła mnie wściekłość, bo nie mogłam nic odpowiedzieć. Miałam na tyle zdrowego rozsądku, ażeby zrozumieć, że osoby, z któremi żyłam, mogły za ledwie bardzo niedokładne dać mi o rodzaju ludzkim wyobrażenie.

Proboszcz co niedzielę przychodził do nas na obiad. Miał on zapewne utajone powody, dla których nigdy wobec mnie nie chwalił króla wszechstworzenia—z wyjątkiem chyba, gdy chodziło o ulubionych dlań bohaterów starożytnych, których przedsiębiorczego ducha nie potrzebował się już obawiać. To też bardzo słabą za ledwie stawiał opozycyę twierdzeniu mej ciotki.

Obiad niedzielny składał się nieodmiennie z kapłona lub kurcząt, z sałaty z jajami na twardo i mleka zsiadłego, skoro była po temu pora. Proboszcz, który w domu jadał dość lichy i którego podniebienie umiało ocenić kuchnię Zuzanny, przybywał zwykle zacierając ręce i wołając już z góry, że jest zgłodniały.

Siadaliśmy natychmiast do stołu, a początek rozmowy był niemniej niezmiennym, jak skład obiadu.

— Ładną dziś mamy pogodę — mówiła ciotka, której sakramentalny frazes, w razie deszczu, zmienił tylko przymiotnik.

— Prześliczna pogoda! — odpowiadał proboszcz wesolo. — Aż miło spacerować w tem słońcu!

Gdyby był padał deszcz, śnieg, grad, kamienie lub siarka, proboszcz byłby również wyraził swe zadowolenie, bądź to rozwodząc się nad przyjemnościami zacisznego pokoju, bądź śpiewając hymny pochwalne na cześć jasnego ognia na kominku.

— Ale mimo to nie jest wcale gorąco — podejmowała znów ciotka. — Zdumiewające, doprawdy! Za moich czasów na Wielkanoc nosiło się już białe suknie.

— Czyżby cioci było do twarzy w białej sukni? — pytałam żywo.

Moja ciotka, która przeczuwała jakąś impertynencyę, piorunowała mnie wprzód spojrzeniem zapobiegawczem, zanim odpowiedziała:

— Oczywiście, było mi do twarzy.

— O! — wołałam tonem, który nie pozostawiał już żadnej wątpliwości co do mego wewnętrznego przekonania.

— Za moich czasów — utrzymywała dalej ciotka — młode panienki odzywały się wówczas tylko, kiedy je o co pytano.

— Więc ciocia nie mówiła wcale za czasów swej młodości?

— Kiedy mnie spytano, po za tem nie.

— Czy wszystkie młode dziewczyny podobne były do cioci?

— Z pewnością, moja siostrzenico.

— Jakież okropne to musiały być czasy! — wzdychałam, wznosząc w niebo oczy.

Proboszcz spoglądał na mnie z wyrzutem,

a oczy pani de Lavallo zaczynały błąkać się kolejno po różnych przedmiotach, na stole ustawionych, z widoczną pokusą rzucenia którego z nich na moją głowę.

Rozmowa, doszedłszy do tego punktu... zaostrzonego, urywała się nagle, aż do chwili, w której gorzkie uczucia ciotki mojej, tłumione wysiłkiem woli, wybuchały odrazu jak maszyna, poddana zbyt silnej presji. Wylewała wówczas gniew swój na świat cały. Mężczyźni, kobiety, dzieci, wszystko przejść musiało przez jej chłostę, wszystkiemu się dostało. Z tych biednych mężczyzn, pod koniec obiadu, pozostawała istna mieszanina, nie kości i ciała, ale potworów wszelkiego rodzaju.

— Mężczyźni nie warci są złamanego grosza— mówiła moja ciotka właściwym sobie harmonijnym tonem.

Proboszcz, który miał przykrą przyjemność, że nie był bynajmniej kobietą, schylał głowę i zdawał się być pełnym skruchy.

— Co to za łotry! fanfarony! samochwalcy — mówiła dalej, rzucając na mnie wściekłe spojrzenia, jak gdybym to ja należała do wspomnianego rodzaju.

— Hm!—odpowiadał proboszcz.

— To istoty, które nie myślą o niczem więcej, tylko o używaniu i jedzeniu!—ciągnęła dalej ciotka, której serce dręczyło wciąż ubóstwo, pozostawione jej w spadku przez męża.—To prawdziwi służalcy szatana!

— Hm! hm! — mruzczał znów proboszcz, wstrząsając głową.

— Księżę proboszczu—wołałam zniecierpliwiona—przyznasz, że „hm!“ nie jest zbyt silnym argumentem.

— Pozwól, pozwól—odpowiadał zacny księżyna, któremu przerywano spokojne spożywanie obiadu; — zdaje mi się, że pani de Lavallo mimowolnie

wypowiada więcej, niż wistocie mniema, używając tego wyrażenia: służalcy szatana. Ale to w każdym razie rzecz pewna, że wielu mężczyzn nie zasługuje zupełnie na zaufanie.

— Ksiądz widać podobnie do Franciszka I-ego woli kobiety?—mówiłam z minką skromniutką.

-- Do kata!—wołała moja ciotka, która zastępowała niektóre zbyt dosadne wykrzykniki tem wyrażeniem, zapożyczonem od męża, a uchodzącem w jej oczach za wielce arystokratyczne;—do kata, milcz, głupia!

Ale proboszcz dawał jej znak tajemniczy i szlachetna matrona zagryzała tylko usta.

— A pańscy bohaterowie, księżę proboszczu? a owi Grecy? a owi Rzymianie?

— O! dzisiejsi mężczyźni w niczem nie są podobni do owych dawnych—mówił proboszcz, głęboko przekonany, że wypowiada wielką prawdę.

— A księża?—zarzucałam.

— Księża nie wchodzi tu w rachunek zupełnie—odpowiadał z poczciwym uśmiechem.

Ten rodzaj rozmowy, pełen domyslników, posiadał przywilej drażnienia mnie niepomiernie. Miałam świadomość, że cały świat wyobrażeń i uczuć, który zresztą prędej, czy później odkryć muszę, zamkniętym jest przedemną. Wątpiłam, by sąd, wydany przez ciotkę moją o ludzkości, był słusznym bezwzględnie, ale rozumiałam to dobrze, że jest wiele rzeczy mnie nieznanych i że groziło mi długie jeszcze pleśnienie w tej nieświadomości.

Pewnego ranka, kiedy ubolewałam tak w duchu nad opłakaną tą sytuacją, przyszła mi myśl zasięgnięcia w tej mierze wiadomości od trzech osób, które miałam możliwość widywania codziennie: Jana, dzierzawcy, Piotrusi i Zuzanny.

Ponieważ ta ostatnia przebywała czas jakiś w C.,, uznałam, że sąd jej powinien być ugruntowa-



ny na doświadczeniu niepomierne i zachowałam ją sobie na sam ostatek.

Otuliwszy się w płaszczyk, wzięłam na nogi saboty i puściłam się ku folwarkowi, leżącemu o kilometr od naszego domu.

Brodząc po błocie, utykając co chwila, dotarłam do Jana, zajętego czyszczeniem wozu.

— Dzień dobry, Janie.

— Dzień dobry, panienco! — odezwał się Jan, zdejmując wełnianą czapkę, co sprawiło, że włosy podniosły mu się jak druty do góry. Była to właściwość ich usposobienia, skoro tylko nie były podane jakiemu naciskowi.

— Przyszłam zapytać się was o rzecz bardzo, bardzo ważną—zagadnęłam, kładąc z umysłu nacisk na przysłówek, aby obudzić jego inteligencyę, która, jak wiedziałam z doświadczenia, zwykła go odbiegać, ilekroć mu się stawiało jakie zapytanie.

— Do usług, panienko.

— Ciotka moja powiada, że wszyscy mężczyźni są samochwalcami i fanfaronami. Jakie jest wasze zdanie pod tym względem?

— Samochwalcami — powtórzył Jan, wytrzeszczając oczy, jak gdyby zobaczył przed sobą potwora.

— Tak, ale to jest zdanie mojej ciotki, a ja chciałabym dowiedzieć się, jakie jest wasze.

— Ha! może to i tak być rzeczywiście!

— Ależ to nie jest przecież żadnem zdaniem, co tu mówicie, Janie! Powiedzcież, czy zdaje się wam, że mężczyźni wogóle są samochwalcami i fanfaronami: tak, czy nie?

Jan oparł nos wskazującym palcem prawej ręki, co jest, jak wiadomo, oznaką głębokiego namysłu.

Zastanowiwszy się tak przez dobrą minutę, dał mi następną odpowiedź jasną i stanowczą:

— Słuchaj panienko, powiem to zaraz! może to ono tak być, ale może też, że tak i nie jest.

— Głupiec!—rzekłam oburzona takim fenomenalnym okazem głupoty.

Szeroko rozwarł oczy, otworzył usta, rozwarł ręce, byłby otworzył całą swoją osobę, gdyby to możebnem było, ażeby lepiej okazać zdumienie, jakiem go przejął ten komplement.

Powróciłam na dziedziniec w Buisson, przeliniując błoto, saboty, Jana i siebie samą.

— Piotrusiu—zawołałam—chodź-no tu!

Piotrusia, zajęta myciem donic od mleka, przybiegła natychmiast, z garścią pokryw w ręce, z obnażonemi ramionami, z twarzą czerwoną jak bursztówka i czepeczkiem, swoim zwyczajem zsuniętym na tył głowy.

— Jakie jest twoje zdanie o mężczyznach? — spytałam bez wszelkich wstępów.

— O męż...

I Piotrusia, która z bursztówki zamieniła się w piwonie, upuściła pokrywę, pochwyciła koniec fartucha, podniosła lewą nogę i stojąc na prawej, tylko patrzyła na mnie zdumiona.

— No i cóż, odpowiedz przecie! Co ty myślisz o mężczyznach?

— Panienska żartuje ze mnie z pewnością!

— Ale nie, mówię na seryo. Odpowiadajże raz nareszcie.

— Ha! panienko—odrzekła Piotrusia, z pewnością siebie, stając na obu nogach—skoro to są niczego chłopaki, to na głupi rozum mój, są rzeczy na świecie, na które daleko mniej przyjemnie jest patrzeć.

Ten sposób zapatrywania się na kwestyę dał mi niemało do myślenia.

— Nie mówię tu o stronie fizycznej—odpowiedziałam, wzruszając ramionami — ale o stronie moralnej.

— Słowo daję, że jak na mój głupi rozum, to oni bardzo są mili! — odpowiedziała Piotrusia, której małeńkie oczki zabłyśły.

— Jakto, to ty nie uważasz, żeby to byli łotrzy bez czci i wiary, samochwalcy, służalcy szatana!

Piotrusia zaśmiała się na całe gardło.

— Widzi panienska, kiedy bo mowa tych łotrów jest taka słodka, że..

Tu urwała, uderzając się pięścią po głowie. Mięła fartuch, spuściła oczy i jak mi się wydało, zamierzała wziąć nogi za pas.

— Dalej! Skończże!

— Panienska każe mi potem z pewnością gadać jakie głupstwa, już lepiej pójdę.

I składając mi najpiękniejszy ukłon, na jaki ją stać było, zniknęła w głębi mlecarni, zamykając mi drzwi przed nosem.

— Dlaczego miałyby mówić głupstwa?... No, niema już innej rady, jak spytać Zuzannę, chodzi o to tylko, czy ona mówić zechce.

Weszłam do kuchni. Zuzanna, uzbrojona w miotłę, zabierała się do wprawienia jej w ruch na dobre. Wydało mi się, że była w jak najgorszym humorze i osądziłam, że z pewnością będzie przystąpić do mego badania z pewnymi ostrożnościami oratorskimi:

— Jak twoje rondle ślicznie dziś błyszczą! — ozwałam się uprzejmie.

— Ha, robi się, co można — mruknęła Zuzanna. — Zresztą tym, co nie są zadowoleni, dość jest powiedzieć tylko.

— Jak ty świetnie, Zuzanno, przyrządzasz potrawę z kurcząt—ciągnęłam dalej niezrażona—powinabyś mnie nauczyć, jak się ją robi.

— To robota nie dla panny, lepiej niech panna idzie do swego pokoju, a mnie nie przeszkadza w kuchni.

Moje usiłowania przekupstwa nie sprawiały żadnego wrażenia, skierowałam więc baterję na inny punkt.

— Wiesz co, Zuzanno, żeś ty musiała być bardzo ładna za młodu! — powiedziałam, myśląc w duchu, że gdybym była jej mężem, byłabym chyba wsadziła ją w piec i upiekła, byleby się od niej uwolnić.

Dotknęłam widocznie czulej struny, bo Zuzanna raczyła się uśmiechnąć.

— Każdy, moja panienko, ma swoje piękne czasy.

— Zuzanno—podjęłam, korzystając z tego nagłego złagodzenia, aby jak najprędzej przystąpić do rzeczy — miałabym ochotę zapytać się o coś! Jakie jest twoje zdanie o mężczyznach... i o kobietach? — dodałam, pomyślawszy, że mądrze postąpię, rozciągając temat mych badań na obie płcie.

Zuzanna oparła się na miotle, przybrała jeden z najbardziej odrażających swych wyrazów twarzy i odpowiedziała mi z porywającym prawdziwie przeświadczeniem:

— Kobiety, moja panienko, niewiele co są warte, ale co mężczyźni, to już nic zgola.

— O! — zawołałam — czy istotnie jesteś tego pewną?

— To tak pewne, jak to, że mówię w tej chwili z panienką!

I z wielkim rozmachem miotły zaczęła wymiatać resztki jarzyn, leżących na podłodze, z taką zaciekłością, jak gdyby przedstawiały one owych dwunogów, będących przedmiotem jej antypatii.

Poszłam do swego pokoju rozmyślać nad pewnikiem mizantropijnym, wygłoszonym przez Zuzannę, dość rozczarowana coprawda myślą, że sama niewiele co byłam warta, a moi nieznani przyjaciele zasługiwali na tak poniżającą ocenę.

## V.

Niemniej przeto studia moje obyczajowe wydawały mi się niedostatecznymi i postanowiłam prowadzić je dalej za pomocą powieści, znajdujących się w bibliotece.

Na szczęście, pewnego poniedziałku ciotka, proboszcz i Zuzanna mieli pojechać razem do C. Ciotka zdecydowała, jak zawsze, że pozostanę w domu pod nadzorem Piotrusi i po raz pierwszy w życiu ta decyzja mnie zachwycała. Byłam pewną, że będę zupełnie swobodną, bo Piotrusię zajmowała daleko więcej powierzona jej krowa, niż moje natchnienie.

Na tego rodzaju wycieczki dzierżawca o ósmej rano przyprowadzał coś w guście kabrioletu. Ciotka pojawiała się wystrojona, z głową przyozdobioną okrągłym filcowym kapeluszem, do którego przyszyła sobie blado-lila wstążki pod brodę. Wkładala go zuchwale na wierzchołek włosów. Otulała się w futro, bez względu na to, czy było zimno czy gorąco, przyjąwszy za zasadę od dnia ślubu, że kobieta, zajmująca w świecie pewne stanowisko, nie może puścić się w drogę bez skóry jakiegobądź zwierzęcia. Tak przybrawszy, się wierzyła mocno, że wszelkie braki, mogące kogoś naprowadzić na myśl o jej pochodzeniu zostały całkowicie ukryte.

Siadała w tyle kabrioletu na ławeczce, pokrytej poduszką, aby delikatna ta część jej osobnika, którą wymienić wzbrania mi uczciwe pióro, nie została czasem uszkodzoną.

Zuzannie powierzano powożenie koniem, nie potrzebującym kierowania, siadała zatem na przedniej ławeczce po prawej stronie, proboszcz mieścił się obok niej.

Wówczas równocześnie zwracali się wszyscy do mnie.

— A nie zrób tam jakiego głupstwa — mówiła

ciotka — i nie chodź czasem po warzywnym ogrodzie.

— Nie zrób mi panna czasem nieporządku w kuchni — krzyczała Zuzanna — i poprzestań na zimnej cielecinnie na śniadanie.

Proboszcz nie mówił nic, ale przesyłał mi uprzejmy uśmiech i robił taki ruch, jak gdyby chciał powiedzieć:

— Ona nie chciała, ale ja tak byłbym pragnął zabrać i ciebie.

W pamiętny ten poniedziałek rzeczy poszły zwykłym trybem. Wysłałam spacerem na drogę i zobaczyłam niezadługo, jak mi znikali z oczu, wstępując troje, jak kosze z sałatą.

Nie tracąc ani minuty czasu, zabrałam się do wykonania zamiaru, dojrzałego zdawna już w mej głowie. Chodziło o to, aby wziąć w posiadanie bibliotekę, od której klucz zabrał proboszcz; ale ja nie należałam do tych dziewcząt, które odstraszaają podobne drobnostki.

Pobiegłam poszukać drabinki, którą przywlokłam do okna biblioteki; po wysiłkach nadludzkich udało mi się ją podnieść i oprzeć mocno o mur. Wdrapawszy się zręcznie po szczeblach, wybiłam szybę kamieniem, w który się zaopatrzyłam przezornie; potem, powymowawszy resztki szkła, trzymające się jeszcze ramy, przesunęłam górną część ciała przez otwór i wślizgnęłam się do biblioteki.

Padłam głową naprzód na podłogę i nabiłam sobie porządnego guza na czole, a nazajutrz proboszcz przyniósł mi maść na jego zagojenie.

Pierwszem mojem staraniem, powstawszy z ziemi, kiedy już zawrót głowy, spowodowany upadkiem, minął, było przeszukanie wszystkich szuflad starego biurka, aby wynaleźć klucz podobny do tego, jaki mi skonfiskował proboszcz. Poszukiwania moje nie były zbyt długie i po dwóch, czy trzech próbach bezowocnych, znalazłam, czego szukałam.

Usunąwszy, o ile to było możliwe, ślady mego wtargnięcia, usadowiłam się w fotelu i kiedy tak odpoczywam po przebytych trudach, wzrok mój padł na dzieło Walter-Scotta, umieszczone naprzeciw mego posterunku. Wzięłam pierwszą z brzegu książkę z tej kolekcji i powróciłam do siebie, unosząc, jak skarb jaki, „Piękną dziewczynę z Perth.”

W życiu jeszcze nie czytałam powieści i wpadłam w zachwyty, o jakim nic nie może dać wyobrażenia. Zdaje mi się, że gdybym żyła lat dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć, jak Matuzal, nie zapomniabym nigdy tego wrażenia, jakie sprawiło na mnie czytanie „Pięknej dziewczyny z Perth.”

Doznawałam radości więźnia, przeniesionego nagle z celi więziennej do ogrodu, pełnego drzew, kwiatów i słońca; albo, lepiej jeszcze, uciechy artysty, co słyszy po raz pierwszy wykonane najdroższe dzieło swego serca i ducha w sposób idealny, niezrównany. Ten świat nieznany mi, za którym tęskniłam bezwiednie, odstonił się przedemną niespodzianie. Jasno zrobiło się nagle w moim umyśle; jednakże wydawałam się sobie dotąd głupią, ograniczoną. Upajałam się, wchłaniałam w siebie tę powieść, pełną barw, życia, ruchu.

Wieczorem przyszłam cała rozmarzona do stołowego pokoju, gdzie proboszcz także obiadował z nami.

Popatrzył na moją twarz z głębokim współubolewaniem i zapytał z najżywszem zajęciem, w jaki sposób spotkał mnie ten wypadek.

— Wypadek? — rzekłam z miną zdziwioną.

— Całe czoło masz zasinione, moja Reginko.

— Ten gluptas wlażył gdzie pewno na drzewo, albo na drabinę — wtrąciła ciotka.

— Na drabinę, tak, to prawda — odpowiedziałam.

— Moja biedna dziecino! — zawołał proboszcz rozżalony — i upadłaś niezawodnie na głowę? ..

Skinęłam głową potwierdzająco.

— Czy przyłożyłaś sobie przynajmniej arniki, moja mała?

— Ba! alboż to warto!—rzuciła znów ciotka.— Jedz lepiej, księżu broboszczu, zupę i nie zajmuj się tym roztrzepańcem; ma tylko to, na co zasłużyła.

Proboszcz nic już nie odrzekł; przesłał mi tylko uśmiech serdeczny i obserwował mnie ukradkiem.

Nie zwracałam zbyt wielkiej uwagi na to wszystko, co się działo dokoła mnie; myślałam o tej uroczej Katarzynie Glover, o tym dzielnym Henryku Smitch, którym byłam oczarowaną, i nagle, bez wszelkiego wstępu, wybuchnęłam płaczem.

— Ach, mój Boże!—zawołał proboszcz, podnosząc się śpiesznie — moja kochana Regino, moje pocziwe dziecko!

— Dajże ksiądz pokój! — ozwała się ciotka — zła jest poprostu, że nie pojechała z nami do C.

Ale proboszcz, który wiedział, że nienawidziłam płaczów i że zbyt byłam na to dumną, aby okazać wobec ciotki, że mnie boli jakaś przykrość przez nią mi wyrządzona, przystąpił do mnie, spytał pocichutku, dlaczego płaczę i usiłował mnie pocieszyć.

— To nic, kochany mój, dobry księżuniu—mówiłam, ocierając oczy i zaczynając śmiać się.—Widzi ksiądz, jak nie umiem znosić żadnego bólu fizycznego, głowa mnie boli, a przytem ohydnie muszę wyglądać.

— Nie gorzej, jak zazwyczaj—wtrąciła ciotka.

Proboszcz przypatrywał mi się z niepokojem. Nie był on zadowolony z tego wyjaśnienia i pewien był, że w ciągu dnia zaszło coś anormalnego. Poradził mi, żebym zaraz poszła położyć się do łóżka, co też spełniłam z pośpiechem.

Upokarzała mnie ta scena rozrzewnienia, którą wyprawili, upokarzała tem więcej, że nie wiedziałam sama, dlaczego się rozplakałam. Czy płacz ten



był wynikiem doznanej przyjemności, czy rozdrażnienia, nie mogłabym tego powiedzieć i usnęłam, powtarzając sobie, że daremnie byłoby starać się zanalizować moje wrażenia.

W ciągu następującego miesiąca pochłonęłam większą część dzieł Walter-Scotta. Z pewnością od tego czasu doznawałam głębokich i poważnych uciech, aczkolwiek jednak były one wielkie, nie wiem, czy przewyższyły o wiele w żywości wrażeń ówczesną radość moją, kiedy umysł mój wychodził z tej mgły ciemnej, niby motyl ze swej poczwarki. Przechodziłam z jednego zachwyty w drugi, z ekstazy w ekstazę. Zapominałam o wszystkim, byle myśleć tylko o moich powieściach i o postaciach, co podniecały moją wyobraźnię.

Kiedy proboszcz dawał mi określenia jakiegoś matematycznego problemu, ja myślałam o Rebecce, którą pozosławiłam na schadzce z Templaryuszem; kiedy wykladał mi kurs historyi, przed memi oczyma przeciągali długim szeregiem czarowni bohaterowie, spośród których zmienne moje serce wybrało już sobie z piętnastu na mężów; kiedy mi czynił wymówki, nie słyszałam ich ani połowy, będąc zajęta obmyśleniem dla siebie kostymu, podobnego do stroju Elżbiety, królowej angielskiej, lub Anny Robsart.

— Co dziś robiłaś?—pytał za przyjściem.

— Nic.

— Jakto, nic?

— Wszystko mnie nudzi — mówiłam z miną zmęczonej.

Pocziwy proboszcz był strapiony. Przygotowywał sobie długie przemowy i recytował mi je jednym tchem, ale byłby mógł z równym skutkiem wypowiadać je wobec czerwonoskórca.

Nakoniec nagle posmutniałam bardzo. Wprawdzie ciotka nie biła mnie już teraz, ale natomiast wetowała to sobie mówieniem mi w oczy wielce nieprzyjemnych rzeczy. Odgadła, że martwię się brakiem

wzrostu. Nie omijała więc żadnej sposobności rzuć-  
 cania pocisku w tę właśnie drażliwą stronę, nazywa-  
 ła mnie karlicą i powtarzała bezustannie, że jestem  
 brzydką.

Do niedawna jeszcze uważałam się za bar-  
 dzo ładną i daleko więcej w tej mierze ufałam zda-  
 niu własnemu, niż zdaniu ciotki. Ale odkąd się za-  
 poznałam z bohaterkami Walter - Scotta, zrodziły  
 się w umyśle moim wątpliwosci. Były te bohaterki  
 tak piękne, że ogarniała mnie rozpacz na myśl, iż  
 trzeba być do nich podobną, aby być kochaną.

Proboszcz, przez sympatyę niezawodnie dla  
 mnie, stracił dawny uśmiech i rumieńce. Śledził on  
 mnie nieraz łzawemi oczyma, spędzał czas na zaży-  
 waniu tabaki, zapominając o wszystkich regułach sztuki;  
 starał się odgadnąć moją tajemnicę i używał iście  
 machiawelskich środków, aby dojść do celu; ja prze-  
 cież byłam nieprzeniknioną.

Pewnego dnia zobaczyłam, że zmierza do bi-  
 blioteki, ale strzegłam się zawsze pilnie zostawiać klucz  
 od niej w zamku; powrócił, wstrząsając głową, prze-  
 garniając ręką włosy, zwichrzone więcej niż kiedy-  
 kolwiek, i tworzące mu na głowie istny pióropusz  
 biały.

Ukryłam się za któremiś drzwiami w koryta-  
 rzu, a kiedy mnie mijał, posłyszałam jak mruknął  
 zcicha:

— Powrócę tu z kluczem.

Ta decyzja bardzo mi była nie na rękę. Po-  
 myślałam, że z pewnością odkryje moją tajemnicę  
 i że nie będę mogła już nadal oddawać się tak mi-  
 łej dla mnie rozrywce.

Poszłam natychmiast poszukać dla siebie kilka  
 powieści, które zabrałam do swego pokoju, a opróżnio-  
 ne ich miejsce na półkach zastąpiłam innemi książka-  
 mi, branemi na chybił-trafił; mimo jednak tych ostro-  
 żności, przyszłam do przekonania, że arkusz papieru,

którego użyłam dla ukrycia wytłuczonej szyby, będzie wskazówką, zdradzającą moją winę.

Tegoż dnia, rozpatrując się w listach, znalezionych w biurku, odkryłam rodowód mojej ciotki. Była to broń przeciw niej i postanowiłam bezzwłocznie się nią posłużyć.

Nazajutrz przy śniadaniu moja prześladowczyni była w strasznie złym humorze. W takim usposobieniu ducha, jeśli nie znalazła pretekstu do powiedzenia mi czegoś nieprzyjemnego, umiała się i bezeń obejść.

Marzyłam właśnie o tym pociągającym Buckinghamie, który wydawał mi się czarownym ze swem zuchwalstwem, wspaniałym strojem, fantazyami i dowcipem, i zadawałam sobie pytania: dlaczego Alicya Bridgeworth rozpaczała, znalazłszy się u niego, gdy ciotka moja odezwała się nagle bez wszelkich wstępów:

— Jakaś ty, Regino, dziś brzydka..

Aż skoczyłam na krześle.

— Proszę!—rzekłam, podając jej solniczkę.

— Nie prosiłam o sól, głupia! Doprawdy, ta dziewczyna staje się już równie ograniczoną, jak brzydka!

— Nie jestem zdania pani—odparłam sucho— uważam przeciwnie, że jestem bardzo ładną.

— Pyszna farsal!—zawołała ciotka!—Ładna! taka karlica, nie przechodząca wzrostem kominka!

— Lepiej jest być podobną do delikatnej roślinki, niż do człowieka nieudalego—odrzucałam.

Ciotka wierzyła niewzruszenie w to, że była pięknnością, i nie dopuszczała drwin w tej kwestyi.

— Ja byłam piękną, moja panno, tak piękną, że mnie i siostrze mojej nadano nazwy „bogini.“

— Czy ta siostra była podobną do cioci?

— Nadzwyczajnie, byłyśmy bliźniętami.

— Mat jej pewnie musiał być bardzo nieszczęśliwym—wymówiłam z wyrazem współczucia.

Ciotka rzuciła mi dosadną klątwę, której nie pozwoliłabym sobie tu powtórzyć.

— Zresztą — dodałam z zupełnym spokojem — ciocia oczywiście ma gust kobiet z gminu, gdy tymczasem ja...

Ale urwałam, mając usta otwarte w środku zdania; w tej chwili bowiem ciotka rękojeścią noża rozbiła talerz. To, co jej powiedziałam, obracało w niewecz wszystkie dotychczas podjęte przez nią usiłowania w celu ukrycia przedemną swego pochodzenia, a zarazem było pomstą całkowitą za wszystkie jej względem mnie złośliwości.

— Prawdziwa z ciebie źmija! — krzyknęła głosem zdławionym.

— Nie sędzę, ciociu.

— Żmija!

— Już słyszałam — odpowiedziałam, połykając spokojnie ostatnią poziomkę.

— Żmija, wygrzana na mojem łonie — powtarzała ciotka, która zbyt była wzburzoną, aby wysilać na porównania wyobraźnię.

Wstrząsnęłam głową i pomyślałam w duszy, że gdybym była źmiją, z pewnością nie chciałabym znajdować się w tego rodzaju pozycyi.

— Daruj, ciociu, ale uczułam się o tym płazie w historyi naturalnej i nie słyszałam nigdy, aby miało zwyczaj wygrzewania się na czyimbądź łonie.

Ciotka, która była zawsze stropioną, ilekroć robiłam jaką wzmiankę dotyczącą nauk, nie odpowiedziała nic, ale wyraz jej fizyonomii wydał mi się tak nie budzącym zaufania, że wymknęłam się, wyśpiewując co sił starczyło:

„Był sobie wujek de Pavol, de Pavol, de Pavoll!”

Działo się to w połowie czerwca.

Motyle krążyły ze wszęch stron, muchy brzęczały, powietrze przesiąknięte było tysiącem woni; sło-

wem, pogoda wydała mi się tak nęcąca, że zapomniałam o zwykłej ostrożności. Wzięłam książkę i poszłam na łąkę, usadowiwszy się w cieniu sterty siana.

Smutno mi było trochę na sercu, w myśli miałam bowiem słowa ciotki. To pewne, że to rzecz okropnie bolesna być tak małą, tak okropnie małą! Czy też mn. kiedy kto pokocha? Ale pocieszyłam się czytając „Peverile.” Z pośród powieści Waltera Scotta była to jedna z najulubieńszych, prawdopodobnie ze względu na Fenellę, której postać była z pewnością drobniejszą jeszcze od mojej.

Lubiłam, uwielbiałam Buckinghamą. Irytowałam się na Fenellę za to, że mu mówiła tak przykre rzeczy, a w chwili, kiedy ona nikt nie przez okno, przerwałam czytanie, wołając głośno:

— A to głupia! wobec tak uroczego człowieka!...

Wymawiając te słowa, podniosłam oczy i aż krzyknęłam, ujrawszy przed sobą stojącego proboszcza. Ręce miał skrzyżowane na piersi i patrzył na mnie zdumiony. Był nieomal tak pomieszany, jak owe istoty w czarodziejskich klechdach, co niespodziewanie spostrzegają, że dyamenty zamieniły im się w orzechy.

Podniosłam się nieco zawstydzona, podeszłam go bowiem okropnie,

— Och! Regino... zaczął.

— Kochany księżuniu—zawołałam, przyciskając czytana książkę do serca—proszę, błagam, pozwól mi czytać ją dalej.

— Reginko, moja kochana Reginko, nigdy nie byłbym tego spodziewał się po tobie!

Ta łagodność jego rozrzewniła mnie tem więcej, że nie miałam zbyt czystego sumienia, ale wiedząc, że przeważnie kobiecą taktyką, pośpieszyłam inny obrót nadać kwestyi.

— To było rozrywką dla mnie, księżę proboszczu, a przecież ja nie mam żadnej rozrywki i czuję się tak nieszczęśliwą!

— Nieszczęśliwą, Regino?

— Czy sądzisz, księżę proboszczu, że to rzecz przyjemna mieć taką ciotkę, jak moja! Nie bije mnie już, to prawda, ale wciąż mówi mi takie rzeczy, które mi sprawiają wielką przykrość!

O! jakże ja dobrze znałam poczciwego mego proboszcza! W jednej chwili zapomniał o wszelkich oskarżeniach i połamaniach; tem więcej, że w słowach moich było sporo prawdy.

— Czy to dlatego jesteś teraz zawsze tak smutna, moja kochana dziecino?

— Z pewnością, księżę proboszczu. Pomyśl księżę, że ciotka powtarza mi na wszystkie tony, iż jestem karlicą, potworem, że jestem tak szkaradną, iż budzę odrazę!

Łzy napłynęły mi do oczu, temat ten bowiem przejmował mnie zawsze do głębi serca.

Zacny ksiądz, szczerze wzruszony, pocierał sobie nos z miną zakłopotaną. Dalekim on był od podzielenia zapatrywań mojej ciotki w tym względzie i zadawał sobie pytanie, jakiegoby użyć sposobu, aby mnie pocieszyć w tem zmartwieniu, nie budząc jednak zarazem w mej duszy pychy, próżności i innych żywiołów, tak szkodliwych jej zbawieniu.

— Bo widzisz, moja Regino, nie trzeba znów tak wielkiej wagi przywiązywać do rzeczy, które przemijają tak szybko.

— Tymczasem jednak rzeczy te istnieją—odpowiedziałam, spotykając się z tą myślą w przeskoku dwu wieków z najpiękniejszą dziewczicą Francyi.

— A potem, może spotkałabyś się z ludźmi, co będą myśleć inaczej, niż pani Lavallo.

— Czy i ksiądz proboszcz jest w liczbie tych ludzi? Czy według jego zdania, ja jestem ładną?

— Ale... tak—odpowiedział proboszcz żalonym tonem.

— Bardzo ładną?

— Ale... ale tak — odpowiedział tym samym tonem.

— Ach! jakżem szczęśliwa! — zawołałam, wykręcając się na pięcie. — Jakże ja kocham, jak kocham księżunia!

— Bardzo to dobrze, Reginko; ale popełniłaś błąd wielki. Wdarłaś się do biblioteki, narażając się na skręcenie karku, i czytywałaś książki, których prawdopodobnie jabym ci nie dał nigdy.

— Walter Scott, księże proboszczu, to Walter Scott! w mojej literaturze jest o nim bardzo wiele dobrego.

I zaczęłam mu opowiadać wszystkie doznane wrażenia. Mówiłam długo i wymownie, zachwycona, że ksiądz nie tylko już nie myślał mnie łajać, ale słuchał z zajęciem wszystkiego, co mu opowiadałam. Wobec mojego zapału i wesołości, powróciły jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki napowrót na jego twarz uśmiech i rumieńce.

— No, więc pozwalam ci—rzekł—czytać nadal Walter Scotta; przeczytam go sobie sam nawet powtórnie, ażeby módz o nim mówić z tobą, ale przyrzecz mi, że już nie ponowisz swej wyprawy!

Przyrzekłam mu z całego serca i odtąd mieliśmy nowy temat do dyskusyi i sporów, bo — rzecz jasna—nie byliśmy nigdy tegoż samego zdania.

Wkrótce przecież zajęcie, jakie budziły we mnie powieści, zatarło się w zupełności, dzięki wypadkowi nadzwyczajnemu, niesłychanemu, który wydarzył się w kilka tygodni później w Buisson, jednemu z tych wypadków, co to nie mogą wprawdzie wstrząsnąć państwami w ich posiadach, ale które zamęczają spokój serc i wyobraźni młodych dziewcząt.

Było to w niedzielę.

A w niedzielę regularnie szliśmy na sumę, będącą jedynem nabożeństwem porannem; na probostwie bowiem nie było wikaryusza. Ciotka wchodziła zwykle pierwsza do ławki, ozdobionej naszemi herbami, ja wchodziłam bezpośrednio po niej; za nami szła Zuzanna, Piotrusia zaś zamykała ten pochód.

Kościółek nasz był stary bardzo i brzydki. Pierwotna barwa ścian zniknęła pod rodzajem sielankowego mułu, wywołanego wilgocią; posadzka nie była jednolitą, ale przeciwnie, przedstawiała zbiorowisko szczelin i wzgórków, zapraszających wiernych do skręcenia sobie karku i korzystania z bytności w miejscu świętem, aby się prędzej dostać do nieba; ołtarz zdobny był w postaci aniołów, malowanych przez wioskowego kołodzieja, który wyobraził sobie, że jest artystą; dwóch, czy trzech Świętych przypatrywało się sobie ze zdumieniem, dziwiąc się własnej brzydocie. Kilka razy patrząc na nich, mówiłam sobie, że gdybym była świętą i gdyby śmiertelnicy mieli przedstawiać mnie w sposób tak ohydny, byłabym bezwzględnie głuchą na ich prośby; ale święci nie mają może mego usposobienia. Przez okno, pozbawione szyb, biała róża ukazywała swą wonną główkę i swą pięknoscia, świeżoscia, zdała się zanosić żywy protest przeciw złemu smakowi człowieka.

Mieliśmy organy, z których trzy tony tylko mogły się wydobyć; czasami liczba ich dochodziła do pięciu; instrument ten bowiem, z łaski temperatury, podlegał kaprysom, jak reumatyzm naszego organisty, który ryczał przez dwie godziny z przekonaniem tak naiwnem i tak głębokiem, iż ma głos piękny, że niepodobieństwem było mieć za to do niego pretensyi.

Po Ewangelii proboszcz zdejmował ornat i stu-



łę w naszych oczach, wszystko odbywało się bez wielkich ceremonij, nieco po domowemu, potykał się o jaki dół i dochodził do ambony.

Wśród istot ludzkich, zalegających powierzchnię globu, nie ma chyba, jak sędzę, nikogo, coby przez ciąg swego życia nie miał jakiegoś marzenia. Człowiek, czy pozycya jego jest najniższą, czy bardzo wysoka, nie może żyć bez pragnień; i proboszcz nasz, ulegając temuż samemu powszechnemu prawu, przez lat trzydzieści życia pragnął posiadać ambonę.

Na nieszczęście, był bardzo ubogim, parafianie jego również byli ubogimi, a ciotka moja, która sama jedna tylko mogła mu przyjść w pomoc, udawała, że nie rozumie jego delikatnych napomknień; oprócz tego, że była ona brudno skąpą tam, gdzie chodziło o danie czegoś, nie miała jeszcze najłżejszego zrozumienia, ani względności dla marzeń i pragnień bliźniego.

Nakoniec, przy pomocy niezmiernej oszczędności, proboszcz pewnego dnia ujrzał się panem dwustu franków.

Wówczas to postanowił urzeczywistnić, o ile będzie można, to długoletnie marzenie.

Pewnego poranku zobaczyłam go biegnącego bez tchu niemal.

— Moja Reginko, chodź ze mną!—wolał.

— Dokąd, księżu proboszczu?

— Do kościoła, chodź prędko!

— Ale przecież już po mszy.

— Tak, tak, mam jednak pokazać ci coś prześlicznego.

Miał tak rozradowaną minę, z twarzy biła mu taka radość, że teraz jeszcze śmiać się muszę, kiedy o tem myślę. Radość jego jest jednym z lepszych wspomnień moich z owych czasów.

Nie szedł, ale leciał raczej i tak biegiem przybyliśmy do kościoła. Ustawiono w nim właśnie am-

bonę i proboszcz, stojąc przed nią w uniesieniu, rzekł mi pocichu:

— Patrz, Reginko, patrz! Czy to nie prawdziwie szczęśliwy pomysł? Mamy nareszcie ambonę! Nie wygląda ona wprawdzie bardzo trwale, ale w rzeczy samej jest jednak mocna. I oto marzenie całego mego życia jest już urzeczywistnione! Jak to nigdy nie powinien człowiek tracić nadziei, moja mała, nigdy!

Patrzyłam trochę pomieszana, nie mogłam bowiem ukryć tego przed sobą, że wyobraźnia moja przedstawiała mi ambonę jako coś wspaniałego, monumentalnego. To zaś, co miałam przed oczyma, był to rodzaj pudła z drzewa surowego, wspartego na podporach żelaznych tak niewysokich, że od biedy, chcąc się do niej dostać, obyćby się można bez schodów. Ale ambona bez schodów, to rzecz niewidziana; to też, aby ocalić honor tego arcydzieła, udało się dodać dwa stopnie, wysokie po piętnaście centymetrów.

— Przypatrz-no się, Reginko — mówił mi proboszcz — ona wcale dobrze wygląda! Jak tylko będę miał trochę pieniędzy, każę ją pomalować, albo lepiej, sam ją pomaluję; będzie to dla mnie rozrywka, a przytem i oszczędniej wypadnie. Prawda, że mogłaby być cokolwiek więcej wzniesioną, ale nie trzeba znów mieć za wielkich wymagań.

I biedny, zacny nasz pleban obchodził dokoła ambonę z miną zachwytu. Gdyby jej boki pokryte były malowidłami Rafaela lub rzeźbami Michała Anioła, nie byłby chyba szczęśliwszym.

Nie myślał o tem, że rzeczywistość, jak zwykle niestety! nie odpowiada wcale marzeniu; strzegł się robić porównań i cieszył się swem szczęściem bez zastrzeżeń.

— Ja to dałem plan, moje dziecko, i doprawdy miałem wyborny pomysł! Jest wszakże i tu poniekąd odwrotna strona medalu; przyznać się muszę, że

zaciągnąłem niewielki dług. Cena, jakiej odemnie żądają, jest wyższą niż przypuszczałem, ale zdaje się, że to zwykle tak bywa, kiedy się coś buduje. Myślałem, że sobie sprawię tej zimy watowany jedwabny kaftanik; ano, mój Boże, trzeba się będzie obyć, ot i wszystko!

O! tak, radość jego jest dla mnie jednym z najmilszych wspomnień owych czasów! Nigdy nie widziałam człowieka tak szczęśliwego, człowieka, co by umiał tak przystroić radość skromną w odblaski poczciwej swej natury i dziecięco niewinnego umysłu.

— Ale bo też ona naprawdę wygląda na ambonę! — powtarzał, śmiejąc się i zacierając ręce.

Ja, szczerze mówiąc, miałam na tym punkcie pewne wątpliwości, ale ukryłam rozczarowanie i unosiłam się, o ile mogłam, nad ową amboną, która ze względu na nieregularny kształt kościoła, umieszczoną została we wgłębieniu, tak, iż kiedy proboszcz mówił kazanie, trzy czwarte audytoryum nie widziało nic więcej prócz jednej ręki i kępkki białych włosów, poruszających się wymownie, stosownie do rozmaitych faz kazania.

Proboszcz był tak zadowolony, że mógł sobie powiedzieć: „wstąpię na ambonę!” iż musieliśmy pogodzić się z losem i co niedziela wysłuchać kazania.

Zaledwie otworzył usta, już poczciwe kumoszki przybierały najwygodniejszą pozycję, aby móżdż oddać się lekkiej drzemce; już Piotrusia, korzystając z powszechnej ospałości, zaczynała oczkować z kimś, co siedział w ławce sąsiadującej z naszą, a Regina de Lavallo sposobiała się do rozmyślań nad przykreni kolejami życia, reprezentowanego przez ciotkę i nudę kazań.

Nie wiem dlaczego proboszcz lubił się rozwodzić nad ludzkimi namiętnościami; pewnego dnia wszakże, kiedy dał się zbyt porwać swej improwiza-

cyi na ten temat, przy obiedzie zaczęłam mu zadawać tak niedyskretne i kłopotliwe pytania, że postanowił sobie odtąd nigdy już wobec mnie nie podnosić niektórych tematów. I dnia tego też mówił już tylko o lenistwie, pijaństwie, gniewie i innych występkach, nie podniecających ani mej ciekawości, ani mego gadulstwa.

Przez całą godzinę stawiał nam przed oczy wielką nieprawość, w której byliśmy pogrążeni; potem, skoro już stan nasz duchowy był istotnie oplakany, schodził razem z nami, rozpromieniony, do głębi piekieł i kazał nam przypatrywać się mękom, na jakie zasługiwały dusze nasze, grzechami skalane; potem nagle śmiałym zwrotem wymowy przechodząc do rzeczy mniej okropnych, wysuwał się z wolna z regionów piekielnych, pozostawał przez kilka chwil na ziemi i wreszcie składał nas spokojnie w niebie; poczem schodził z ambony krokiem tryumfalnym zdobywcy, który przed chwilą przeciął jakiś węzeł gordyjski.

Całe audytorium zrywało się wówczas ze snu, prócz Zuzanny, która zbyt zadowolona była z tego, że słyszy tyle złego o ludzkości, aby zasnąć mogła, i popijała zawsze szklankę mleka przez ten czas, kiedy proboszcz chłostał swe owieczki kwiatami retoryki.

Było to więc w taką niedzielę. Upał był przerażający i kiedy powracaliśmy do domu, Zuzanna nas zapewniła:

— Niezawodnie będzie burza przed wieczorem.

Ta przepowiednia sprawiła mi przyjemność; burza była zdarzeniem szczęśliwym w mojem życiu monotonnem i mimo wrodzonego tchórzostwa, lubiłam grzmoty i błyskawice, jakkolwiek nieraz drżałam całym ciałem, skoro huk piorunów zbyt szybko następował po sobie.

Przez pierwszą połowę popołudnia błąkałam się jak dusza potępiona po ogrodzie i gaju. Nudziłam

się śmiertelnie, powtarzając sobie ze smutkiem, że też nigdy nie spotka mnie żadna przygoda i że jestem widocznie skazana na wieczysty pobyt przy ciotce.

Okolo czwartej, powróciwszy do domu, weszłam na kurytarz pierwszego piętra i przycisnąwszy twarz do szyby wielkiego okna, zabawiałam się ściganiem oczyma chmur, pędzących po niebie i gromadzących się nad naszym Buisson, które miały sprowadzić burzę, zapowiadaną przez Zuzannę.

Pytałam siebie, zkąd one też przychodzą, co widziały na swej drodze, co mogłyby mi opowiedzieć, mnie, co nie wiedziałam nic o życiu, o świecie, a tak pragnęłam wiele widzieć i poznać? One powstały tam, po za tym widnokręgiem, którego ja nie przekroczyłam nigdy i który krył przedemną tajemnice, cuda (tak sądziłam przynajmniej), radości, rozkosze, nad którymi rozmyślałam w głębi duszy.

Rozmyślenia te przerwał mi widok Piotrusi, ukrytej w kącie, którą całował jakiś wysoki parobek, obejmujący ją w pół.

Śpiesznie otwarłam okno i uderzając w dłoń, krzyknęłam:

— Bardzo pięknie, Petronelo; wiedz o tem, że cię widzę!

Piotrusia, wystraszona, wzięła w rękę drewniak i pobiegła schronić się do obory. Wysoki parobczak zdjął kapelusz i przypatrywał mi się z głupowatym uśmiechem, który rozciągnął mu usta aż do uszu niemal.

Śmiałam się serdecznie jeszcze, kiedy lekki powozik, którego zbliżenia się nie zauważyłam zupełnie, zajechał na dziedziniec. Mężczyzna jakiś wyskoczył z niego, przemówił kilka słów do służącego, który razem z nim przyjechał i rozejrzał się dokola, szukając snac, z kimby można mówić.

Ale Piotrusia, której biały czepeczek majaczył przez osztachetowanie drzwi obory, ani się ruszyła, a galant jej ukrył się za gumno. Co do mnie, zdu-

miona tem zjawiskiem, otworzyłam połowę okna i przyglądałam się całemu zdarzeniu, nie czyniąc najłżejszego ruchu.

Nieznajomy w dwu krokach wstąpił na zrujnowane schody podjazdu i szukał dzwonka, którego tam nigdy nie było; zobaczywszy to, ponieważ cierpliwość nie była widocznie główną z jego zalet, zaczął pięścią uderzać w drzwi.

Moja ciotka i Zuzanna stanęły przed nim jednocześnie, a on, co dało mi jak najkorzystniejsze wyobrażenie o jego odwadze, nie okazał na ten widok najmniejszego przestachu. Skłonił się zlekka, potem zmiarkowałam z jego giestów, że, lękając się nadciągającej burzy, prosił, czy nie mógłby się schronić w Buisson.

W tej samej chwili burza rzeczywiście wybuchnęła z całą gwałtownością; zaledwie było tyle czasu, aby umieścić powóz i konia gdzieś pod dachem.

Powiadają, że samotność czyni człowieka nieśmiałym; w pewnych razach przecież wywołuje ona skutek wprost przeciwny. Nie zetknąwszy się nigdy z nikim, nie mając nigdy sposobności porównywania, miałam największą ufność w mojej osobie i nie pojmowałam zupełnie, co to jest to szczególniejsze uczucie, które obezwładnia i wniwecz obraca najświetniejsze zdolności i władze ludzkie, a człowieka wyższego prawdziwie zamienia częstokroć w głupca.

Niemniej przeto wobec tej przygody, wywołanej, rzekłbyś, mojemi myślami, serce biło mi mocno i wahałam się tak długo z wejściem do salonu, że stałam jeszcze u drzwi, kiedy nadszedł proboszcz, przemokły do nitki, ale zadowolony, jak zawsze.

— Księżę proboszczu — zawołałam, wybiegając ku niemu — w salonie jest jakiś mężczyzna!

— I cóż ztąd, Reginko? jaki dzierzawca zapewne.

— Ależ nie, księżę, to prawdziwy mężczyzna.

— Jakto, prawdziwy mężczyzna?

— Chciałam powiedzieć, że to ani ksiądz, ani chłop; jest młody i elegancko ubrany. Chodźmy prędko!

Weszliśmy i omal nie krzyknęłam z podziwu, spostrzegłszy, że ciotka moja miała wyraz twarzy rzeczywiście uprzejmy i że uśmiechała się bardzo przyjemnie do nieznanego, który, siedząc naprzeciw niej, był tak swobodnym, jak gdyby był u siebie.

Zresztą sam jego widok wystarczał, by wypogodzić umysł najbardziej zgryźliwy. Wysoki był, dość tęgi, z twarzą rozpogodzoną, szczerą i otwartą. Jasne blond włosy przycięte były krótko, miał was wykręcony junacko, usta dobrze zarysowane i zęby białe, które ukazywał często w szczerym i naturalnym śmiechu. Cała osoba jego tchnęła wesołością i zamiłowaniem życia.

Podniósł się, zobaczywszy nas wchodzących, i oczekiwał chwilę w przekonaniu, że go ciotka nam przedstawi. Ale że ceremoniał ten był jej równie nieznanym, jak nim jest dla mieszkańców Grenlandyi, przedstawił nam się sam, jako Paweł de Conprat.

— De Conprat! — zawołał proboszcz — może pan jesteś synem tego zacnego komendanta de Conprat, którego znałem niegdyś?

— Mój ojciec jest w rzeczy samej komendantem, księżę proboszczu. Więc ksiądz go znałeś?

— Oddał mi on pewną usługę przed wielu laty. Jakiż to dzielny, jaki zacny człowiek!

— Wiem, że ojciec mój jest ogólnie lubianym — odpowiedział pan de Conprat z twarzą jeszcze więcej niż kiedykolwiek rozjaśnioną. — Szczęściem jest dla mnie zawsze, ilekroć nanowo mogę to stwierdzić.

— Ale czy nie jesteś pan również — podjął znów proboszcz — krewnym pana de Pavol?

— Oczywiście, krewnym w trzecim stopniu.

— A otóż jego siostrzenica — rzekł proboszcz, przedstawiając mnie.

Mimo mego braku doświadczenia zauważyłam, że spojrzenie pana de Conprat wyrażało pewien podziw.

— Zachwycony jestem sposobnością poznania tak uroczej kuzyneczki — rzekł mi tonem głębokiego przekonania, wyciągając ku mnie rękę.

Komplement ten wywołał u mnie lekki dreszcz bardzo przyjemny i złożyłam swoją rękę w jego dłoń bez najmniejszego zakłopotania.

— Nie tak znów zupełnie jesteście państwo krewnymi — rzekł proboszcz z miną rozradowaną, zażywając tabaki. — Pan de Pavol jest wujem Reginy przez małżeństwo tylko; żoną jego była panna de Lavallo.

— Nic to nie szkodzi — zawołał pan de Conprat — ja nie zrzekam się naszego pokrewieństwa. Zresztą, gdyby poszukać dobrze, z pewnością znaleźlibyśmy jakie związki rodziny Lavallo'ów z moją.

Zaczęliśmy rozmawiać wszyscy troje jak dawni znajomi, mnie wydało się naprawdę, że widywaliśmy się zawsze, znali z sobą i kochali. Doznawałam tego wrażenia dziwaczного, które pozwala przypuszczać, że to, co się dzieje w tej chwili w oczach naszych, zdarzyło się już w jakiejś epoce, tak odległej, że pozostało po niej tylko jakieś niewyraźnie, zatarte niemal wspomnienie.

Przechodziłam w myśli daremnie wszystkich bohaterów powieści, jakich znałam, żaden z nich nie był tak zaokrąglony, jak mój własny bohater. Był tęgi, puciołowaty prawie, co do tego nie pozostawało ani cienia wątpliwości, ale taki jakiś dobry, taki wesoły, tak dowciony, że ten mankament fizyczny zmienił się niebawem w moich oczach w zaletę znamienitą. Wkrótce nawet moi bohaterowie imaginacyjni wydali mi się odartymi z wszelkiego wdzięku. Mimo ich postaci eleganckich i zawsze wysmukłych, zatarli się oni z gruntu, zatarli wobec tego tęgiego



chłopca, żyjącego, wesołego, którego przybierałam w duszy w całą moc różnych zalet.

Jednakże, jakkolwiek burza nie była już teraz tak gwałtowną, deszcz nie ustawał, a ponieważ zbliżała się pora obiadu, ciotka moja zaprosiła Pawła de Conprat, aby zechciał podzielić go z nami. Oświadczył natychmiast, że zgłodniały jest jak ludożerca i przyjął z gotowością zaprosiny, co mnie prawdziwie zachwyciło.

Wysunęłam się na chwilę z pokoju, by stawić czoło złemu humorowi Zuzanny.

— Zuzanno—odezwałam się, wchodząc do kuchni z miną stanowczą — pan de Conprat zostaje na obiedzie. Czy mamy porządnego kapłona, mleko, poziomki, wiśnie?

— Ha, Boże mój, co tu troszczenia się! — mruknęła Zuzanna — jest, co jest, nie ma się co kłopotać!

— Wielka prawda, Zuzanno! Ale odpowiedz mi przecie! Jeden kapłon, to może być nieco za mało?

— To nie kapłon, panienko, to indyk; proszę popatrzeć!

I Zuzanna z pewną dumą otworzyła piecyk do pieczenia, każąc mi podziwiać ptaka, co dobrze utuczony dzięki jej staraniu i staraniu Piotrusi, ważył przynajmniej ze dwanaście funtów. Złotawa skórka podnosiła się tu i owdzie, dowodząc tym sposobem delikatności mięsa, które pokrywała, i darząc moje zachwycone oczy widokiem prawdziwie pocieszającym.

— Brawo! — zawołałam. — Ale mleko zsiadłe czy też będzie dobre? A czy go jest dużo? A nie zapomnij dobrze przyprawić nam sałatę.

— Mam zwyczaj wszystko dobrze robić, co robię, panienko. Zresztą ten pan nie jest, jak mi się zdaje, ani księciem, ani cesarzem. To mężczyzna

jak każdy inny, będzie zadowolony z tego, co mu się poda.

— Mężczyzna jak każdy inny, Zuzanno! — zawołałam oburzona. — Ty chyba go nie widziałaś?

— Ależ owszem, panienko, widziałam go i slyszalam dobrze, mogę powiedzieć. Czy to wolno tak chrześcianinowi walić pięściami we drzwi uczciwego domu? A teraz zakochaj się panna w nim, jeśli chcesz!

Otworzyłam usta, żeby jej odpowiedzieć dość ostro, ale powstrzymałam się przezornie, pomyślawszy, że chcąc się pomścić i sprawić mi przykrość, Zuzanna gotowaby jeszcze spalić indyka.

W kilka chwil potem przeszliśmy do stołowego pokoju i nie mogłam powstrzymać się od obrzucenia strapionem spojrzeniem brudnego i rozpadającego się w strzępy jego obicia. Przytem Zuzanna miała szczególniejszy sposób nakrywania! Trzy solniczki stały w pośrodku stołu w zastępstwie serwisu; srebro było porzucane poprostu na stół; butelki gonily się po stole a jedyna karafka tak była umieszczoną, że każdy ze współbiedniaków musiał poruszyć się z miejsca, aby ją dostać, stół bowiem był trzy razy większym niż należało.

Po raz pierwszy w życiu intuicyjnie przeczułam, że wszelkie prawa symetrii pogwałcone były iście fantastycznym gustem Zuzanny.

Ale pan de Conprat posiadał jeden z tych szczęśliwszych charakterów, co to umieją brać wszystko z najlepszej strony. A przytem miał dar dopasowywania się do środowiska, w którym mu się znaleźć przyszło.

Przypatrzył się nakrytemu stolowi z miną zadowolonia, pochłonał rosół, nie przestając wciąż rozmawiać, pochwalił Zuzannę i wydał prawdziwy okrzyk radości za ukazaniem się indyka.

— Trzeba przyznać, księżę proboszczu, że ży-

cie jest arcy-szczęśliwym wynalazkiem i że Heraklit obdarzony był spora dozą głupoty.

— Nie obmawiajmy filozofów — odparł proboszcz — jest w nich niekiedy wiele dobrego.

— Ksiądz dobrodziej pełen jest wyrozumiałości. Co do mnie, gdybym był rządem, opróżniłbym z wariatów szpitale, a na ich miejsce osadziłbym tam filozofów, przy czem starałbym się, aby nie odosobniać zbytnio jednych od drugich, tak, aby mogli lepiej wzajem się pożreć.

— Kto to taki Heraklit? — odezwała się moja ciotka.

— Taki głupiec, proszę pani, który trawił czas na mazgajeniu się. Jakież to śmieszne, mój Boże! i za to przeszedł jeszcze do potomności!

— Może też — podsuwałam — spędzał on życie w otoczeniu kilku ciotek; to mogło wyrobić w nim zgorzknienie.

Pan de Conprat spojrział na mnie z miną zdziwioną, a potem wybuchnął głośnym śmiechem.

Proboszcz zwrócił na mnie oczy, ale ciotka porajająca się w tej chwili z indykiem, którego rozkrawała z prawdziwą sztuką, nie dosłyszała mojej uwagi.

— Historia milczy o tym fakcie, kuzyneczko.

— W każdym razie — odparłam — strzeż się pan napadać na ludzi świata starożytnego, bo ksiądz proboszcz gotówby wydrapać panu oczy.

— A! łotry, co mnie oni nadręczyli! Pozostało mi o nich jedno tylko wspomnienie: wspomnienie zadawanych lekcyj, nad którymi się długo pocilem.

— Pozwól pan — odezwał się proboszcz, usiłując ratować swych ulubieńców, którym groziło zatopienie zupełne w mojem mniemaniu — pozwól jednak; nie możesz chyba odmówić im pewnych pięknych zalet, pewnych czynów bohaterskich, które...

-- Złudzenia, wszystko złudzenia! — przerwał Paweł de Conprat. — Byli to łotrzy nieznośni, dla-

tego zaś, że już pomarli, stroi się ich w bajeczne jakieś cnoty, po to tylko, aby upokorzyć tych biednych żywych, którzy doprawdy daleko więcej są od nich warci. Boże! co za wspaniały indyk!

Rozmawiając tak bez przerwy, zajadał równocześnie z apetytem nieporównanym i porywającym prawdziwie.

Kawałki indyka gromadziły się stosami na jego talerzu i znikwały z szybkością tak godną uwagi, że nadeszła chwila, w której ciotka moja, proboszcz i ja przestaliśmy jeść sami, przypatrując mu się w niemem zdumieniu.

— Ostrzegłem państwa z góry przecież — powiedział nam ze śmiechem — że byłem głodny jak ludożerca, co zresztą przytrafia mi się trzysta sześćdziesiąt pięć razy w roku.

— Ileż pieniędzy musisz pan wydawać u siebie na kuchnię!—zawolała ciotka, która miała tę specjalność, że natychmiast spostrzegą stronę kupiecką każdej rzeczy i mawiała zawsze to, czego nie należało mówić.

— Dwadzieścia trzy tysiące sto siedemdziesiąt siedem franków, proszę pani — odpowiedział pan de Conprat z całą powagą.

— Nie może być!—mruknęła ciotka zdziwiona.

— Jesteś pan, jak się zdaje, bardzo szczęśliwym—odezwał się proboszcz, zacierając ręce.

— Czy jestem szczęśliwym, księże proboszczu? Spodziewam się! I mówmy tak szczerze, alboż to warto być nieszczęśliwym, czy to zgodne z naturą człowieka?

— Czasami wszakże!...—odpowiedział proboszcz z uśmiechem.

— A! ba! ludzie nieszczęśliwi są nimi najczęściej z własnej winy, ponieważ biorą życie na wywrot. Widzisz, księże, nieszczęście nie istnieje, istnieje tylko głupota ludzka.

— Ależ i to jest już nieszczęściem—odparł proboszcz.

— Dość negatywnem w samem sobie, księżę proboszczu, a z tego, że sąsiad mój jest ograniczonym, nie wynika bynajmniej, abym go miał naśladować.

— Pan lubisz paradoksy?

— Bynajmniej; ale doprowadza mnie do wściekłości, kiedy patrzę na tylu ludzi, co zatruwają sobie życie jakimiś marami chorobliwej wyobraźni. Przypuszczam, że zbyt mało jadają, że żyją skowronkami i jajami na miękko i psują sobie razem z żółtądkiem i mózgiem również. Uwielbiam życie, zdaje mi się, że każdy powinien uznawać, iż ono jest pięknem i że ma jedną wadę tylko, że się kończy tak prędko.

Indyk, sałata, mleko, wszystko już było pochłonięte; a ciotka moja spoglądała niezbyt uprzejmie na szkielet ptaka, którym miała zamiar raczyć się przez dni kilka.

Mieliśmy wstawać już od stołu, kiedy Zuzanna nawpół otworzyła drzwi i wsunawszy głowę, spytała pyśnym ze swego pomysłu tonem:

— Zrobiłam kawę; czy mam przynieść?

— Kto ci pozwolił?—rozpoczęła moja ciotka.

— Ależ owszem, owszem—zawołałam, przerywając z żywością—przynieś ją natychmiast.

Byłabym uściskała ją za ten pomysł, ale ciotka nie dzieliła bynajmniej mego zdania. Pobiegła wyklócić się z Zuzanną i ukazała się napowrót dopiero w salonie.

— Znakomitą macie państwo kucharkę, moja kuzyneczko—mówił Paweł de Conprat, cedząc zwolna kawę.

— Tak, ale jaka gderliwa!

— To już tylko drobny szczegół.

— A jakże podoba się panu moja ciotka?—spytałam tonem konfidencyjnym.

— No, dość majestatyczna — odpowiedział pan de Conprat, cokolwiek zaambarasowany.

— A! majestatyczna... chcesz pan powiedzieć pewnie: nieprzyjemna?

— Regino!—szepnął proboszcz.

— Mówmy więc o czem innym, księżę proboszczu; chciałabym jednak posiadać szczęśliwe usposobienie mego kuzynka, by mógł dopatrzeć się jakiejś dobrej strony w mej ciotce.

— Radzę ci, urocza kuzyneczko, zdobyć sobie nieco filozofii praktycznej; jest to poważna podstawa szczęścia i jedyna filozofia, mojem zdaniem, nie pozbawiona zdrowego sensu.

— Co to za szkoda, że pan nie jesteś moją ciotką, jakżebyśmy się kochali!

— Ręczę za to! — zawołał, śmiejąc się serdecznie—i nie potrzebaby nam było filozofii, aby dojść do tego rezultatu. Jeśli wszakże, kuzyneczko, nie bardzo ci na tem zależy, wolałbym nie zmieniać płci i być twym wujem.

— Zgoda, z przyjemnością, bo ja nie jestem podobną do Franciszka I-go! Mam zdecydowaną antypatyę do kobiet.

— Doprawdy—odpowiedział, śmiejąc się z całego serca — znane ci są więc upodobania Franciszka I-go.

Proboszcz zrobił jakiś gest rozpaczliwy, na który pan de Conprat odpowiedział wyrazistym mrugnięciem oczu, mającem znaczyć: bądź księżę spokojny, rozumiem!

Ta niema rozmowa podrażniła mnie ogromnie; gwałtownie pragnęłam pochwycić ukryte w niej znaczenie.

— Ponieważ mowa o wuju—rzekłam—czy pan dobrze znasz się z panem de Pavol?

— O, bardzo dobrze; mój majątek odległy jest o pół mili zaledwie od jego posiadłości.

— A jakąż jest jego córka?

— Bawilem się z nią bardzo często, kiedy jeszcze była dzieckiem; ale od czterech lat straciłem ją z oczu. Mówią, że jest bardzo piękna.

— O, jakże chciałabym być w Pavo! — westchnęłam. — Widywalibyśmy się często.

— Kto to wie, kuzyneczko? Może przestałbym ci się wówczas podobać, gdybyś mnie poznała lepiej. Zaświadczyć mogę jednakże, iż ze mnie poczciwy chłopiec; z wyjątkiem namiętności mojej do indyka i tego, że do szaleństwa lubię ładne kobiety, nie mógłbym znaleźć w sobie najmniejszej wady.

— Lubieć ładne kobiety, ależ to nie jest przeciwie wadą! Ja przynajmniej nie mogę znosić brzydkich ludzi. Ale zestawiać indyka z ładną kobietą, to niezbyt pochlebne dla tej ostatniej, mój kuzynku.

— To prawda; wyznaję, że mi się ten frazes nie udał.

— Przebaczam ci, kuzynie. Zatem i mnie zaliczasz do ładnych?

Co najmniej od dwu godzin powtarzałam sobie w najtajniejszej głębi duszy, że nie należy mi stracić sposobności rozjaśnienia palącej mnie od pewnego czasu kwestyi mojego wyglądu. Od samego początku obiadu oczekiwałam z niecierpliwością stosownej chwili, aby wtrącić to pytanie. Nie, żebym miała jakieś wątpliwości co do odpowiedzi; ale posłyszeć o sobie wprost, w oczy wypowiedziany sąd, że się jest ładną, i to wypowiedziany przez kogo innego, nie przez proboszcza... to rzecz prawdziwie rozkoszna!

— Ładnych, moja kuzyneczko! Ależ jesteś zachwycająca! Nie widziałem nigdy piękniejszych oczu, ani piękniejszych usteczek!

— Co za szczęście! i jak mili są mężczyźni, cokolwiekbaż mówi moja ciotka.

— Więc ciotka pani nie lubi mężczyzn? To prawda, że przeszła ona epokę zalotności.

— Zalotności? Nikt mi o niej nie mówił nigdy. Czy pan sądzisz, że należy być zalotną?

— Bezwątpienia, kuzynko, w moich oczach to wielka zaleta.

— Nie uczyłeś mnie tego, księżu proboszczu — zawołałam.

Nieszczęśliwy proboszcz przez czas tej rozmowy miał przedsmak mąk czyścowych. Ocierał sobie wciąż twarz chustką i polykał kąwę, która dla niego była pełną goryczy.

— Pan de Conprat żartuje sobie z ciebie — rzekł proboszcz.

— Czy to prawda, kuzynie?

— Ależ bynajmniej — odpowiedział Paweł de Conprat, który wyglądał tak, jak gdyby bawił się znakomicie. — Według mego przekonania, kobieta, która nie jest zalotną, nie jest kobietą.

— Dobrze, w takim razie postaram się nią zostać!

— Przejdźmy do salonu, panno de Lavale — wymówił proboszcz, powstając.

— Dobryś — myślałam — proboszcz jest zagniewany. A przecież nie powiedziałam nic niedorzecznego.

Deszcz ustał, chmury się rozpierzchły, zaproponowałam więc Pawłowi de Conprat, ażeby przeszedł się ze mną po ogrodzie. I nie czekając na niczyje pozwolenie, zapuściliśmy się w ogród; proboszcz szedł za nami, rzucając na nas zdala ponure niemal spojrzenia i myśląc sobie zapewne, że ukochana jego owieczka znajduje się na drodze zguby.

Biegliśmy jak dzieci po mokrej trawie, nogi przemakały nam aż do kolan, a my śmialiśmy się, jak szaleni.

Rozmawialiśmy, paplaliśmy, ja zwłaszcza opowiadałam mu wydarzenia mego życia, różne drobne



swoje zmartwienia, spowiadałam się ze swoich rojeń i antypatyj.

O! jakże to był miły, jak uroczy wieczór!

Pan de Conprat wdrapał się na drzewo wiśniowe, a za chwilę z silnie wstrząsanych gałęzi spadł na mnie deszcz wiśniowy. Z wysokości drzewa, z ustami pełnymi wiśni, wołał, że krople wody błyszczą w moich włosach, jak jakieś idealne klejnoty i że nigdy nie widział nic tak ładnego.

— A Zuzanna utrzymuje — mówiłam sobie — że to taki mężczyzna, jak każdy inny! Czy podobna być tak głupią?

Powróciliśmy do salonu, gdzie rozpalono wielki ogień na kominku, abyśmy się osuszyć mogli. Siedząc obok siebie z Pawłem, rozmawialiśmy cicho.

Ciotka, oszołomiona snąc mojem zuchwalstwem, swobodą i wesołością, promieniejącą na twarzy, nie mówiła nic.

Proboszcz, zachwycony, że mnie widzi zadowoloną, tak widocznie był tem przejęty, że zapomniał sięść między nami na trzeciego do pogadanki. Ach! co to był za wieczór!

Nakoniec pan de Conprat powstał, zbierając się do odjazdu; wyprowadziliśmy go na dziedziniec.

Pożegnał się serdecznie z proboszczem i podziękował ciotce za gościnność; potem, kiedy przyszła na mnie kolej, ujął mnie za rękę i rzekł mi po cichu:

— Pragnąłbym, kuzyneczko, ażeby ten wieczór nie skończył się nigdy.

— A cóż dopiero ja! Ale pan powrócisz, nieprawdaż?

— Z pewnością, kuzyneczko i mam nadzieję, że niezadługo.

Podniósł rękę do ust — i doprawdy, że w głębi natury ludzkiej musi chyba być nagromadzona wielka moc przewrotności, bo hołd ten był dla mnie przyjemnością tak nową zupełnie, tak żywą i tak

wielką, że przyszła mi myśl nieprzy tojna... Mój Boże! mam się przyznać?

Tak, miałam chęć, której nie wykonałam zresztą— rzucenia mu się na szyję i wycalowania w oba policzki, mimo obecności ciotki i proboszcza, który nas pilnował jak smok nowego rodzaju, jak smok poczciwy, kochany, pyzaty i pobłażliwy.

---

## VII.

Po odjeździe pana de Conprat przez kilka dni pełna bylam jakiegoś dziwnego uszczęśliwienia, które trudno przyszłoby mi określić. Doznawałam wrażeń różnorodnych, objawiających się na zewnątrz skokami i kręceniem się w kółko; ćwiczenia te bowiem przez czas dość długi były moim sposobem wyrażania różnego rodzaju uczuć.

Kiedy już naskakałam się i nakręciłam do woli, rzucałam się w trawę i z oczyma wzniesionemi w niebo myślałam o tysiącu rzeczy, nie myśląc o niczem absolutnie. Ten rozkoszny stan duszy, w którym duch żyje rodzajem drzemki moralnej, w spokoju rozmarzonym, dziwnie zbliżonym do snu, jakkolwiek wszystkie jego władze są właśnie najwięcej rozbudzone, pozostawił mi po sobie najmilsze wspomnienie. Od owego czasu nawet zaczyna się moje szalone upodobanie w błękanie nieba, który od owej chwili wydawał mi się zawsze godnym powiernikiem mych myśli, bez względu czy one były smutne, czy wesołe, poważne, czy lekkie.

Ilekróć dozwoliłam swej wyobraźni błąkać się po ścieżkach ciemnych, tak ciemnych, że pędziłam w nich naoslep, natychmiast zawracalam ją znów ku światłu i kazałam przypatrywać się panu de Conprat. Śmiałam się na wspomnienie tej twarzy otwartej, tego poczciwego, serdecznego śmiechu i tych tśniąco białych zębów.

Drogim mi był ten pocałunek, który złożył na mojej ręce, i doznawałam prawdziwej radości na myśl, że gdybym poszła za natchnieniem chwili, mogłabym go ucałować w oba policzki. Zatrzymywałam się długo przy tych miłych wrażeniach, dopóki z kolei nie przyszło pytanie: dlaczego dusza moja przechodzi przez te różnorodne fazy?

Doszedłszy do tego drażliwego punktu, imaginacja moja zaczynała znów pogrązać się w mroki, w których przychodziło jej potykać się z mglistymi jakimiś myślami, tak mglistymi, że nie mogąc z nimi dojść do ładu, dawałam za wygraną i zwracałam znów myśl do ust, co mi się podobały, do oczu, co się uśmiechały do mnie, do jakiegoś wyrazu, którego zdecydowana byłam nie zapomnieć nigdy.

Ale owe dziwaczne myśli nie dawały mi bardzo długo spokoju i wpadałam z wolna napowrót w ich moc potężną. To też błąkałam się wciąż w niepewności, w czemś nieokreślonym, kiedy, pewnego dnia, ośmieliwszy się zestawić niektóre moje wrażenia z wrażeniami najulubieńszych moich bohaterów powieści, ujrzałam nagle światło, rozświetlające punkt najgłówniejszy.

Odkryłam, że jestem zakochana i że miłość jest najpiękniejszą rzeczą w świecie. To odkrycie przejęło mnie najżywszą radością. Najprzód dlatego, że życie moje upiększone zostało urokiem, który, acz nieokreślony jeszcze, niejasny, niemniej przeto był oczywisty; a powtóre, że jeśli sama kochałam, to niezawodnie byłam również kochaną.

Wistocie kochałam pana de Conprat, ponieważ wydał mi się zachwycającym, w następstwie zatem i mój widok powinien być na jego sercu podobne wywrzeć wrażenie. Wszakże powiedział sam, że jestem urocą! Logika moja, podszyta najzupełniejszym brakiem doświadczenia, nie dochodziła dalej i wystarczała dostatecznie do nadania gruntu moim

rozumowaniom i uczynienia mnie nadzwyczaj szczęśliwą.

Jedno odkrycie sprowadza drugie; doszłam teraz do przekonania, że miłość bliźniego może i nie grała wielkiej roli w sympatyach, które Franciszek I żywił dla kobiet wogóle, a dla Anny de Pisseleu w szczególności; że miłość nie była bynajmniej podobną do przywiązania, boć uwielbiałam proboszcza, a przecież nie życzyłam sobie nigdy ucałować go, kiedy tymczasem nie dałabym się wcale prosić, gdyby chodziło o rzucenie się na szyję Pawłowi de Conprat; że śmiesznością było w jakimś tonie tajemniczym mówić o rzeczy tak naturalnej, w której widocznie przecie niema i cienia złego.

— Ale ksiądz—myślałam sobie—musi o miłości mieć błędne pojęcia, boć skoro mu się żenić nie wolno, nie może też i kochać. A jednak Franciszek I był ożeniony i... Nic z tego wszystkiego nie rozumiem! Trzeba było poszukać wyjaśnienia.

W myślach moich taki zapanował chaos, że mimo moich uprzedzeń pogardliwych dla poglądów proboszcza, postanowiłam pogadać z nim w tym drażliwym przedmiocie.

Zacny ksiądz spostrzegł to doskonale, że umysł mój znajduje się w stanie dziwnego niepokoju, ale zbyt wiele miał sprytu i zdrowego rozsądku, aby okazać, że przywiązuje wagę do wrażeń ulotnych, którym zwierzenia mogłyby nadać dopiero inną postać. Starał się rozrywać mnie wszelkimi możliwymi posobami i zdecydowawszy się przychodzić codziennie do Bouisson, przedłużał zawsze lekcję.

Siedzieliśmy przy stoliku u okna; ciotka, cierpiąca już od niejakiego czasu, poszła do swego pokoju; moja myśl błąkała się gdzieś po księżycu, a proboszcz męczył się, tłómacząc mi zadania.

— Widzisz, Reginko, co zrobiłaś! użyłaś w zadaniu kilogramów zamiast gramów. A że tu miałaś  $\frac{3}{5}$  pomnożone przez...

— Księżę proboszczu—rzekłam—zgadnij, co jest najbardziej uroczą rzeczą w świecie?

— Cóż takiego, Reginko?

— Miłość, księżę proboszczu.

— Co też ty wygadujesz, moje dziecko! — zawołał proboszcz z niepokojem.

— Oh! o takiej rzeczy, którą znam bardzo dobrze—odrzekłam, wstrząsając głową z miną doświadczonej osoby.—Zadaję sobie nawet pytanie: dlaczego nie mówiłeś ze mną, księżę, o tem ani słowa, skoro spotykamy się z tem codziennie.

— Oto są skutki czytania powieści, moja pan-no; bierzesz na seryo to, co jest tylko urojeniem.

— Jak to źle, księżę proboszczu, mówić coś wprost przeciwnego temu, co się myśli! Wiesz dobrze, iż w życiu ludzie kochają się miłością i że to jest rzecz taka piękna.

— Jest to przedmiot, który nie powinien obchodzić młodych pańienek, Regino, i nie powinnaś o nim mówić zupełnie.

— Jakto, to nie obchodzi młodych pańienek? kiedy to one właśnie kochają i bywają kochane!

— Jakież ja jestem nieszczęśliwy—zawołał proboszcz — mając do czynienia z taką zapaloną głową!

— Nie mów, księżę proboszczu, nic złego o mojej głowie, ja lubię ją bardzo, zwłaszcza, odkąd pan de Conprat zauważył, że jest tak ładną.

— Pan de Conprat sobie zażartował z ciebie, Reginko. Bądź przekonaną, że cię uważał za małą dziewczynkę, z którą się liczyć nie potrzeba.

— O! bynajmniej—odpowiedziałam urażona—bo przecież pocałował mnie w rękę. A czy wiesz, księżę proboszczu, co mnie w owej chwili przyszło do głowy?

— Zobaczmyż! — odparł proboszcz, który siedział jak na szpilkach.

— A więc, księżu proboszczu, już, już, omal nie rzuciłam mu się na szyję.

— Głupota! Nikt nie rzuca się przecież na szyję ludziom nieznanym.

— O! tak, ale on!... Zresztą, gdyby to była kobieta, z pewnością taka myśl nie byłaby mi przyszła do głowy.

— Dlaczego, Regino? Gadasz same głupstwa.

— O! bo...

Po tej wielce głębokiej odpowiedzi nastąpiła cisza; z pod oka tylko śledziłam proboszcza, który kręcił się i zażywał tabakę, ażeby sobie nadać minę obojętną.

— Kochany mój księżuniu — rzekłam tonem pieśczośliwym—gdybyś zechciał być dobrym...

— Cóż jeszcze, Reginko?

— No, to zadałabym ci kilka pytań w kwestyach, które mi wciąż chodzą po głowie.

Proboszcz zagłębił się w fotelu z miną człowieka, który nagle powziął stanowczą decyzję.

— Słucham cię, Regino. Lepiej mówić otwarcie o tem wszystkim, co cię zajmuje, niż łamać sobie głowę i błąkać się po manowcach.

— Nie łamię sobie nad niczem głowy, księżu proboszczu, ani błąkam się po manowcach, tylko zastanawiam się bardzo nad miłością, ponieważ...

— Ponieważ?

— Nic. Na początek powiedz mi, księżu, czem to się dzieje, że gdybyś ty pocałował mnie w rękę, uważałabym to za coś śmiesznego i niezbyt przyjemnego nawet, jakkolwiek kocham cię, księżu, z całego serca, kiedy tymczasem doznaję czegoś wręcz przeciwnego, skoro chodzi o pana de Conprat?

— Jakto, jakto? Co ty mówisz, Regino?

— Mówię, że wydało mi się to bardzo przyjemnym, skoro mnie pan de Conprat pocałował w rękę, kiedy tymczasem, gdybyś to ty uczynił, księżu...

— Ależ moja kochana, pytanie twoje jest wprost

niedorzeczne, a wrażenie, o którym mówisz, nie ma zgoła żadnego znaczenia i nie warto jest, aby się nad niem zastanawiać.

— Ach! nie takie ja mam o tem zdanie. Myślę o tem wrażeniu często i oto, co odkryłam; wynika to ztąd, że jeśli czyn pana de Conprat sprawił mi przyjemność, to dlatego, że on jest młodym i że mógłby być moim mężem, kiedy tymczasem ty, księżuniu, jesteś stary i jako ksiądz nigdy nie możesz się żenić.

— Tak, tak — odpowiedział machinalnie proboszcz.

— Bo przecież zawsze męża swego kocha się... Nieprawdaż?

— Bez wątpienia, bez wątpienia.

— Teraz, księżę proboszczu, powiedz mi, czy to prawda, że zdarza się mężczyznom kochać kilka kobiet?

— Nic o tem nie wiem — wymówił proboszcz podrażniony.

— Ale owszem, musisz o tem wiedzieć niezawodnie. A przytem zdarza się, że mąż kocha inną kobietę, nie swoją żonę, boć Franciszek I-szy kochał Annę de Pisseleu, a był przecież żonatym.

— Franciszek I-szy był pierwszym ladaco, a Buckingham, którego ty tak lubisz, drugim!

— Mój Boże—odparłam—każdy ma właściwy sobie charakter i nie widzę racyi poczytywania im za zbrodnię tego, że kochali kilka kobiet. Królowa Klaudya i pani Buckingham może były podobne do mojej ciotki. Zresztą, doszłam teraz do przekonania, że uczuć nie można nakazać i oni nie mogli tak samo nie kochać, jak ja...

— Co, Regino?

— Nic, księżę proboszczu. Ale obawiam się, że mam pewną słabość do takich nicponiów, bo dla mnie Buckingham jest prawdziwie zajmujący.

— Wszakże, moja kochana, usiłowałem wytłó-

maczyć ci pewne rzeczy, odkąd czytasz Walter-Scotta, a o ile mi się teraz wydaje, tyś nic nie zrozumiała.

— Posłuchaj, księże proboszczu, tłumaczenia twoje nie są zbyt jasne, a tyle jest niedokładności w mojej głowie!.. Wszystko to jest bardzo szczególne—mówiłam dalej w zamyśleniu.—Nakoniec wytłumacz mi, księże proboszczu, dlaczego miłość budzi w tobie oburzenie?

— Regino—odezwał się ksiądz wzburzony—dość już tego! Masz taki sposób stawiania pytań, że niepodobna jest ci odpowiadać. Mówię ci to całkiem na seryo: są kwestye, o których nie powinnaś mówić i których zrozumieć nie możesz, boś na to za młoda.

Proboszcz wziął kapelusz pod pachę i uciekł formalnie. Ja pobiegłam wślad za nim do drzwi i krzyczałam:

— Mów sobie wszystko, co chcesz, kochany mój księże proboszczu, ale ja dobrze wiem, co to miłość: to najczarowniejsza rzecz w świecie! Niech żyje miłość!

Proboszcz przez dwa dni nie przyszedł wcale do Buisson, tak, że zmartwiona tem, iż mu nadokuczałam tyle, trzeciego dnia wybrałam się na probos:two, z zamiarem okazania skruchy. Zastałam go w kuchni nad bardzo skromnem śniadaniem, które zjadał z wielkim apetytem.

— Księże proboszczu — rzekłam tonem względnie pokornym—czy gniewasz się na mnie?

— Cokolwiek, Reginko, bo nie chcesz nigdy mnie słuchać.

— Przyrzekam ci, księżuniu, że nigdy już nie będę mówiła o miłości.

— Staraj się przedewszystkiem, Reginko, nie myśleć o rzeczach, których nie rozumiesz.

— O! których nie rozumiem...—zawołałam, zapalając się natychmiast — rozumiem doskonale i na



przekór wszystkim księżom tego świata, utrzymywać będę, że...

— Daj pokój—przerwał proboszcz z niechęcią— widzisz, że już znów zaczynasz błądzić!

— To prawda, kochany proboszczu, ale zapewniam cię, że ksiądz nic a nic tego wszystkiego nie rozumie.

— Ani też Regina de Lavallo. Przyjdę dziś do ciebie na lekcję, moja mała.

Tak zakończyła się sprzeczka najważniejsza, jaką miałam kiedykolwiek z moim proboszczem.

Dnie wszakże biegły, a Paweł de Conprat nie powraaał; fakt ten niekorzystnie wpłynął na mój system nerwowy, pojawiła się we mnie drażliwość, nie wróżąca nic dobrego. W miesiąc po pamiętnem wydarzeniu straciłam wszelką nadzieję, spokój, i skoro dodamy do tego jeszcze nudy zwykłe mego życia, łatwo pojąć, że popadłam w milczący smutek.

Wówczas to proboszcz poróżnił się z moją ciotką, która go wyrzuciła za drzwi.

Siedząc pod oknem salonu, słyszałam rozmowę następującą:

— Pani — przemówił proboszcz — przyszedłem z nią pomówić o Reginie.

— A to na co?

— To dziecko się nudzi. Wizyta pana de Conprat otworzyła przed jej umysłem horyzonty, rozświetlone już w części przeczytaniem kilku powieści. Potrzebuje ona rozrywki.

— Rozrywki! Zkądże ksiądz chce, ażebym ją dla niej brała? Ja ruszyć się nie mogę nigdzie, jestem chora.

— To też nie liczę ja na panią w tem, co dotyczy rozrywki, tak potrzebnej Reginie. Trzeba napisać do pana de Pavol i poprosić go, ażeby na pewien czas zabrał ją do siebie.

— Napisać do pana de Pavol!... Jeszcze czego! Mała nie chciałaby potem już tu powrócić.

— Bardzo być może, ale to już rzecz mniejszej wagi, którą zająć się będzie można później. A przytem jest ona przeznaczoną do życia w świecie; dziś czy później; wydaje mi się też niezbędnem, aby zmieniła sposób życia i zobaczyła wiele rzeczy, o których dotąd nie ma najmniejszego pojęcia,

— Nie pozwolę na to, księżę proboszczu. Regina ztąd nie wyjedzie.

— Ależ pani — odparł proboszcz, który zaczął się już zapalać — powtarzam, że to rzecz nagląca. Regina jest smutna, głowa jej jest żywą i nie próżnuje, jestem pewien, że sobie uroiła, iż jest zakochaną w panu de Conprat.

— To mi wszystko jedno! — mówiła ciotka, która nie była nawet zdolną pojąć rozumowań proboszcza.

— Napisane jest, że samotność bywa adwokatem szatana — i to rzecz prawdziwa, pani, tam gdzie chodzi o młodzież. Samotność jest szkodliwą dla Reginy, jest przeciwną jej usposobieniom; nieco zabawy pozwoli jej zapomnieć o tem, co w gruncie jest tylko dzieciństwem.

„Jakie też taki ksiądz miewa śmieszne pomysły! — myślałam sobie. — Traktować tak lekko rzecz tak poważną i wyobrażać sobie, że ja kiedy zapomnę pana de Conprat!”

— Księżę proboszczu — zaczęła znów ciotka najoschlejszym swym tonem — nie wtrącaj się do tego, co do ciebie nie należy. Moja w tem, a nie twoja głowa!

— Pani, ja kocham to dziecko z całego serca i nie dozwolę, aby było nieszczęśliwe! — odrzekł proboszcz tonem, którego nigdy u niego nie słyszałam. — Zagrzebałaś ją pani w Buisson, nigdy nie dałaś jej najmniejszej przyjemności i powiedzieć mogę, że gdyby nie ja, byłaby rosła w nieuctwie i znikczemnieniu i wyrosła na dziczkę, lub zwiędła. Powtą-

rzam pani, że trzeba koniecznie napisać do pana de Pavol.

— Tego już nadto! — wrzasnęła moja ciotka, rozwścieczona; — cóż to, czy już nie jestem panią u siebie w domu? Wychodź mi ztąd, księżu proboszczu i niech noga twoja nigdy już progę mego nie przestąpi.

— Dobrze, moja pani, wiem teraz przynajmniej, co mi czynić należy, i widzę dziś jasno, że jeśli dawniej już nie wziąłem się czynnie do tej sprawy, to dlatego tylko, że mnie zaślepiła egoistyczna przyjemność widywania wciąż mojej Reginki.

Proboszcz spotkał mnie w alei, we łzach tonącą.

— Czy to podobna, mój drogi księżuniu!... Ciebie wyrzucono za drzwi i to przezemnie!... Co stanie się z nami, jeśli nie będziemy się już widywali z sobą?

— Słyszałaś więc całą sprzeczkę, kochane moje dziecko?

— Tak, tak, byłam pod oknem. Ach! co to za kobieta! co za...

— Cicho, cicho, uspokój się, Reginko — mówił proboszcz, sam zaczerwieniony i drżący na całym ciele. — Dziś wieczorem jeszcze napiszę do twego wuja.

— Pisz jak najprędzej, drogi księżu. Oby tylko przyjechał po mnie zaraz!

— Miejmy nadzieję! — odparł proboszcz z poczciwym, nieco smutnym uśmiechem.

Różne obowiązki jednak przeszkodziły mu napisać list ów tego wieczora, nazajutrz zaś ciotka moja, która od kilku tygodni już walczyła wciąż z chorobą, rozchorowała się niebezpiecznie. W pięć dni później śmierć zapukała do drzwi dworu w Buisson i zmieniła w zupełności tor mego życia.

## VIII.

Schroniłam się na probostwo bezpośrednio po śmierci mej ciotki, która ani razu w ciągu choroby nie zażądała, aby mnie do niej przywołano, a którą Zuzanna pielęgnowała z prawdziwem poświęceniem.

Proboszcz napisał do pana de Pavol, donosząc mu, że pani de Lavallo zachorowała, postępy jednak choroby były tak szybkie, że wuj mój otrzymał telegram o jej śmierci, zanim jeszcze mógł odpisać na list proboszcza. Odtelegrafował natychmiast, donosząc nam, że niepodobienstwem dlań będzie stawić się na pogrzeb.

Nazajutrz otrzymaliśmy od niego list, w którym powiadał, że nie wyzdrowiawszy jeszcze całkowicie z ataku podagry, nie może przybyć do Buisson. Prosił przeto proboszcza, ażeby mnie odwiózł za kilka dni do C..., spodziewając się, że będzie już na tyle zdrowszym, aby móżd po mnie tam przyjechać.

Ciotka moja pochowaną została bez wszelkiej okazałości i bez licznego orszaku ludzi. Niezbyt była lubianą, więc i do grobu nie brała z sobą wielkiej sympatyi ludzkiej.

Powróciłam z pogrzebu, z wielkim wysiłkiem starając się wzbudzić w sobie choć odrobinę żalu; ale i to mi się nie udawało. Naprzekór sumieniu, które mi w tym względzie czyniło wyrzuty, w głowie mej i sercu panowało bezpodzielnie rozkoszne uczucie oswobodzenia. Gdybym jednak była znała owe słowa znakomitego męża, byłabym je przyswoiła sobie z pewnością i wyznaję, że byłabym wołała w przystępie mizantropii:

„Nie wiem, co się dzieje w sercu nędznicy, ale znam serce uczciwej małej dziewczynki, a to, co w niem widzę, przeraża mnie do głębi!”

Ale słowa te były mi całkowicie nieznane, nie mogłam więc posłużyć się niemi.

Wuj mój naznaczył dzień mego wyjazdu na 10-go sierpnia, obecnie był 8-my i dwa te dni pozostałe spędziłam z proboszczem, którego pocziwa twarz zasępiła się z każdą godziną więcej na myśl o naszym rozstaniu.

We wtorek rano kazał dla mnie przygotować doskonale śniadanie i zasiadliśmy do niego po raz ostatni naprzeciw siebie, myśląc, że posiłek sił nam doda. Ale dławił nas każdy kąsek, a ja używałam wszystkich sił, aby powstrzymać łzy.

Noc poprzednią zacny ksiądz spędził bezsennie. Zbyt wielkiem było jego zmartwienie, aby mógł usnąć, a prócz tego jeszcze, nie mogąc mnie odwiedzić do C, pisał do mego wuja list o siedemnastu stronach, w którym, jak się później dowiedziałam, wliczał moje zalety, małe, wielkie i średnie. O wadach nie było tam mowy.

— Moja droga dziecino — rzekł mi po długim milczeniu — wszak nie zapomnisz swego starego proboszcza?

— Nigdy, nigdy! — zapewniałam z zapalem.

— Nie zapomnisz także rad moich. Strzeż się wyobraźni, Reginko. Ja porównyвам ją do pięknego płomienia, co oświeca, ożywia inteligencyę, gdy się go podsyca ostrożnie a umiejętnie; skoro wszakże poddaje mu się zbyt wiele karmi, wybucha w ognisko, ogarniające dom cały — a pożar pozostawia za sobą popioły i żuzle.

— Będę się starała zawiadnać rozumnie tym płomieniem; ale przyznam się, księżu proboszczu, że ja nie lękam się znów tak bardzo pożarów.

— A przecież strzedz się ich trzeba! Nie igrajmy z ogniem, Regino.

— Tylko takie maleńkie ognisko, księżu proboszczu, to takie śliczne! A jeśli kto ulęknie się pożaru, dość na ogień nalać trochę zimnej wody.

— Gdzie jednak szukać tej zimnej wody, moja mała?

— Ach, dziś nie wiem jeszcze, ale z czasem może się nauczę jej szukać.

— Daj Boże, aby ci nie była potrzebną! — zawołał proboszcz. — Zimna woda, moja kochana dziecko, to są rozczarowania i zmartwienia i codziennie modlić się będę gorąco, aby je Bóg usunął z twej drogi.

Łzy napływały mi do oczu, kiedy słuchałam tego, co mi proboszcz mówił, i wypilałam ogromną szklanicę wody, aby przyjść do siebie ze wzruszenia.

— Zanim cię opuszczę, księżo proboszczu — podjęłam — muszę cię uprzedzić, że czuję w sobie wielki pociąg do zalotności.

— To słaba strona wszystkich kobiet, wiem o tem — rzekł ksiądz z serdecznym swym uśmiechem — ale zbyt wiele tego być nie powinno, Reginko. Zresztą bywanie w świecie nauczy cię równowagi w uczuciach, a przytem wuj będzie umiał tobą pokierować.

— Jakież to musi być zachwycające to życie w świecie i jak pewną jestem, że się podobać będę, kiedym tak ładna....

— Bezwątpienia, bezwątpienia, ale strzeż się zbyt przesadzonych pochwał, strzeż się próżności...

— Ba! kiedy to tak naturalne chcieć się podobać, przecież w tem niema nic złego.

— Hm! to moralność nieco luźna — odpowiedział proboszcz, jeżąc sobie włosy na głowie. — Wreszcie to rozumowanie właściwem jest twemu wiekowi i chwała Bogu! nie doszłaś jeszcze do tego, ażeby sobie powiedzieć z eklezyastą: Próżność nad próżnościami i wszystko tylko próżność!

— Jakże ten eklezyasta przesadza! A wreszcie on żył już tak dawno! Wydaje mi się, że jego pojęcia muszą być przestarzałe,

— No, no, dajmy temu pokój. Wiem dobrze, że Pismo Święte i myśli biednego proboszcza wiejskiego nie mogą być zrozumiałemi dla dziewczyny młodej i ładnej, i która, jak mi się wydaje, jest dość zakochana w swej twarzycze.

Popatrzył na mnie z uśmiechem, ale usta jego drżały, bo zbliżała się już chwila wyjazdu.

— A nie zazięb się czasami w drodze, Reginko.

— Ależ, księżę proboszczu, toć to sierpień, duś się trzeba z gorąca!

— To prawda — odpowiedział proboszcz, który potrochu zaczynał już tracić głowę. — Więc nie okrywaj się zanadto z obawy przed zaziębieniem.

Podnieśliśmy się po daremnych usiłowaniach zjedzenia choć kawałka chleba i pasztetu.

— Jak mi okropnie smutno! — zawołałam wyluczając nagle płaczem — jak mi smutno, że cię opuszczam, mój księżę kochany!

— Nie płaczmy, nie płaczmy, to niedorzeczne zupełnie — mówił proboszcz, nie spostrzegając, że grube łzy splywały mu po policzkach.

— Ach, księżę proboszczu — wołałam przejęta nagłym wyrzutem sumienia — doprowadzałam cię nieraz do gniewu.

— Nie, nie, byłaś zawsze pociechą mego życia, całym mojem szczęściem.

— Co się to stanie z tobą bezemnie, biedny mój księżuniu?

Proboszcz nic nie odpowiedział. Przechadzał się wzdłuż i wszerz pokoju, wycierał nos głośno i wreszcie udało mu się zapanować nad wzruszeniem, które ścisnęło mu krtań i domagało się ujawnienia gwałtem w bolesnem łkaniu.

Kabryolet zajechał już przed drzwi probostwa. Piotrusia, wystrojona we wszystko niemal, co posiadała, miała mi towarzyszyć do C. i oddać mnie w ręce wuja. Dzierżawca poleczone miał powozić, Zuzanna bowiem, której to było zwykiem zajęciem

oddana teraz swemu smutkowi, miała czasowo doglądać dworu w Buisson.

Poleciałam Janowi jechać naprzód, a oboje z proboszczem poszliśmy kawalek drogi pieszo, żeby być dłużej z sobą.

— Pisywać będę codziennie do księdza.

— Nie żądam tyle, drogie dziecko. Pisz do mnie bodaj raz na miesiąc, ale zawsze szczerze.

— Opisywać ci będę, księżu proboszczu, wszystko, bezwarunkowo wszystko, nawet zapatrywania moje na miłość.

— Zobaczymy to! — rzekł proboszcz z uśmiechem niedowierzania. — To życie, w które wejdiesz, będzie tak nowem dla ciebie, przepelnionem tylu zabawami, że nie liczę zbytnio na to, ażebyś dotrzymała swych przyrzeczeń.

Jan zatrzymał się, oczekując na nas, trzeba było jednak jechać. Pochwyciłam dłonie zacnego proboszcza i rozplakałam się serdecznie.

— Życie ma czasami szkaradne chwile, księżu!

— To przejdzie, to przejdzie—odpowiedział urywanym głosem. — Żegnaj mi, kochana moja, dobra dziecino, nie zapominaj o mnie i strzeż się, strzeż się...

Ale nie mógł dokończyć zdania i dopomógł mi pośpiesznie wejść do kabrioletu.

Zajęłam dawne miejsce ciotki, gnieciona z jednej strony przez walizkę, nie mającą zamku, z drugiej przez cały stos pakunków, najdziwaczniejszego kształtu, pozwijanych przez Piotrusię.

— Do widzenia, kochany, stary mój księżu-niu!—wołałam z powozu.

Raz jeszcze pożegnał mnie pełnym uczucia gestem i odwrócił się nagle. Przez łzy widziałam, jak oddalał się wielkimi krokami i kładł na głowę kapelusza, co było dosadnym dowodem, że stan jego duszy kompletnemu chyba uległ przewrotowi.

Wyszlochawszy się tak z dobrych dziesięć mi-



nut, osadziłam, że czas już pójść za radą Piotrusi, która powtarzała na wszystkie tony:

— Trzeba przyjść do rozumu, panienko, trzeba już przyjść do rozumu!

Wcisnęłam chustkę do kieszeni i zaczęłam się zastanawiać.

Doprawdy życie jest dziwną rzeczą! Ktoby był myślał przed dwoma tygodniami, że marzenia moje spełnią się tak szybko i że w niedalekiej już przyszłości zobaczę pana de Conprat? Ta myśl ponętna rozpędziła ostatnie chmury, zaćmiewające jeszcze horyzont mego umysłu, i zaczęłam przekonywać się, że niebo było piękne, życie przyjemne i że ciotki, odchodzące do nieba lub do czyśca, obdarzone są prawdziwym rozumem.

Drugą moją myślą był wuj. Niepokoiłam się niepomiernie wrażeniem, jakie na nim uczynię i zdawałam sobie dokładnie sprawę z tego, że czarna sukienka i dziwaczny kapelusz, które mi zlepiła Zuzanna, były straszliwie śmieszne. Ten nieszczęsny kapelusz zwłaszcza sprawiał mi nieopisane udrczenie. Sfabrykowany z krepy, pochodzącej jeszcze z czasu śmierci pana de Lavalles, wyglądał z pozoru na jakiś placek, któryby mogły ślimaki obrać sobie za mieszkanie.

Niezawodnie musiał on szpecić mnie okropnie, a że myśli tej znieść nie mogłam, zdjęłam z głowy kapelusz, zwinęłam go w kłębek i wsadziłam do kieszeni, której obszar i głębokość przynosiły zaszczyt praktycznemu zmysłowi Zuzanny.

Prócz tego dręczyła mnie obawa, że się wydać mogę ograniczoną, wiedziałam bowiem doskonale, że mnóstwo rzeczy, które dla wszystkich innych są zupełnie naturalnymi, dla mnie stanowić będą źródło zdumień i zachwytów. Postanowiłam zatem, ażeby nie narażać na szyderstwo obcych mej miłości własnej, ukrywać starannie wszelkie podziwy.

Różnorodność tych zajmujących mnie myśli, skró-

ciła mi drogę tak dalece, że kiedy, zdawało mi się, iż jesteśmy jeszcze bardzo daleko od C., już dojeżdżaliśmy do miasteczka. Pojechaliśmy wprost na kolej, przejechawszy przez miasto tak szybko, jak na to dozwalały sztywne nogi wiozącego nas konia.

Wuj mój nie był ani wysoki, ani chudy, jak go sobie zawsze wyobrażałam. To też byłam zdziwiona, zobaczywszy, gdy jakiś jegomość ciężkim krokiem podszedł do powozu, wołając głośno—o ile muj mój głośno mówił kiedykolwiek:

— Dzień dobry, moja siostrzenico; już dobrą chwilę na ciebie czekam.

— Podał mi rękę, dopomagając wyjść z powozu, i ucałował serdecznie. Poczem, przypatrując mi się od stóp do głowy, rzekł:

— Maleńka jak gnom, ale dyabelnie ładna!

— Takim jest i moje zdanie, wuju—odpowiedziałam, spuszczać oczy.

— A! to i twoje zdanie również?

— Ależ oczywiście; niemniej też i zdanie naszego proboszcza, a także i... Ale tu jest list proboszcza do ciebie, wuju.

— Dlaczegoż nie przyjechał?

— Zatrzymało go kilka ważnych obowiązków kościelnych.

— Szkoda, byłbym rad go zobaczyć. Co to, nie masz kapelusza, moja panienko?

— Owszem, wuju, mam go w kieszeni.

— W kieszeni? A to czemu?

— Bo jest ohydny, wuju.

— Śliczna mi przyczyna! Czy to widziane rzeczy nosić kapelusz w kieszeni! Nie podróżuje się bez kapelusza, moja maleńka. Pośpiesz się z włożeniem go na głowę, przez ten czas jak ja będę oddawał na wagę twoje rzeczy.

Dość zmieszana tą napaścią, włożyłam napowrót na głowę kapelusz, nie bez stwierdzenia jednak,

że podróż w kieszeni nie zbyt wyszła na zdrowie temu wytworowi przemysłu ludzkiego.

Potem pożegnałam się z Janem i Piotrusią.

— Ach! panienko—zapewniała mnie Piotrusia—więcej nie mogłabym chyba żałować najpiękniejszej i najlepszej krowy.

— Bardzo ci dziękuję—odparłam nawpół śmiejąc się, nawpół płacząc. — Pocałujmy się jeszcze na pożegnanie!

Ucałowałam czerwone i jędrne policzki Piotrusi, na których, jak się obawiam, niejeden z tych „łotrów, umiejących tak słodko przemawiać,” składał przelotne lub rozgłośne pocałunki.

— Do widzenia, Janie.

— Do widzenia, panienko — odpowiedział Jan, śmiejąc się głupkowato co jednak także miało wyrażać wzruszenie.

W kilka minut później siedziałam już w wagonie naprzeciw mojego wuja, pomieszana strasznie, oszołomiona ruchem, panującym na peronie i nowością mego położenia.

Kiedy ochłodziłam cokolwiek z pierwszego wrażenia, zaczęłam przypatrywać się uważnie panu de Pavol.

Wuj mój, średniego wzrostu, dobrze zbudowany, szeroki w ramionach, z grubemi, czerwonymi rękami, niezbyt starannie utrzymanemi, na pierwszy rzut oka nie wyglądał bynajmniej arystokratycznie. Twarz miał rumianą, czoło wysokie, nos duży i włosy przycięte bardzo krótko i stojące jak szczotka; oczy miał małe, badawcze, głęboko osadzone pod gęstemi i wydatnemi brwiami. Ale pod tą zewnętrżnością dość pospolitą wkrótce odkrywałeś człowieka światowego i rasowego.

Wybitnym rysem jego twarzy, tem, co w niej najwięcej uderzało, były usta. O rysunku śmiałym, energicznym i dość poprawnym, jakkolwiek dolna warga była cokolwiek za gruba, usta te miały wy-

raz rozumny, ironiczny, drwiący, przebiegły, który mieszał najmniej trwożliwych i przygwałdział ich do miejsca.

Obserwując mego wuja, zapominałeś całkowicie o pospolitościach, jakie przedstawiać mogła strona jego fizyczna, a raczej nie widziałeś już w nim nic pospolitego lub gminnego, i przyznać byleś zmuszony, że charakter nieociosany nieco tej postaci, stanowił ramę doskonale uwydatniającą te rozumne uduchowione usta.

Wuj nie mówił wiele i zawsze powoli, ale każde słowo jego ogólnie wywierało wrażenie. Miał upodobanie częstokroć w używaniu dosadnych wyrażen, które tem więcej zwracały na siebie uwagę, że wypowiedane bywały wolno i z naciskiem. Nie miał więcej nad lat sześćdziesiąt; niemniej jednak ponieważ podlegał częstym napadom podagry, umysł jego ociężał nieco pod wpływem cierpienia fizycznego. Ale jeśli nie miał już tej dawnej żywości odpowiedzi, usta jego, ruchem niedojrzanym niemal, wyrażały wszystkie odcienia istniejące między ironią, sprytem, otwartemi drwinami lub szyderstwem i widziałam nieraz ludzi w proch startych przez mego wuja, zanim jeszcze wypowiedział jedno bodaj słowo.

— Ja, naturalnie, zbyt jeszcze byłam niedoświadczoną, ażeby natychmiast wystudyować głęboko pana de Pavol, przypatrywałam mu się jednak z wielkiem zajęciem. On ze swej strony, odczytując list proboszcza, przywieziony przezemnie, rzucał od czasu do czasu badawcze spojrzenia na mnie, jak gdyby dla sprawdzenia, czy twarz moja nie przeczy twierdzeniom księdza.

— Przypatrujesz mi się coś ogromnie, moja siostrzenico—odezwał się—miałażbyś może przypadkiem uważać, że jestem ładny?

— Ani trochę.

Wuj skrzywił się zlekka.

— Co za szczerłość! A nie mogłabyś mi czasem powiedzieć, dlaczego jesteś tak blada?

— Bo się okropnie boję.

— Boisz! A czego?

— Jedziemy tak szybko, to przerażające!

— A! dobrze, rozumiem; po raz pierwszy w życiu podróżujesz. Uspokój się, niema w tem nic niebezpiecznego.

— A kuzynka moja, wujaszku, czy znajduje się teraz w Pavol?

— Oczywiście; bardzo się cieszy, że będzie mogła cię poznać.

Wuj zadał mi kilka pytań, dotyczących ciotki, sposobu życia naszego w Buisson, potem wziął w rękę gazetę i nie wymówił już ani słowa, aż do chwili naszego przybycia do V.

Tutaj wsiedliśmy do powozu zaprzężonego w parę koni, który miał nas zawieźć do Pavol. Zapakowano jak można było moje ohydne pakunki do tego eleganckiego powozu, od którego odbijały okropnie, co mnie głęboko upokarzało.

Zaledwie usadowiliśmy się w powozie, wuj dał mi torbę z ciastkami, żebym się posiliła, i zagłębił się znów w nowej gazecie.

Ten sposób postępowania zaczął mnie drażnić.

Pomijając już, że z natury milczeć nie lubię zbyt długo, miałam tysiące pytań na języku. To też kiedy już nacieszyłam się dostatecznie przyjemnością jechania ładnym powozem, wybitym elegancko, zdecydowałam się przerwać milczenie.

— Mój wuju — rzekłam — gdybyś tak zechciał zaprzestać czytania, moglibyśmy pomówić z sobą trochę.

— Owszem, moja droga — odpowiedział wuj, składając natychmiast dziennik. — Sądzilem, że wolisz rozmyślać spokojnie. I o czemże będziemy rozprawiali? O kwestyi wschodniej, o ekonomii poli

tycznej, o ubieraniu lalek, czy też o obyczajach małych amerykańskich?

— Wszystko to nie zajmuje mnie zbyt wiele; a co do obyczajów małych amerykańskich, wyobrażam sobie, wuju, że równie wiele wiemy o nich oboje.

— Bardzo być może, w samej rzeczy — odparł pan de Pavol, dość zdziwiony moją śmiałością. — No, więc wybierz jaki przedmiot.

— Powiedz mi, wuju, czy nie jesteś czasem łotrem bez czci i wiary?

— Co! co ty u dyabła prawisz, moje dziecko?

— Pytam cię, wuju, czy nie jesteś po trochu łotrem lub fanfaronem?

— Słuchaj... kpisz sobie ze mnie, czy co? — zawołał wuj, używając nader nieparlamentarnego wyrazu.

— Nie gniewaj się, wuju, z mojej strony bowiem jest to chęć rozpoczęcia studyów obyczajowych, daleko bardziej zajmujących dla mnie, niż obyczaje małych amerykańskich. Chciałabym dowiedzieć się, czy ciotka moja miała słuszość; utrzymywała ona bowiem, że wszyscy mężczyźni są łotrami i fanfaronami.

— Ciotka twoja widocznie nie miała zdrowego sensu?

— Owszem, miała go wiele, wynosząc się na tamten świat, ale w innym kierunku za to ani trochę — odpowiedziałam spokojnie.

Pan de Pavol spojrział na mnie z widocznym zdziwieniem.

— Al rzeczywiście! jest to sposób cokolwiek bezwzględny wyrażania swych myśli. Więc nie żyłaś widać w wielkiej zgodzie z panią de Lavallo?

— O nie!. Była to osoba nieprzyjemna niezmiernie i biła mnie nieraz. Spytaj, wuju, proboszcza, którego wyrzuciła za drzwi z mego powodu, dlatego, że bronił mojej sprawy. I jakim stało się to sposobem, że pozostawiłaś mnie tak długo

u niej, wuju? Przecież to była kobieta gminnego pochodzenia i miałeś pewne uzasadnione uprzedzenia do niej.

— Kiedy rodzice cię odumarli, Regino, moja żona była bardzo chorą i było mi bardzo na rękę, gdy żona mego szwagra zdecydowała się wziąć cię do siebie. Widziałem cię potem raz jeden, kiedy liczyłaś lat sześć; wydało mi się, że jesteś wesolą, dobrze utrzymaną, a od tego czasu, słowo daję! niemal zupełnie zapomniałem o tobie. Żałuję tego dziś serdecznie, skoro nie czułaś się szczęśliwą.

— Ale teraz zatrzymasz mnie na zawsze przy sobie, wuju?

— Oczywiście — odpowiedział pan de Pavol, niemal z żywością.

— Jeśli mówię na zawsze, to chcę przez to powiedzieć: aż do chwili mego wyjścia za mąż, bo ja niezadługo za mąż wyjdę.

— Wyjdiesz niezadługo zamąż? Jakto, przecież zaledwie wyszłaś z pieluch, a już mówisz o małżeństwie? Małżeństwo jest głupim wymysłem, wiedz o tem, moja siostrzenico.

— Dlaczegoż to?

— Kobiety są licha warte! — odpowiedział wuj mój z wyrazem głębokiego przeświadczenia.

Rzuciłam się w kął powozu, wzburzona, myśląc w duszy, że ocena ta nie była zbyt pochlebną dla mej wujenki.

Przetrawiwszy sentencję wuja, podjęłam znów:

— Skoro przecież ja poślubić mogę tylko mężczynę, obojętną jest dla mnie rzeczą fakt, że kobiety są licha warte. Niech tam mąż mój radzi sobie ze mną, jak będzie mógł.

— To mi logika! Umiesz rozumować, jak widzę! Młode dziewczyny mają manię wychodzenia za mąż, to rzecz znana.

— Więc i kuzynka dzieli moje poglądy?

— Tak — odparł wuj mój zachmurzony.

— A! tem lepiej! — zawołałam, zacierając ręce. — Czy kuzynka moja jest wysoka?

— Wysoka i piękna — odrzekł pan de Pavol uprzejmie — prawdziwa z niej bogini; to radość moich oczu. Zresztą zobaczysz ją za chwilę, bo już dojeżdżamy.

W rzeczy samej skręcaliśmy w aleję wielkich wiązów, prowadzącą do palacu.

Kuzynka moja oczekiwała na nas na schodach podjazdu. Przyjęła mnie w objęcia z majestatem królowej, co darzy łaską swych poddanych.

— Boże, jakaś ty piękna! — zawołałam, przypatrując się jej zdumiona.

Bo też naprawdę rzadko spotkać można piękność bezsporną; uroda zaś mojej kuzynki uderzała odrazu i nie mogła stanowić kwestyi sporu. Nie zawsze ona podobała się, ponieważ wyraz twarzy miała wyniosły, a czasami nawet cokolwiek surowy, ci jednak, co nie należeli zupełnie do jej wielbicieli, zmuszeni byli wyrzec razem z moim wujem, że:

— Dyabelnie jest piękna.

Miała włosy czarne, zarastające dość nisko na czoło, profil grecki doskonałej czystości, karnację wspaniałą, oczy niebieskie, o ciemnych rzęsach i brwiach dobrze zarysowanych. Wysoka, kształtna, dość rozrosła, z biustem dobrze rozwiniętym, wyglądałaby na więcej niż lat ośmnaście, gdyby nie to, że usta, mimo ich łuku, nieco wzgardliwego, który groził, że z czasem zbyt się uwydatni, miały pewien dziecięcy układ, znamionujący wielką młodość. Chód jej i ruchy były powolne, cokolwiek niedbałe, ale zawsze harmonijne, bez żadnej przesady. Jeden z przyjaciół pana de Pavol powiedział ze śmiechem, że skoro dojdzie lat dwudziestu pięciu, będzie kropla w kroplę podobna do Junony. I nazwa ta jej pozostała.

Zakochałam się odrazu na zabój w mojej kuzynce, a wuja bawiło ogromnie moje zdumienie.



— Więc ty nigdy nie widziałaś jeszcze ładnych kobiet?

— Nic jeszcze w życiu nie widziałam wogóle, boć przecie żywcem byłam pogrzebaną.

— Mogłaś przypatrzeć się sobie samej w lustrze, Regino; pan de Conprat już nam to powiedział przecież, że jesteś ładną.

— Paweł de Conprat? — zawolałam.

— A tak — odparł mój wuj — zapomniałem ci o nim powiedzieć. Podobno schronił się do Buisson kiedyś przed burzą?

— Przypominam go sobie dobrze — odpowiedziałam, rumieniąc się.

— Czy przyjedzie do nas w poniedziałek na śniadanie, Blanko?

— Tak, ojczu; komendant odpisał dziś kilka słów w odpowiedzi na zaproszenie. Któż to cię ubierał, Regino?

— Zuzanna, synonim mojej ciotki co do braku gustu i głupoty—odpowiedziałam wzgardliwie.

— Zaradzimy tym brakom twojej toalety od jutra zaraz, moja siostrzenico. Tylko zechciej zachować nieco więcej szacunku dla pamięci pani de Lavallo. Nie lubiłaś jej, to prawda, ale dziś już ona nie żyje i pokój jej duszy! Chodź na obiad teraz, a potem Junona zaprowadzi cię do twoich pokojów.

Spędziłam część nocy u okna mej sypialni, marząc rozkosznie i przypatrując się ciemnym grupom drzew wysokich tego Pavol, gdzie miałam śmiać się, płakać, bawić, rozpaczać i patrzeć, jaki obrót wezmą moje losy.

Byłam tak szczęśliwą, że tego wieczora proboszcz mój kochany zmalował w moich wspomnieniach do drobnego punkciku.

## IX.

Proszę wszakże nie przypuszczać, że serce moje jest lekkomyślne i zmienne, bo zapomnienie to było tylko chwilowem i w trzy dni po mojem przybyciu do Pavol napisałam do proboszcza list następujący:

„Drogi mój księże proboszczu! Tyle mam rzeczy do opowiedzenia, o tylu mam donieść odkryciach, tyle ci zrobić zwierzeń, że nie wiem doprawdy, od czego zacząć. Wyobraź sobie, księżuniu, że niebo jest tu piękniejsze niż w Buisson, że drzewa są wyższe, kwiaty świeższe, że wszystko tu ucieszne, że wuj jest nadzwyczaj szczęśliwym wynalazkiem natury, a kuzynka moja piękną, jak wieszczka. Daremniebyś mi prawil kazania, daremnie łajał, sypał morały, drogi mój proboszczu, nie wybijesz mi z głowy nigdy, że jeśli Franciszek I-y miał słabość do tak pięknych kobiet, jak Blanka de Pavol, to obdarzony był sądem bardzo rozumnym. Ty sam, księże proboszczu, ty sam nawet zakochałbyś się w niej z pewnością, gdybyś ją zobaczył. Wyznam ci wszakże księże, że maniery jej królewskie onieśmielają mnie cokolwiek, mnie, której nic nie onieśmiela nigdy. A potem jest ona wysoka... a byłabym wolała, żeby była niska, byłoby mnie to pocieszyło, chociaż dziś już wiem, że moja postać w swej drobności jest jednak zręczną, elegancką i doskonale proporcjonalną. Mniejsza z tem! Jednak kilka centymetrów więcej do mego wzrostu, pytam, coby to było szkodziło Panu Bogu! Przyznaj, księże proboszczu, że Pan Bóg czasami dziwnie lubi coś na złość zrobić człowiekowi.

„Nie będę ci, księżuniu, opisywała mego wuja, bo wiem, że go znasz, ale widzę już, że go będę bardzo kochała i że wzajem pozyskałam sobie jego względy. Jakie to wielkie szczęście jednak mieć ła-

dną twarzyczkę, kochany mój proboszczu, daleko większe, niż mi to chciałeś powiedzieć; podobamy się wówczas wszystkim, a kiedy będę zczasem babką, opowiem moim wnukom, że było to pierwsze rozkoszne odkrycie, jakie uczyniłam, wchodząc w świat. Ale o tem czas myśleć jeszcze.

„Jakkolwiek na każdym kroku doznaję tu coraz nowych niespodzianek, już w zupełności jednak przyzwyczaiłam się do Pavol i do otaczającego mnie zbytku. Częstoć jednak bierze mnie ochota wydać okrzyk podziwu, gdyby mnie nie powstrzymała obawa okazania się śmieszną; ukrywam moje wrażenia, ale tobie, księżuniu, wyznam szczerze, że bardzo często bywam mocno zdumioną.

„Pojechaliśmy onegdaj do V. po zakupno dla mnie wyprawki; arcydzieła Zuzanny bowiem uznane zostały stanowczo za okropności. Nie ludźmy się, kochany proboszczu, mimo twych zachwytów dla niektórych moich sukien, przyjechałam tu przeraźliwie niezgrabnie ubrana.

„Ach! jakaż to zabawna rzecz miasto! Zachwycalam się, zdumiewalam nad ulicami, sklepami, domami, kościołami, a Blanka wyśmiewała się ze mnie, bo ona nazywa V. dziurą, umieszczoną na wyżynie. Cóżby dopiero powiedzieć o Buisson w takim razie? Po posiedzeniu trzygodzinnem u krawcowej i modniarki moja kuzynka, która jest niezmiernie pobożną, poszła do spowiedzi i poleciła mi porobić niektóre zakupy z panną służącą. Wuj dał mi był pieniędzy, abym ich użyła na nabytki użyteczne i praktyczne; ale czy uwierzysz, księżo, że ja zupełnie nie umiem ocenić użyteczności i praktyczności przedmiotów? Rozpoczęłam od tego, że pobiegłam do cukiernika i najadłam się tam ciastek; wyznaję w pokorze ducha, księżo, że mam wielką słabość do ciastek. Przez ten czas kiedy się oddawałam temu zajęciu, równie użytecznemu, jak przyjemnemu, przyznasz zapewne, boć pierwszym chyba obowiąz-

kiem jest odżywianie tego ciała, powstałego z mułu ziemi, spostrzegłam w witrynie przeciwległego sklepu różne ładne rzeczy. Poszłam tam natychmiast i zakupiłam czterdzieści dwie figurki z terrakoty, cały zasób kupca. Potem nietylko, że nie posiadałam już ani grosza, ale byłam nawet mocno jeszcze zadłużoną, co zresztą bardzo mało mnie obchodzi, bo przecież jestem bogatą. Kuzynka moja śmiała się ze mnie strasznie, ale wuj wyłajał mnie porządnie. Chciał on wytłómaczyć mi, że rozum winien być kierownikiem czynów ludzi, zarówno wielkich, jak małych, że maksyma ta pożyteczną jest w każdym wieku i że bez niej popełnia się tylko głupstwa. Przykład: kupuje się czterdzieści dwie figurki z terrakoty, zamiast zaopatrzyć się w pończochy i koszule. Wysłuchałam tej przemowy z miną skruszoną i upokorzoną, ale w końcu, który, słowo daję, był bardzo mądrym, przekorny mój umysł nadał rozumowi postać ogromnie nieprzyjemną: nos długi, może nawet rzymski, twarz wychudłą i swarliwą, a cała ta postać tak bardzo podobną była do mojej ciotki, że od razu znienawidziłam rozum. Takim był rezultat elokwencji, rozwiniętej przez mego wuja. Tymczasem mam czterdzieści dwie figurki płaczące, śmiejące się, wyrabiające różne miny, rozstawione w moim pokoju, i jestem zadowolona.

„Wczoraj wieczorem rozmawiałam z Blanką o miłości. Co też to mówileś mi, księżę proboszczu, że miłość istnieje tylko w książkach i że nie powinna ona obchodzić młodych dziewcząt!... Ach, mój księżuniu, mój księżuniu!... Wejdziemy w świat, skoro miną tylko pierwsze tygodnie żałoby. Wuj wprawdzie uważa, że jestem jeszcze za młoda, ale nie mogę sama pozostać w Pavol. Gdyby mnie zamierzano tu zostawić, pojmiesz, księżę, nie pozostawałoby mi nic innego do zrobienia, jak albo rzucić się z okna, albo podpalić pałac.

„Zdaje się, że nie bez zasady spodziewam się

wielkiego powodzenia w świecie, jeśli bowiem z jednej strony jestem ładną, z drugiej mam jeszcze znaczny posag. Blanka powiedziała mi, że ładna twarzyczka bez posagu bardzo niewielkie ma znaczenie, ale kombinacja dwu tych rzeczy tworzy całość doskonałą i rzadki kasek. Jestem zatem, księżę proboszczu, potrawą wytworną, delikatną, soczystą, która będzie poszukiwaną, pożądaną i pochłoniętą w jednym mgnieniu oka, jeśli ja na to pozwolę. Ja nie pozwolę, bądź ksiądz spokojny, chyba że... Ale sza!

„Nakoniec, księżę proboszczu, czekam poniedziałku z niecierpliwością, tylko nie powiem ci, dlaczego. Dnia tego zajdzie wypadek, na myśl o którym bije mi serce, wypadek, który mnie przejmuje ochotą kręcenia się w kółko jak fryga aż do utraty oddechu, wyrzucenia w górę kapelusza, tańczenia, popełniania wszelakich szaleństw. Boże! Życie jest tak piękną rzeczą!

„Ale nic nie jest absolutnie doskonałym, bo ciebie, księżuniu, tu niema i brak mi cię bardzo, biedny mój proboszczu! Takbym się cieszyła, gdybym ci mogła pokazać pałac tutejszy i ogrody prześlicznie utrzymane, które tak mało są podobnymi do Buisson! Tak czułabym się zadowoloną, gdybym mogła uszczęśliwić cię tem życiem wygodnem i bez troski, które tu pędzimy! Najdrobniejsza rzecz jest tu uporządkowana we wszystkich szczegółach i doprawdy wydaje mi się, że się znajduję w prawdziwym raju ziemskim. W każdej chwili mam nową jakąś przyjemność lub nowy przedmiot zachwyków, w każdej chwili także pragnęłabym niemi podzielić się z tobą, księżuniu; szukam cię dokoła, przyzywam, ale echa pięknego tego parku pozostają nieme.

„Żegnaj mi, kochany, zacny księżę, nie całuję cię, bo księży się nie całuje (zadaję sobie pytanie, dla czego tak ma być?) ale przesyłam ci wszystko to, czem mam przepelnione dla Ciebie serce, a to

wszystko—to najczulsze uczucie. Uwielbiam Cię, księżo proboszczu.

*Regina.*”

Rzecz pewna, że nawyknełam od razu do atmosfery zbytku i elegancyi, w którą nagle przesadzona zostałam. Niemniej pewną było rzeczą, że chociaż Blanka była nadzwyczaj miłą dla mnie i choć zdecydowała od razu, iż mamy sobie mówić po imieniu, w pierwszych dniach po przyjeździe moim do Pavol, onieśmiała mnie ona niesłychanie. Jej postawa bogini, wyraz jej twarzy nieco wyniosły, myśl, że jest bez porównania doświadczeńszą odemnie, wszystko to imponowało mi i było przeszkodą do zupełnie swobodnego z nią stosunku. Wrażenie to wszakże nie było długotrwałem od porannego szronu, co znika przygrzany kwietniowem słońcem; na skutek zaś rozmowy, którą miałyśmy z sobą w niedzielę w moim pokoju, urok, w jaki ją stroiłam dotąd, całkowicie prysnął.

Leżałam w łóżku jeszcze na wpół drzemiąc, pieszcząc się rozkosznie, otwierając raz po raz jedno oko, aby podziwiać z zachwytem wytworny mój i wesoły pokój, moje figurki z terrakoty i drzewa, które zaglądały do mnie przez otwarte okno. Weszła Blanka, ubrana w powłóczystą suknię, z włosami spadającemi na ramiona i z czołem, na którym zawisła chmura troski.

— Tak piękna, jak najpiękniejsza z bohaterek Walter Scotta!—rzekłam, przyglądając się jej z uwielbieniem.

— Reginko — przemówiła, siadając w nogach mego łóżka—przyszłam pogadać z tobą.

— Wybornie. Ale nie jestem jeszcze całkowicie rozbudzona; odbije się to niekorzystnie na moich poglądach.

— I wówczas nawet, gdyby chodziło o małżeń-

stwo?—podjęła Blanka, której znanemi już były moje zapatrywania co do ważnego tego przedmiotu.

— O małżeństwo? Już jestem rozbudzona całkowicie—zawołałam, zrywając się coprędzej.

— Czy masz ochotę wyjść za mąż, Regino?

— Czy ja mam ochotę wyjść za mąż!... Co za pytanie! Spodziewam się, i to jak można najprędzej. Uwielbiam mężczyzn, wolę ich stokroć więcej niż kobiety, chyba że kobiety są tak piękne, jak ty.

— Nie należy mówić, że się uwielbia mężczyzn—wyrzekła Blanka z miną surową.

— A to dlaczego?

— Sama coprawda nie wiem dobrze dlaczego, ale zapewniam cię, że tak mówić nie przystoi młodej dziewczynie.

— Tem gorzej!.. Zresztą takim jest moje zapatrywanie! — odpowiedziałam, owijając się napowrót w kołdrę.

— Dziecko z ciebie! — zawyrokowała Blanka, spoglądając na mnie z rodzajem litości, która wydała mi się nieco obrażającą.—Przyszłam pomówić z tobą o moim ojcu.

— O cóż to chodzi?

— Rzecz jest taka. Jak ty, tak i ja chciałabym również wyjść za mąż niezadługo; ojciec już odrzucił kilka partyj, trafiających mi się, ale to mniejsza, bo mi znów nie tak bardzo pilno. Czekać gotowa jestem do lat dwudziestu; tylko chciałabym wiedzieć, czy zawsze będzie on sprzeciwiał się memu małżeństwu.

— To trzeba spytać go kategorycznie.

— Ach! otóż to—odpowiedziała Blanka, cokolwiek zafrasowana—muszę ci się przyznać, że ojciec mój budzi we mnie obawę, a raczej właściwie onieśmiela mnie ogromnie.

Mocno zdziwiona podniosłam się na łokciu i rozgarnęłam włosy zasłaniające mi twarz, aby się le-

piej przypatrzeć mej kuzynce. W tej chwili spadała ona z olimpijskich obłoków, na których ją umieściłam, a pod tą piękną postacią Junony odkrywałam zwykłą młodą dziewczynę, która mnie już nic a nic onieśmielać nie będzie.

— Mnie tam nikt nie onieśmiela! — zawołałam, chwytając za poduszkę, aby ją posłać na środek pokoju.

Blanka popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

— Co ty robisz, Regino?

— Ach! to mój zwyczaj... Kiedy jeszcze byłam w Buisson, rzucałam zawsze gdzieś poduszkę, żeby rozzłościć Zuzannę, którą ten mój wybryk wyprowadzał zawsze z równowagi.

— Ponieważ jednak tu niema Zuzanny, radzę ci, żebyś się wyrzekła tego zwyczaju. Wracając do tego, o czym mówiłyśmy przed chwilą: czy miałabyś dość odwagi rozpocząć z ojcem moim rozmowę o małżeństwie, które on tak krytykuje zawsze?

— Owszem, owszem, zobaczysz jak ja umiem rozprawiać! Będę umiała nawet atakować wuja, o! ja umiem doskonale spór prowadzić!

Podczas obiadu zwróciłam się znacząco w stronę kuzynki, aby jej oznajmić, że rozpoczynam walkę. Wuj, który przeczuwał jakieś niebezpieczeństwo, obserwowował nas bacznie z pod grubych swych brwi, a Blanka, już zmieszana, dawała mi znaki, ażeby dać pokój. Ale ja odchrząknęłam mocno i rezolutnie wybiegłam na arenę.

— Wuju, proszę, powiedz mi, czy można mieć dzieci, nie wyszedłszy za mąż?

— Nie, oczywiście—odpowiedział wuj, którego, jak się zdawało, zabawiło moje pytanie.

— A powiedz mi, czy to byłoby nieszczęściem, gdyby ludzkość zniknęła z powierzchni ziemi?

— Hm! pytanie to poważne. Filantropowie powiedzieliby: tak, mizantropi: nie.



— Ale wedle twego własnego zapatrywania, wuju?

— Nie rozmyślałem nad tem, co prawda. Ponieważ jednak uważam, że Opatrzność robi dobrze wszystko, co robi, głosuję za uwiecznieniem rodzaju ludzkiego.

— W takim razie, wujaszku, nie jesteś konsekwentnym w swych rozumowaniach, skoro ganisz małżeństwo.

— A! a!—zawołał wuj.

— Ponieważ, nie będąc ożenionym, nie można mieć dzieci, zważywszy, że wuj głosuje za rozmnożeniem rodzaju ludzkiego, wynika ztąd, że powinienbyś, wujaszku, uchwalić powszechne dla wszystkich małżeństwo.

— Do licha! — odparł pan de Pavol, wznosząc wargę z miną tak drwiącą, że Blanka aż poczerwieniała—to mi dopiero rozumowanie! Czemże jest małżeństwo, wedle twoich poglądów, moja siostrzenico?

— Małżeństwo!—zawołałam z zapalem—ależ to najpiękniejsza z instytucyj tej ziemi! Związek wieczysty z tym, którego się kocha! śpiewa się, tańczy razem, całuje się po rękach... Ach! jakież to cudowne!

— Całuje się po rękach! Dlaczego po rękach, moja siostrzenico?

— Bo to... no, tak ja przynajmniej sobie wyobrażam! — rzekłam, przesyłając tajemniczy uśmiech mej przeszłości.

— Małżeństwo jest instytucją, która wydaje ofiarę w ręce kata—mruknął wuj mój.

— Ach!!!

Junona i ja zaprotestowałyśmy z największą energią.

— Któż tu jest ofiarą, mój ojczy?

— Mężczyzna, rozumie się!

— Tem gorzej dla mężczyzn—odpowiedziałam

tonem stanowczym — niech się bronia! Co do mnie, gotowa jestem przeobrazić się w kata.

— Dokąd to zmierzacie, moje panny?

— Do tego, mój wuju: oto Blanka i ja jesteśmy stroniczkami zdecydowanemi małżeństwa i postanowiłyśmy teorye nasze wprowadzić w praktykę. Ja zaś pragnęłabym, ażeby się to stało jak można najprędzej.

— Regino!—zawołała moja kuzynka, zdumiona mojem zuchwalstwem.

— Mówię tylko prawdę, Blanko; z tą różnicą, że ty zdecydowana jesteś jeszcze czekać, a ja nie mam tyle cierpliwości.

— Doprawdy, moja siostrzeniczko! Przypuszczam jednak, że nie jesteś dotąd jeszcze zakochaną?

— Oczywiście—rozśmiała się Blanka—przecież nie zna jeszcze żywej duszy!

Od przybycia mego do Pavol zastanawiałam się niemal nad moją miłością i nad panem de Conprat, i kilkakrotnie zadawałam sobie pytanie, czy powinnam zwierzyć się mej kuzynce z tajemnicy mego serca. Ale rozważywszy wszystko ściśle, przyszedłam do przekonania, że w tej sprawie lepiej będzie trzymać się zdania Araba i uznać, że milczenie jest złotem. Teraz wszakże wobec twierdzenia Blanki i mimo stałego postanowienia zachowania mej tajemnicy, omal, że nie zdradziłam się; zapanowałam jednak nad pokusą mówienia.

— W każdym razie przecież zakocham się dziś, czy jutro, boć bez miłości żyć nie można.

— Rzeczywiście! Zkąd ty nabrałaś wszystkich tych pojęć, Regino?

— Ależ, mój wuju, toż to życie—odpowiedziałam spokojnie. — Przypatrz się, proszę, bohaterkom Waltera Scotta, jak one kochają i są kochane!

— Ach!... czy to proboszcz pozwolił ci czytać powieści i wykladał kurs miłości?

— Mój biedny proboszcz! ileż on miał zmar-  
twienia z tego powodu? Co do powieści, wujaszku,  
nie chciał on mi ich dawać, schował przedemną na-  
wet klucz od biblioteki, dostałam się tam jednak  
oknem, wybiwszy szybę.

— A to obiecujące! A przeczytawszy, zaczęłaś  
coprędzej marzyć i bredzić o miłości.

— Nie bredzę nigdy, zwłaszcza w tym wzglę-  
dzie, bo dobrze znam to, o czym mówię.

— Do licha! — zawołał wuj ze śmiechem.—  
A przecież powiedziałaś nam tu, że nie kochasz do-  
tąd nikogo!

— To pewna! — odparłam żywo, dość zawsty-  
dzona popełnioną niedorzecznością. — Czy nie ze-  
chcesz przyznać przecież, wuju, że zastanawianie się  
nad czemś, zastąpić czasem może doświadczenie oso-  
biste?

— Czemużby nie! przekonany o tem jestem  
wówczas zwłaszcza, gdy chodzi o tego rodzaju przed-  
miot. A zresztą, o ile mi się zdaje, masz dość do-  
brze ukształconą głowę.

— Jestem poprostu tylko zawsze logiczną, mój  
wuju. Powiedz mi, wszak nie kocha się nigdy in-  
nego mężczyzny, prócz swego męża?

— Nie, nigdy — odpowiedział pan de Pavol  
z uśmiechem.

— A zatem, skoro nie kocha się nigdy innego  
mężczyzny, prócz swego męża, jasna rzecz, że kocha  
się zawsze swego męża prawdziwą miłością i że dłu-  
go bez miłości żyć nie można, konkluduję, że trzeba  
iść za męża.

— Tak, ale nie pierwej, aż kiedy się dojdzie  
do lat dwudziestu jeden, moje panny.

— Dla mnie to wszystko jedno— odpowiedziała  
Blanka.

— Ale dla mnie to wcale nie wszystko jedno  
Nie myślę czekać pięć lat jeszcze!

— Poczekaśz pięć lat, Regino, chyba, że zajdzie nadzwyczajny jakiś wypadek.

— Co nazywasz, wuju, wypadkiem nadzwyczajnym?

— Partyę tak odpowiednią pod wszystkiemi względami, że byłoby niedorzecznością odrzucać ją.

Ta modyfikacya programu mego wuja sprawiła mi taką przyjemność, że zerwawszy się, zaczęłam się kręcić w kółko jak fryga.

— W takim razie spokojna już jestem o swoje losy!—zawołałam, uciekając.

Schroniłam się do swego pokoju, gdzie Junona pojawiła się niebawem z miną majestatyczną.

— Jakaś ty bezczelna, Regino!

— Bezczelna! Tak to dziękujesz mi za to, żem zrobiła, coś chciała sama?

— Cóż, kiedy wypowiadasz rzeczy tak bez ogródki.

— To już mój system, lubię wszystko, co proste, jasne i otwarte.

— A przytem, można było przypuścić, że chcesz rozdrażnić mego ojca.

— Byłoby mi niesłychanie przykrem, gdybym go w czemkolwiek podrażniła; podoba mi się on niezmiernie z tą swoją twarzą drwiącą, ironiczną i dziś już kocham go serdecznie. Ale nie odbiegajmy od przedmiotu, Blanko; to on sprawił nam przykrość, protestując przeciw małżeństwu i koniec końcem, przynajmniej wiesz, coś chciała wiedzieć.

— To prawda — odpowiedziała Blanko w zamyśleniu.

Pan de Pavol wkrótce własnym kosztem doszedł do przekonania, że jeśli kobiety są licha warte, młode dziewczyny nie bywają od nich lepsze i bez zmrużenia powiek zdeptać są gotowe przekonania ojca lub wuja.

## X.

W poniedziałek rano wstawałam z uczuciem głęboko przenikającego mnie szczęścia. W nocy śnił mi się Paweł de Conprat i rozbudziłam się z okrzykiem radości.

Przyjemność ubrania się w suknię taką, jakiej nie miałam dotąd nigdy, przyczyniała się niemało jeszcze do mej wesołości, a kiedy już byłam ubrana, przypatrywałam się sobie długo w milczącym zachwycie. Potem jak wicher zaczęłam kręcić się wkoło w przystępie nadmiaru szczęścia i biegałam ciągle i omal nie wywróciłam wuja gdzieś na korytarzu.

— Gdzie biegiesz tak szybko, moja siostrzeniczko?

— Do wszystkich pokojów po kolei, wuju, ażeby się przejrzeć we wszystkich lustach. Przypatrzeć mi się, jak mi ładnie!

— Wcale dobrze, w samej rzeczy.

— Nieprawda, że mam zgrabną figurę w takiej dobrze zrobionej sukni?

— Śliczną!—odpowiedział pan de Pavol, którego radość moja zdawała się zachwycać, i ucałował mnie w oba policzki.

— Ach! mój wuju, jaka ja jestem szczęśliwa! Na mój głupi rozum, jak mawiała nasza Piotrusia, to niezadługo chyba będę potrzebowała czekać na ten nadzwyczajny wypadek.

I mówiąc to, zniknęłam, wpadając, jak bomba, do pokoju Junony.

— Patrz!—krzyczałam, obracając się dokoła tak prędko, że kuzynka moja widzieć mogła tylko wir jakiś.

— Stójże przez chwilę spokojnie, Regino—rzekła mi ze zwykłą flegmą. — Kiedy też dojdiesz do jakiejś równowagi w ruchach? A tak, suknia leży dobrze.

— Patrz, co za maleńka nóżka — wołałam, wysuwając nogę.

— O, urodzona kokietko! — zawołała Blanka ze śmiechem.— Ktoby sądził, że taki wilczek, jak ty, dojdzie tak prędko do takiego stopnia zalotności?

— Zobaczysz ty więcej jeszcze — odpowiedziałam poważnie.—Widzisz, ja wiem, że kokieterya jest zaletą, wcale poważną zaletą.

— Pierwszy raz w życiu słyszę coś podobnego. Kto cię tego nauczył? Przecież chyba nie twój proboszcz, domyślam się?

— Nie, nie, ale ktoś taki, co się dobrze zna na tem. Czy będziemy mieli jeszcze innych gości na śniadaniu, prócz Conpratów, Blanko?

— Tak, proboszcza i dwóch przyjaciół ojca.

Przeszliśmy do salonu oczekiwać na przybycie gości i wkrótce też wszedł wuj mój w towarzystwie komendanta de Conprat, któremu mnie przedstawił.

Mój Boże, co to za pocziwa twarz tego komendanta!

Oczy miał przezrocze, istne oczy dziecka, wąsy i włosy białe jak śnieg; wyraz twarzy tak dobry, tak życzliwy jakiś, że przypomniał mi mego proboszcza, jakkolwiek nie było między nimi żadnego istotnego podobieństwa. Od pierwszej chwili coś mnie pociągało do niego i zauważyłam, że sympatya ta była wzajemną.

— Kuzyneczka, o której już słyszałem—powiedział, ujmując mnie za obie ręce;— pozwól mi pocałować się, moje dziecko, byłem przyjacielem twego ojca.

Pozwoliłam mu pocałować się z całego serca, choć w duchu mówiłam sobie pocichutku, że wolalabym, gdyby go syn zastąpił w tej delikatnej misyi.

Nakoniec, wszedł!.. i byłabym z przyjemnością oddała cały swój posąg, a w dodatku jeszcze ładną

moją suknię nową, za prawo wybiegnięcia naprzeciw niego i pochycenia go w objęcia.

Uścisnął rękę mej kuzynce, mnie zaś uklonił się tak ceremonialnie, że stanęłam w osłupieniu.

— Podajże mi, kuzynie, rękę—rzekłam—pamiętasz przecie, żeśmy już znajomi.

— Czekałem na to, ażebyś mi pani pozwoliła.

— Co za głupstwo!

— No, no, Regino!—strofował wuj.

— Kwiateczek cokolwiek dziki — rzekł komendant, uśmiechając się przyjaźnie — ale prawdziwie ładny kwiateczek!

Słowa te nie zdołały rozproszyć podrażnienia, którego doznawałam sama, nie wiedząc dobrze dlaczego, i przesiedziałam spokojnie czas jakiś w moim kątku, przypatrując się tylko bacznie panu de Conprat, rozmawiającemu wesoło z Blanką. Ach! jakże mi się podobał! i jak mi biło serce na widok tego znanego mi, serdecznego, takiego dobrego śmiechu, tych zębów białych, tych oczu szczerych, o których marzyłam tyle w owym starym naszym, wstrętnym dworze! I ciotka moja, proboszcz mój kochany, Zuzanna, ogród splukany deszczem, drzewo wiśniowe, na które wtedy się wdrapał, wszystko to przeciągało w mojej pamięci, niby cienie zamglone a mile.

Niebawem wmieszałam się do rozmowy i odzyskałam w części dobry mój humor, kiedy przeszliśmy do sali jadalnej.

Siedząc między miejscowym proboszczem a panem de Conprat, zagadnęłam ostatniego wprost:

— Dlaczego nie powróciłeś pan już do Buisson?—rzekłam.

— Nie mogłem wedle woli rozporządzać swoim czasem, kuzynko.

— Czy żałowałaś pan tego przynajmniej?

— Bardzo, zapewniam panią.

— Dlaczegoż więc nie podałeś mi ręki na powitanie?

— Ależ to należało do pani, zgodnie z etykieta.

— Ach! etykieta! nie myślałeś pan o niej tam, w Buisson!

— Tam byliśmy w wyjątkowym położeniu, a w każdym razie z lala od świata i jego zwyczajów, to pewne!—odpowiedział mi z uśmiechem.

— Czy to świat i jego obyczaje przeszkadzają człowiekowi być uprzejmym?

— Nie tak znów zupełnie; tylko konwenanse hamują częstokroć wylewy przyjaźni.

— To bardzo niedorzeczne! — powiedziałam krótko.

Ale byłam dość zadowolona z tego wyjaśnienia i odzyskałam poprzedni mój humor całkowicie. W każdym razie jednak spostrzegłam, rozmawiając z nim, że nie przywiązuje bynajmniej takiej wagi, jak ja, do słów, które do mnie mówił w Buisson. Ale tak byłam szczęśliwą, że go widzę, że mogę z nim mówić, że w pierwszej chwili ten drobny zawód prześliznął się po mojem sercu, nie raniąc jego ufności.

Pan de Conprat uwiadomił nas, że organizuje się kilka balów w ciągu października.

— Jakże się cieszę — odpowiedziała Junona.

— Wszak mnie nauczysz tańczyć? — rzekłam, podskakując już na krześle.

— Pozwól mi pani zostać jej profesorem — zawołał Paweł de Conprat.

— Paweł jest wysłużonym tancerzem — wtrącił komendant — wszystkie panie marzą o tem, ażeby z nim tańczyć walca.

— A przytem taki jest zachwycający! — odparłam z namaszczeniem.

Komendant i syn jego zaczęli się śmiać; proboszcz i dwaj przyjaciele wuja spojrzeli na mnie z uśmiechem, potrząsając pobłaźliwie głowami. Ale twarz pana de Pavol przybrała wyraz niezadowole-



nia, a kuzynka moja podniosła brwi właściwym sobie ruchem, który pojawiał się zawsze, gdy coś jej się nie podobało; było to poruszenie tak pełne wzdargi, że doznałam przykrego tego uczucia, iż musiałam powiedzieć jakieś głupstwo.

Po śniadaniu przechadzaliśmy się po parku; odzyskałam znów wesołość i mówiłam bezustannie, bawiąc się naśladowaniem ruchów i sposobu mówienia jednego ze współbiesiadników, którego śmieszne stroiny zwróciły moją uwagę.

— Regino, jakaś ty źle wychowana! — mówiła Blanka.

— Kiedy bo on mówi tak zabawnie—odpowiedziałam, ściskając nos, aby naśladować dokładniej głos mojej ofiary.

I pan de Conprat śmiał się również; ale Junona przybrała minę nakazującej godności, która mnie już teraz nie onieśmielała ani trochę.

Była taka chwila, w której znalazłam się tuż obok niego; kuzynka moja szła przodem w postawie niedbałej. Spozrzętałam, że przygląda się jej ciągle.

— Jaka ona piękna, nieprawdaz?—rzekłam mu w niewinności ducha.

— Piękna, bardzo piękna! — odpowiedział stłumionym głosem, który mnie przejął dreszczem.

Jakieś zwątpienie i przecucie zarazem przeszły mi przez myśl; ale kiedy się ma lat szesnaście, takie wrażenia ulatują i znikają, jak motyle unoszące się nad naszą głową; i ja byłam też szalenie wesołą aż do chwili, w której nasi goście pożegnali się z panem de Pavol.

Skoro już odjechali, wuj mój odszedł do swego gabinetu i kazał mnie do siebie przywołać.

— Regino, naraziłaś się na śmieszność!

— Jakim sposobem, wuju?

— Nie mówi się młodemu mężczyźnie, że jest zachwycającym, moje dziecko.

— Ależ kiedy takim on mi się wydaje, wuju.

— Tem większa przyczyna, żeby tego nie mówić.

— Jako—odparłam zmieszana.—W takim razie miałamże powiedzieć, że mi się wydaje nie zachwycającym bynajmniej?

— Nie powinnaś była wogóle dotykać tego przedmiotu. Miej sobie mniemanie, jakie ci się podoba, ale je zachowaj dla siebie.

— A przecież to tak naturalne, wuju, mówić to, co się myśli!

— Ale nie w świecie, moja siostrzenico. Tu połowę czasu zużywa się na to, ażeby mówić to, czego się nie myśli, i ukrywać to, co się myśli.

— Jakaż to okropna zasada!—zawołałam z obrzydzeniem.—Nigdy nie będę mogła do niej się zastosować.

— Dojdiesz do tego; tymczasem jednak zastosuj się do panującej w świecie etykiety.

— Znów ta etykieta! — zawołałam, odchodząc w jak najgorszym humorze.

Wieczorem, gdym marzyła u mego okna, jak to łąm codziennie w zwyczajny, myśl moją przejął niejasny jakiś niepokój, którego nie umiałam określić dokładnie. Rozważałam ten dzień cały, wyczekiwany z taką niecierpliwością i nie mogłam ukryć tego przed sobą, że rzeczy nie poszły tym torem, jaki ja byłabym pragnęła im nadać. Czegoż się spodziewałam? Nie wiedziałam dobrze, ale miałam do siebie długą mowę, w której usiłowałam sobie dowieść, że pan de Conprat jest zakochany we mnie, a przemowa ta zakończyła się rozrzewnieniem, nic dobrego nie wróżącym.

Niemniej przeto nazajutrz wszystkie niepokoje zniknęły gdzieś bez śladu; po południu zaś otrzymałam długi list od mego proboszcza, list pełen dobrych rad i kończący się temi słowy:

„Reginko, Twój list przyniósł mi pociechę i ra-

dość w mej samotności, nie przestawaj pisać, proszę Cię. Nie wiem, co robić bez Ciebie i nie mam odwagi iść do Buisson, z obawy, abym się nie rozplakał jak dziecko. Wyrzucam sobie ten mój egoizm, bo Ty jesteś tam przecież szczęśliwą, ale, jak powiada Pismo święte, ciało jest mdłe, i parafia, obowiązki, modlitwy, dotąd mnie jeszcze nie mogły pocieszyć.

„Do widzenia, droga, pocziwa moja dziecino; ostatniem mojem słowem do Ciebie będzie: Strzeż się wyobraźni...”

I to zdanie wywarło również nieprzyjemne jakieś wrażenie na moim umyśle, przejętym już pewną trwogą.

## XI.

Od trzech tygodni zamieszkiwałam w Pavol i mój wuj utrzymywał, że wypiękniałam już do tego stopnia, że proboszcz nie mógłby mnie poznać, gdyby mnie spotkał niespodzianie. Porównywał mnie on do rośliny pełnej życia, która wyrasta pięknie, nawet na gruncie niewdzięcznym, dlatego tylko, że jest z natury swej odporną, a której piękność rozwija się dopiero nagle w całej pełni i zmienia nie do wiary, skoro się ją przesadzi w grunt sprzyjający jej naturze.

Kiedy spojrzałam w lustro, przekonałam się, że ciemne moje oczy nabrały nowego jakiegoś, nieznanego dotąd blasku, że usta gorętszym zabarwiły się karminem, a ciemna cera kobiet południowych, nabierała odcieni różowych i delikatnych, które budziły we mnie żywe zadowolenie.

Jednakże w kilka dni po śniadaniu, o którym poprzednio mówiłam, odkryłam stanowczo już, że w mej naiwności niezmiernej pomyliłam się bardzo, wyobrażając sobie, że pan de Conprat był we mnie

zakochany. Ponieważ jednak nigdy nie byłam pesymistką, usiłowałam w rozumowaniu znaleźć dla siebie pociechę. Powiedziałam sobie, że oczywiście nie wszystkie serca jednakowo są zorganizowane, że jedne oddają się w pierwszej zaraz chwili, inne natomiast mają prawo rozważania, zastanawiania się, badania, zanim zapłoną; że jeżeli pan de Conprat nie kocha mnie jeszcze, dojdzie do tego z czasem, chociażby z tego względu, że istniało wyraźne podobieństwo między naszymi upodobaniami i charakterami. Tak więc, chociaż zawód był wielkim, spokojność moja i ufność przez czas długi nie została poważnie zachwiana. I rozkwitałam w tem środowisku tak odpowiedniem i sprzyjającym wszystkim moim upodobaniom; grzałam się w promieniach szczęścia, jak się wygrzewa jaszczurka na słońcu.

Kuzynka moja była wysoce muzykalną. Komendant, który był wielkim miłośnikiem muzyki, przyjeżdżał kilka razy na tydzień, a syn towarzyszył mu zwykle w tych wycieczkach. Zresztą drzwi tu stały dla niego zawsze otworem, ze względu na dziecinne jeszcze jego stosunki z Blanką i węzy pokrewieństwa, które łączą obie rodziny. Mój wuj rad był bardzo z tej zażyłości, bo w porozumieniu z komendantem i wbrew swym paradoksom, wygłaszanym przeciw małżeństwu, życzył sobie bardzo wydać córkę swoją za pana de Conprat, uważając, nie bez słuszności, że stanowił on jeden z tych wypadków nadzwyczajnych, dla których zrobiłby odstępstwo od programu.

O projekcie tym dowiedziałam się później dopiero, równocześnie z innymi faktami, które byłabym odkryła z łatwością, gdybym była miała cokolwiek więcej doświadczenia.

Zazwyczaj panowie ci przybywali tu na śniadanie. Paweł, obdarzony znanym już apetytem, zjadał obfite śniadania, co następnie, około trzeciej, nie przeszkadzało mu zjeść porządnie podwieczorku.

Potem, gdy byliśmy sami, Blanka dawała mi lekcye tańca, podczas których on grał z zapalem walca własnej kompozycyi. Czasami znów on był moim profesorem: kuzynka moja siadała do fortepianu, komendant i wuj przypatrywali się nam rozweseleni, a ja wirowałam w objęciach pana de Conprat pośród nieopisanej radości. Ach! jakież to były mite dni!

Nie tworzyliśmy żadnego planu, ażeby i on nie był w nim pomieszczony. Jego wesołość, udzielająca się wszystkim, usposobienie zgodne, talent organizacyjny i pomysłowość wesoła a niewyczerpana, czyniły z niego idealnego towarzysza. Rozweselało nam życie i wzmagala się moją miłość. Zręczny, przemyślny, usłużny, dał się używać do wszystkiego i wszystko umiał zrobić. Kiedy się której z nas ze-psuł zegarek, bransoletka, czy jakibądź inny przedmiot, mówiłyśmy zawsze z Blanką:

— Jeśli Paweł dziś przyjedzie, to nam naprawi.

Malował on i przywoził nam czasami próby swego pendzla. Był to jedyny punkt, na którym nie mogłam się z nim pogodzić. Miałam zadawnioną antypatyę do wszystkich sztuk pięknych, ale głównie do muzyki, przeklęta etykieta bowiem nie dozwalała zatknąć sobie uszu, kiedy tymczasem na obraz łatwo jest nie patrzeć. Wyjątkowo jednak, kiedy pan de Conprat grał do tańca, słuchałam go z przyjemnością długo; ale to on podobał mi się w tych melodyach, a nie melodye same przez się. Zaznaczam to uczucie, bo pewnego dnia poddałam je rozbiorowi, a rozbiór ten doprowadził mnie do okropnego odkrycia.

— Po co malować drzewa, kuzynie? — mówiłam. — Najbrzydsze drzewo jest jeszcze piękniejszym od tych wiązek zielonych, które umieszczasz na płótnie.

— Tak więc pojmujese sztukę, młoda moja kuzyneczko?

— Czy sądzisz, że Junona nie jest tysiąc razy piękniejszą w rzeczywistości niż na portrecie?

— Tak, oczywiście, w to wierzę!

— A te jakieś drobne kwiatki niebieskie, które umieszczasz pan na drzewach, co to ma być?

— Ależ to są skrawki nieba, kuzynko!

Zaczęłam kręcić się w kółko, wołając patetycznie:

— O niebiosy, o drzewa, o przyrodo, ileż zbrodni popełnia się w waszem imieniu!

Mój wuj miał licznych przyjaciół w V., był on spokrewniony z większą częścią rodzin, osiadłych w okolicy, i prowadził dom otwarty. Rzadko kiedy zdarzało się, abyśmy nie mieli kilku gości u stołu, czy to w porze śniadania, czy obiadu. Była to dla mnie sposobność poznania zwyczajów światowych i nauczania się, jak mi to powiedział proboszcz, pewnej równowagi uczuć. Muszę wszakże wyznać, że nie udawało mi się bardzo to zaprowadzenie równowagi i że nie doszłam do tego, aby ukrywać wrażenia i myśli, częstokroć równie niedozwolone, jak niepochlebne dla otoczenia.

Mój wuj i Junona, bezwzględnie surowi na punkcie konwenansów, niejednokrotnie lajali mnie za to porządnie; ale było to rzucanie grochu na ścianę! Z wytrwałością, mogącą doprowadzić nieraz do rozpacz, nie omijałam nigdy sposobności popełnienia jakiegoś beztaktu, lub powiedzenia głupstwa.

— Byłaś bardzo niegrzeczną dla pani A., Regino.

— W czem, Junono pełna hipokryzyi? Okazałam jej tylko, że mi się nie podoba; i oto wszystko!

— Ależ w tem właśnie leży niestosowność, moja siostrzenico.

— Jest tak ohydnie brzydka, wuju! A potem

mnie nic do kobiet nie pociąga; są one złośliwe, drwiące i rozpatrują cię zawsze od stóp do głowy, jak gdybyś była jakimś osobliwym zwierzęciem.

— Jak też możesz zarzucać im złośliwość, Regino? Ty sama przecież cały czas poświęcasz na to, aby pochwycić śmieszności ludzi i kopiować je potem.

— Tak, ale ja jestem ładną i, co za tem idzie, wszystko mi wolno. Pan C. powiedział mi to któregoś dnia.

— Nie mogę żadną miarą dopatrzeć się tu konsekwencyi... A wreszcie, czy sądzisz, że i mężczyźni nie przypatrują ci się od stóp do głowy?

— Tak, ale na to, ażeby się mną zachwycać, kiedy tymczasem kobiety wynaleźć pragną w powierzchności mojej jakąś wadę lub są wymyślić ją gotowe w potrzebie. Widzisz, że zauważyłam już masę rzeczy.

— Widzimy to dobrze, moja kochana, ale staraj się zapamiętać sobie, że ułożenie jest rzeczą nadzwyczaj ważną.

Gdy goście nasi rodzaju męskiego byli młodzi, nadskakiwali Blance i mnie, bawiłam się wtedy wybornie; ale skoro to byli starzy... Boże! wychodziła na stół polityka, od której zawsze dostawałam migreny. Ach! co też mnie nanudziła ta polityka!

Pocziwcy ci przybywali zazwyczaj strasznie zirytowani na jakiś niecny postępek rządu; mówili o nim naprzód dość dyskretnie aż do chwili, w której zapalony jakiś Bonapartysta nie zawołał, że tych wszystkich republikanów należałoby wystrzelać, ażeby zapanować nad nimi postrachem. Naiwność tego okrzyku wzbudzała śmiech powszechny, ale ta rzeź urojona dawała hasło do rozdrażnienia i nieskończonych bzdurzeń. Rzucaliśmy się na zabój w wir polityki i już babraliśmy się w niej do końca obiadu. Wszyscy wysilali się na to, aby obrzydzić Rzeczpospolitą i republikanów; ale gdy przyszło do tego, że każdy ze współbiesiadników zaczynał wyciągać z kiej-

szeni ukuty przez siebie planik nowego rządu, odrzucały spojrzenia, a twarze stawały się czerwone, jak pomidory.

Legitymista owijał się w togę dostojności swych tradycji, wiar i uroszczeń, stronnika cesarstwa zwał rewolucjonistą; ten zaś w głębi duszy uważał legitymistę za głupca, ale grzeczność nie dozwalała mu wypowiedzieć tego mniemania; wrzeszczał więc natomiast co sił starczyło, jak oparzony. Potem znów napadali zgodnie na republikanów; obarczano ich zarzutami, wysyłano na wygnanie, skazywano na rozstrzelanie i gilotynę, gnocieno na miazgę; bonapartyści i legitymiści jednoczyli się w tej wspólnej niechęci, celem sprzątnięcia z powierzchni ziemi nieszczęsnych owych dwunogów. Rozprawiano namiętnie, gestykulowano, zbawiano ojczyznę, wszystkie twarze stawały się karmazynowe... co przecież nie przeszkadzało, niestety! że rzeczy szły najspokojniej dalej swym porządkiem zwykłym.

Wuj, wśród wszystkich tych gadanin pustych, rzucał od czasu do czasu trafne jakieś słowo, dowcipne lub pełne znaczenia, podnosząc rozprawy na jakiś poziom wznioślejszy, nad interesa osobiste i sympaty indywidualne. Z przekonań nie był on ani trochę legitymistą, zresztą może i nie miał ściśle określonych przekonań, bolało go tylko, że Francya od wieku blisko kroczy z głową w dół schyloną i że, ponieważ ta pozycja nie jest normalną, w końcu utracić może równowagę i spaść w przepaść, gdzie ją pogrzebie reszta mocarstw.

Wyśmiewał ciasne poglądy i głupotę stronnictw, ale często budził się w nim wstręt, wybuchający w jakimś zdaniu ironicznem. Nigdy nie widziałam, aby się uniósł; zachowywał zawsze spokój pośród największych ryków swych gości, pewien zresztą, że ostatnie słowo zawsze należeć będzie do niego, bo patrzył jasno i daleko sięgał wzrokiem. Jednakże antypaty jego występowały silnie, a niena-



widził serdecznie republikanów. Nie dlatego, aby zbyt był namiętnym, aby się nie umieć utrzymać w rządzie tych, co idą drogą środkową; przyjąłby rzeczpospolitą, gdyby ją uważał za możliwą, i uchylał zawsze głowy przed uczciwością niektórych ludzi, walczących z dobrą wiarą za utopię.

Słyszałam, jak często tych, co nami rządzą, porównywał z graczami w wolanta, a prawa, odsyłane sobie wzajem przez obie izby co dnia, do owych wolantów, którym Francuzi z nosem w niebo wzniesionym przypatrują się rozkosznie, aż do chwili, kiedy one spadną na ich czcigodne chrząstki, miażdżąc je doszczętnie.

Pan de Pavol lubił pogadanki, a nawet rozprawy. Jeśli sam mówił niewiele, słuchał natomiast z wielkiem zajęciem. Pod tą nieokreśloną powłoką kryła się u niego moc wiadomości wszechstronnych, smak wybitny, podniosły, wytworny i cały zasób zdrowego rozsądku, połączony z rzeczywistą wyższością poglądów. Nie był ani świętoszkiem, ani bigotem. Jak większość mężczyzn miał on, o ile przypuszczam, chwile słabości i błędów, ale wierzył głęboko w Boga, duszę, cnotę i nie uważał bynajmniej niedowiarstwa, wymyślań i nicowania wszystkiego za oznaki męskości i inteligencji. Lubiał słuchać dowodzeń materialistów i wolnomyślnych, kiedy rozwijali przed nim swoje teorie, a usta jego mówiły wiele przez ten czas, gdy obserwował mówcę z grubemi wargami, ściągniętymi tak mocno, że ukrywały przed interlokutorem całkowicie jego oczy. Wysłuchawszy wszystkiego, odpowiadał powoli, z największym spokojem:

— Podziwiam cię, mój panie! Doszedłeś niemal do doskonałej pokory, głoszonej przez Ewangelię. Wstyd mi, że nie mogę iść pańskimi śladami, ale we mnie tkwi zawsze ten szatan pychy, co mi nie pozwala równać się z gąsienicą, u stóp moich się czołgającą, lub z wieprzem, co się tarza po mojem podwórzu.

Wiecznie w wojnie z radą municypalną swej gminy, nie lubił chłopów i utrzymywał, że nie ma nic podstępniejszego i podlejszego nad wieśniaka. To też, acz szanowany i poważany, nie był lubianym bynajmniej. A ponieważ hojnym był w uczynkach miłosierdzia i uczynnym, gdy zdarzyła się po temu sposobność, nigdy jednak nie dał się wyprowadzić w pole przez matactwa i łotrostwa poczciwych naszych wieśniaków.

Nakoniec, jeśli mój wuj nie obrał sobie żadnego zawodu, jeśli nie został ani lekarzem, ani adwokatem, ani inżynierem, ani żołnierzem, ani dyplomatą, ani nawet ministrem, niemniej przeto spełniał użytecznie swe zadanie w społeczeństwie, przechowując zdrowe zapatrywania i tradycye, szanując to, co było godnem szacunku, nie dopuszczając, aby go uniosły z sobą nedorzeczne teorye naszych czasów, używając swego wpływu na to, ażeby kierować umysły ku temu, co dobre i sprawiedliwe. Jednem słowem, wuj mój był człowiekiem prawdziwie rozumnym, człowiekiem serca i nawskroś też zacnym. Kochałam go bardzo, a gdyby tylko chciał nie mówić o polityce, byłabym go uważała za doskonałość, wolną od wad wszelkich. W życiu prywatnem był to człowiek łatwy niezmiernie w pożyciu. Uwielbiał swoją córkę i mnie zaczął okazywać nagle wielką sympatyę.

— Coś okropnego wszystkie te rządy!—mówiłam do pana de Conprat. — Trzebaby je skasować wszystkie, przynajmniej nie słyszelibyśmy już rozpraw o polityce. Dwie rzeczy usunąćby należało: fortepian i politykę.

— Słowo daję, że i ja podzielałbym zdanie pani--odpowiedział z uśmiechem.

— Ach!... pan nie lubisz fortepianu? A przecież słuchasz pan gry Blanki z przyjemnością, przynajmniej tak pan wyglądasz, słuchając jej.

— Bo też kuzynka moja, Blanka, ma talent prawdziwy.

To wyjaśnienie podziało na moje nerwy jak brzęczenie komarów, unoszących się rojami nad głową śpiącego; drażnią go one, choć nie rozbudzają ze snu zupełnie. Widocznem było, że wyjaśnienie to jest tylko pozornem, dlaczegoż bowiem, mimo talentu Junony, ja, com nie lubiła gry na fortepianie, miałam zawsze ochotę krzyczeć i uciekać, kiedy się zabrała do wykonywania sonat Mozarta lub Beethovena. To mi ludzie, co się pochwalić mogą, że zanudzali ludzkość! Przejmował mnie żal głęboki, ilekroć pomyślałam o ich nieszczęsnych żonach.

Pośród tego życia przyjemnego, wśród tych nadziei, drobnych moich obaw i niepokojów, które rozpraszało pierwsze uprzejme słowo, wśród rozrywek tego całkiem nowego dla mnie istnienia nadszedł koniec września. Mój wuj, z grobową miną człowieka, prowadzonego na rusztowanie, sposobił się do uczęszczania z nami na wieczory, zapowiedziane przez pana de Conprat.

---

## XI.

Zapewniam, że umysł mój obserwacyjny nie miał czasu ćwiczyć się na pierwszym balu. Z całego tego wieczoru przypominam sobie tylko poprostu upajającą przyjemność i wszystkie głupstwa, które wygadywałam, nazajutrz bowiem sprowadziły one na mnie porządną burzę.

Od czasu do czasu Junona uderzała mnie zlepką po ramieniu wachlarzem i szeptała mi do ucha, że narażam się na śmieszności, ale był to istny głos wołającego na puszczy, od którego uciekałam w objęcia moich tancerzy, myśląc sobie, że jeśli walca nie ma w niebie, nie warto wcale starać się tam dostać.

Czasami mój tancerz wpadał na pomysł genialny prowadzenia ze mną rozmowy.

— Czy dawno już pani zamieszkuje te strony?

— Nie, panie, niezbyt dawno, coś około sześciu tygodni.

— Gdzie pani zamieszkiwała przed przyjazdem do Pavol?

— W Buisson, okropnej wiosce, z przerażającą ciotką, która już umarła, chwala Bogu!

— W każdym razie nazwisko pani jest bardzo znane; w piętnastym wieku rycerz de Laval zamkniętym był w Mont-Saint-Michel 1423 r.

— Doprawdy! A cóż tam robił ten rycerz?

— Ależ bronił twierdzy, obleżonej przez Anglików?

— Zamiast tańczyć? Coż za niedolega!

— Tak to pani oceniasz bohaterstwo swych przodków?

— Moich przodków!? Nigdy o nich nie myślałam, a co do bohaterstwa, przyznam się, że bardzo mało je cenię.

— Czemże zawiniło wobec pani to nieszczęsne bohaterstwo?

— Rzymianie byli bohaterskim narodem, a ja przecie nie cierpię ich! Ale tańczmy lepiej walca.

I po tej apostrofie męczyłam w dalszym ciągu mego tancerza.

Szczęście moje dosięgnęło szczytu, kiedy w salonie, pełnym światła, przed oczyma kobiet we wspaniałych tualetach, wśród tego światła, od którego niedawno jeszcze byłam tak oddaloną, widziano mnie walczącą z panem de Conprat. Tańczył lepiej niż wszyscy inni, to rzecz pewna. Jakkolwiek był wysoki, a ja byłam nadzwyczajnie małą, piękny jego jasny wąs muskał mi twarz od czasu do czasu i przejmowała mnie pokusa, o której wolę nie wspominać z obawy zgorzienia moich bliźnich.

Upojona radością i pochlebstwami, które brzę-

czwały mi wciąż nad uszami, wygadywałam wszystkie głupstwa możliwe i niemożliwe; ale zdobyłam wstępnym bojem wszystkich mężczyzn, a doprowadziłam do rozpaczyny wszystkie panny.

Kotyliion wywołał we mnie najżywszy entuzjazm, a kiedy mój wuj, który miał minę męczennika, gdy tak siedział w swoim kącie, dał nam znak, że czas już odjeżdżać, krzyknęłam na cały głos z drugiego końca salonu.

— Wuju, jeśli zechcesz mnie zabrać, to chyba ustąpię przed siłą bagnatów.

Ale obyło się bez bagnatów i trzeba było pójść za Junoną, która, piękna i pełna godności, jak zwykle, posłuchała coprędzej ojca, nie troszcząc się o moje protesty.

Przyszedłszy do mego pokoju, rozebrałam się dość spokojnie, ale kiedy włożyłam już na siebie nocną koszulę i zamierzałam się położyć, nagle przyszła mi do głowy nieprzeparła zachcianka. Pochwyliłam poduszkę i zaczęłam z nią tańczyć po pokoju, przyśpiewując przytem na całe gardło.

Junona, której pokój nie był zbyt odległy od mego, weszła cokolwiek wylękała.

— Co ty robisz, Regino?

— Widzisz przecie, tańczę walca,

— Boże mój, jakież z ciebie dzieciak!

— Moja droga, gdyby ludzkość miała rozum, tańczyłaby walca dniem i nocą.

— Słuchajno, Regino, zimno jest, możesz się zaziębić. Proszę cię, połóż się do łóżka.

Rzuciłam poduszkę w kąt pokoju i zagrzebałam się w prześcieradła. Blanka usiadła przy mnie w nogach łóżka i zaczęła improwizować przemowę. Starala się dowieść mi, że spokój we wszystkich czynnościach życia, jest zaletą niezmiernie cenną, że na każdą rzecz jest czas i miejsce odpowiednie, że przede wszystkim poduszka nie wydaje się jej zupełnie tancerzem zbyt przyjemnym i..

— Co do tego, to w zupełności jestem twego zdania!—zawolałam, przerywając jej pośpiesznie, nie ma to jak tancerze z ciała i kości, jedynie przyjemni, zwłaszcza, gdy mają blond wąsy naprzykład! Wąsik, co ci muska twarz podczas walca, ach! to prawdziwie uro...

Z tem usnęłam i nie przebudziłam się aż o trzeciej po południu.

Kiedy się już ubrałam, wuj poprosił mnie do siebie. Podążyłam natychmiast na jego wezwanie, rozmyślając po drodze, że mózg mojego wuja z pewnością wymyślił już dla mnie jakieś zadanie. Z miny jego uroczystej poznałam odrazu, że przypuszczenia moje były trafne, a ponieważ zawsze lubiłam wygodę, tak samo podczas kazań, jak i w innych okolicznościach życia, przysunęłam sobie fotel, w którym wyciągnęłam się wygodnie, skrzyżowałam ręce na kolanach i zamknęłam oczy w postawie głębokiego skupienia.

Po upływie dwóch sekund, nie słysząc nic, odzwałam się:

— I cóż! mój wuju, rozpoczynaj!

— Zrób mi tę łaskę, moja Reginko, i podnieś się cokolwiek, przybierz wogóle pozycję, wyrażającą nieco więcej uszanowania.

— Ależ, mój wuju—rzekłam, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia — nie miałam bynajmniej intencji uwłaczania ci brakiem szacunku, przybrałam tylko pozycję, w której wysłuchać mogę tego, co mi powiesz w większem skupieniu ducha.

— Moja kochana, doprawdy, z tobą chyba stracę głowę.

— To bardzo możliwe, wuju—odpowiedziałam spokojnie; — proboszcz mój nieraz mi to mówił, że przezemnie zagryzie się na śmierć.

— Doprawdy, czy ty wyobrażasz sobie, że mam ochotę wynieść się do dyabła z łaski jednej, źle wychowanej dziewczyny?

— Najprzód, wujaszku, mam nadzieję, że nigdy nie wyniesiesz się do dyabła, jakkolwiek dość lubiłeś tę osobistość; a przytem bolałoby mnie bardzo, gdybym cię miała utracić, bo kocham cię z całego serca.

— Hm!... to bardzo szczęśliwie jeszcze. Czy nie zechcesz wytłómaczyć mi teraz, dlaczego po tylu moich naukach i radach zachowywałaś się dzisiejszej nocy w sposób tak nieprzyzwoity?

— Proszę o wyszczególnienie tych oskarżeń.

— Litania ich byłaby za długą, wszystko bowiem, co robiłaś, było złem bezwarunkowo i nieodpowiedniem; wyglądałaś jak koń, co się wyrwał z tabunu. Między innymi głupstwami, kiedy zobaczyłaś pana de Conprat, zawołałaś na niego po imieniu; siedziałem niedaleko od ciebie i widziałem, że tancerz twój wielce tem był zgorszony.

— A to bardzo możliwe, u niego, bo miał prawdziwie minę gęsi!

— Ja nie jestem gęsią, moja Regino, a powiadam ci przecież, że to było całkiem niewłaściwe.

— Ależ, wujaszku, przecież to nasz krewny, widzujemy go codziennie niemal. Blanka i ja nazywamy go zawsze Pawłem, kiedy mówimy o nim z sobą, a często nawet i wówczas, kiedy mówimy wprost do niego.

— To może ujść w domu, ale nie w świecie, gdzie nie każdy obowiązany jest wiedzieć o pokrewieństwie i znać stosunki wzajemne ludzi.

— A więc inaczej trzeba postępować w domu, a inaczej w świecie?

— Usiłuję cię właśnie tego nauczyć, moja siostrzenico.

— To ani mniej, ani więcej, tylko hipokryzya!

— Na miłość Boską, bądźże więc hipokrytką, nie żądam nic więcej! Potem, zdaje mi się, że powiedziasz coś pięciu, czy sześciu młodym ludziom, że są bardzo ładni?

— Szczera prawda! — zawołałam w porywie sympatii dla mych tancerzy. — Tacy śliczni, tacy grzeczni, tacy nadskakujący! I wie wuj, pozapomniałam potem moich przyrzeczeń, nie mogłam się z nich wyplatać, więc bałam się, że im sprawię przykrość i chciałam załagodzić to jakoś.

— Tymczasem mnie tylko sprawiałaś przykrość; patrz, bez mała już siedem tygodni Blanka i ja staramy nauczyć cię, że dystynkcyja polega na miarkowaniu ruchów i objawów uczuć, a ty, wbrew naszym radom, chwytasz każdą sposobność powiedzenia lub popelnienia jakiegoś głupstwa. Jesteś sprytna, masz sporą dozę kokieteryi, na nieszczęście dla mnie posiadasz twarzyczkę za piękną, a...

— Chwała Bogu! — przerwałam zadowolona — takie kazania to lubię!

— Regino, nie przerywaj mi, mówię na seryo.

— Dobrze, wujaszku, przedyskutujemy tę sprawę. Kiedy mnie po raz pierwszy zobaczyłeś, powiedziałeś mi, że jestem dyabelnie ładna!

— I cóż ztąd wynika, moja kochana?

— Wynika, że, jak sam widzisz, nie zawsze można ukryć pierwsze wrażenie.

— To rzecz możliwa, ale trzeba się o to starać, przedewszystkiem zaś trzeba mnie słuchać. Mimo, żeś bardzo młodziutka i taka maleńka, wyglądasz już na kobietę, starajże się mieć właściwą jej godność.

— Godność! — wymówiłam zdziwiona — a to na co?

— Jakto... na co?

— Nie rozumiem tego, wujaszku. Jakto, mnie pragniesz przejąć poczuciem godności, kiedy rząd nawet ma jej tak mało!

— Nie pojmuje, co to ma za związek!... Cóż to znów za wybryk nowy?

— Ależ, wujaszku, sam utrzymujesz, że rząd spędza czas cały na graniu w wolanta; szczerze mó-



wiąc, jak na rząd, to zupełny już brak godności. Dłaczegożby zatem prości śmiertelnicy mieli więcej posiadać godności od ministrów i senatorów?

Wuj zaczął się śmiać serdecznie.

— Niepodobna cię łajać, Regino, wyslizgujesz się z palców, jak piskorz. Bądź co bądź zresztą, oświadczam ci, że jeśli nie chcesz mnie słuchać, przestaniesz bywać w świecie.

— O! mój wuju, gdybyś zrobił coś podobnego, byłbyś wart tortur inkwizycyj!

— Ponieważ jednak inkwizycya już nie istnieje, nie będę skazanym na jej tortury; ale natomiast będziesz mi posłuszną, wierzaj mi. Nie chcę, aby moja siostrzenica nabrała zwyczajów i zachowania, które, jeśli są znośne jeszcze w jej wieku, później pozwalalyby o niej przypuszczać, że jest... hm!

— Kimże, wujaszku?

Pan de Pavol dostał napadu gwałtownego kaszlu.

— Hm! istotą wychowaną w lesie, albo czemś podobnem.

— Taka ocena nie byłaby tak bardzo znów niedorzeczną! Buisson i lasy, to wielce coś podobnego do siebie.

— Koniec końców, moja siostrzenico, bądź przekonana, że mówiłem zupełnie na seryo. Idź teraz i zastanów się nad tem wszystkim.

Jak na teraz widziałam, że nie ma co żartować z tą burzą potworną. To też zamknęłam się w swoim pokoju, gdzie dałam się przez dwadzieścia ośm i pół minuty, przeciąg czasu, przez który czułam, że kiełkuje we mnie chwalebne pragnienie zapoznania się z umiejętnością zdobycia równowagi w postępowaniu.

## XIII.

Niezadługo dowiedziałam się, że przysłowia nie-darmo cieszą się sławą swej mądrości, że w pewnych wypadkach chcieć, to móżdż istotnie, i że z odrobiną dobrej woli będę umiała przystosować się do rad mego wuja. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie popełniałam już odtąd głupstw nigdy, o! nie; od czasu do czasu zdarzały się one jeszcze dość często nawet, ale udało mi się wytrzeźwieć z pierwszego upojenia i pozyskać względny spokój.

Zresztą, jeśli wuj mój mnie lajał, to raczej czynił to w przewidywaniu przyszłości, jak sam mówił, bo obecnie znajdowałam się wśród otoczenia, w którym czyny moje i słowa sądzone były z największem pobłażaniem, otoczenia, pełnego słodyczy, delikatności, grzeczności, tradycyjnej rycerskości, w którym, nie domyślając się tego nawet, miałam sporo krcwnych i powinowatych.

Dzięki nazwisku, które nosiłam, piękności mej i posagowi, przebaczano mi wiele wykroczeń, popełnianych przeciw konwenansom. Byłam pieszczochem, zepsutem dzieckiem wszystkich matron, opowiadających mi uprzejmie różne szczegóły o moich dziadkach i niektórych przodkach, których czyny i słowa musiały widocznie być bardzo zajmujące, skoro uprzejme te margrabiny i hrabiny mówiły dziś jeszcze o nich tak gorąco. Odkryłam z przyjemnością, że przodkowie przydać się mogą na coś w życiu i osłaniają zapyłonym swym puklerzem zuchwalstwa i ka-prysy młodych swych pra-prawnuczek, co wyszły z głębin lasów.

Byłam pieszczochem, psutem dzieckiem wszystkich małżonków w perspektywie, dla których w oczach moich błyszczał posag znaczny; pieszczochem i ulubienicą tancerzy, których bawiła moja zalotność, i wyznając pocichu, pocichuteńku, że czułam się niezmier-

nie szczęśliwą, siejąc w sercach spustoszenia i zamieniając niektóre głowy w istne chorągiewki na dachu.

O! kokieteryo, ileż uroku zawiera każda litera twej nazwy!

Widocznie musiała ona wrodzoną już być we mnie, bo po dwóch, czy trzech wieczorach, znalazłam już najdrobniejsze jej szczegóły i arkana, wszystkie jej odcienia i podstępny.

Chciałabym być kaznodzieją po to tylko, aby głosić naukę kokieteryi szerokiemu audytoryum i odmawiać rozgrzeszenia penitentkom, tak pozbawionym zdrowego rozsądku, że nie oddają się przyjemnej tej rozrywce. Może nie pozostawałabym długo na łonie kościoła, ale przez czas krótkiego mego zawodu zdaje mi się, że pozyskałabym sporo prozelitów. Ubolewam nad ludźmi, którzy sądząc, że znają wszystko, nie poznali najwytworniejszej, najznamienszej z przyjemności tego życia. W moich oczach pędzą oni życie ślimaka... żółwia, co najwyżej.

Kiedy tak bawiłam się i wzburzałam wszystkie serca, Blanka kroczyła spokojnie, piękna i dumna, zbyt pewna swej piękności, by sobie zadawać trud jakikolwiek, zbyt pełna godności, by się zniżyć do podstępów, które mnie radość sprawiały.

Niemniej przeto, skoro pierwszy zapal przeminął, doszłam do przekonania, że pan de Conprat potrzebuje snąć nieskończonej ilości czasu na to, by się we mnie zakochać. Widział mnie w najrozmaitszych fazach, w tualecie balowej, wizytowej, kokietką powabną, poważną, czasami smętną, tą ostatnią rzadko, co prawda — i mimo tej różnorodności objawów, nie pozwalającej na spowszednienie mej osoby, nie tylko nie oświadczał się, ale wciąż, jak się zdało, traktował mnie jak dziecko. Słowa mego proboszcza: „Bądź pewną, że cię uważał za dziewczynkę, z którą się rachować nie potrzeba“, zaczynały coraz większy budzić we mnie niepokój.

Pomimo mej zalotności, zabaw, licznych rozry-

wek, miłość moja ani na chwilę nie uległa zmianie. Z pewnością ta wielka różnorodność mego życia nie dopuszczała, by myśl ciągle była nią zajęta i to tłumaczy długotrwałe moje zaślepienie; nigdy wszakże nie przyszło mi do głowy, że może istnieć człowiek miłszy nad Pawła de Conprat, nigdy nikt takim mi się nie wydał ani na chwilę.

A jednak wśród orszaku, co mnie ścigał na każdym kroku, kilku dworaków miało rzeczywiste podobieństwo z typami bohaterów Waltera Scotta, których tak bardzo uwielbiałam. Zadawałam sobie pytanie po setne razy, jakim sposobem mój bohater pucował, o twarzy rozpromienionej, wiecznie wesołej, o znakomitym apetycie, mógł przejąć mnie tak głęboko i do tego stopnia, wówczas właśnie, gdy zostawałam pod wpływem tych urojonych osobistości, które tak mało miały z nim podobieństwa. Jest to zagadka psychologiczna, którą poddaję badaniom filozofów, bo ja nie mam czasu nad nią się zastanawiać; konstatuje fakt, składam pokłon filozofii i idę dalej.

Dnia 25 października mieliśmy ostatni wieczór w pałacu, położonym w pobliżu Pavol. Przywdziałam blado-niebieską suknię z dwoma czy trzema pomponami, wpiętymi w czarne moje włosy i spadającymi na koniec ucha. Byłam tego wieczora nadzwyczajnie ładna i miałam szalone powodzenie, powodzenie tak poważne, że następnego tygodnia wuj mój otrzymał pięć deklaracji o moją rękę. Ale byłam dnia tego czegoś dziwnie niespokojna, rozgorączkowana, coś mnie dręczyło i wbrew memu zwyczajowi, nie bawiłam się zawracaniem głów.

Wyczekiwałam niecierpliwie pana de Conprat, żeby na niego popatrzeć oczyma, które zaczynały się otwierać. Przybywał zazwyczaj bardzo późno z kilku młodymi ludźmi, którzy stanowili najwyższe, tak zwane „fashionable“ towarzystwo okolicy. Panowie ci, zblazowani od najwcześniejszych lat młodości i uważający, że taniec z ładnymi kobietami

jest czemś niesłychanie męczącym, przykrem i bolesnym, angażowali zazwyczaj do tańca kilka pań z miną znudzoną, niedbałą i niemal obrażającą; jeden tylko Paweł de Conprat z pośród nich zbyt był naturalnym, zbyt poczciwym, żeby nie tańczyć z twarzą zadowoloną, odpowiednią do okoliczności. W każdym razie trzeba mi tu dodać, że moje rozbawienie rozpraszało nudę tych ofiar nieszczęsnych doświadczenia, jak rozprasza słońce mgły lekkie. Umiałam tak dobrze ich podniecić, rozweselić, kierować nimi wedle własnych kaprysów, że wuj mój mawiał: „Ta dziewczyna ma chyba dyabła w sobie“.

Niech zginie, kto to sobie źle tłómaczy!

Zauważyłam z przykrością, że Paweł często tańczył z Blanką, kiedy tymczasem mnie przychodził angażować rzadko i bez wielkiego widocznie zajęcia. Zdwoiłam kokieteryę, żeby zwrócić na siebie jego uwagę; ale co go to obchodziło! Głowa jego, serce były gdzieś daleko odemnie; wcisnęłam się więc w jakiś kącik odległy, odmawiając stanowczo moim tancerzom.

Już od chwil kilku kryłam się po za draperyą, oddzielającą wielki salon od buduaru, w którym siedziało kilka kobiet, kiedy niespodziewanie pochwyciłam rozmowę dwu wielce szanownych matron, których pozyskałam względy.

— Regina jest zachwycająca dzisiejszego wieczora; jak zazwyczaj, ma powodzenie u wszystkich.

— A jednak Blanka de Pavol jest piękniejszą.

— Tak, ale mniej ma bez porównania wdzięku. To wzdardliwa królowa, a panna de Lavallo to istna urocza księżniczka z czarodziejskich baśni.

— Księżniczka, to właściwa doprawdy nazwa. Jest w niej rasa i to, co razitoby w innych, w niej jest prześlicznem.

— Powiadają, że małżeństwo jej kuzynki z panem de Conprat jest już stanowczo zdecydowane.

— Słyszałam o tem istotnie.

Przez kilka sekund orkiestra, matrony, tańczące pary, wszystko to odbywało przedemną jakiś taniec szalony bez nazwy; żeby nie upaść, uchwyciłam się z całej siły draperyi, po za którą stałam ukryta.

Kiedy przyszłam do siebie z tego wpółomdlenia, cały ten świetny, połyskujący masą światła salon wydał mi się przysłoniętym krepą; ku wielkiemu zdumieniu Junony, poszłam ją prosić, abyśmy natychmiast odjechali, nie czekając kotyliona.

Powracając do Pavol, mówiłam sobie: „To nie prawda, jestem pewna, że to nieprawda! Czemuż się tak niepokoić?”

Ale rozbierając się, płakałam, z tem przeczuciem dziwnem, że spadnie na mnie jakieś niezmierne nieszczęście.

Niemniej jednak, ponieważ nie ma nic zmienniejszego nad umysł szesnastoletni, nazajutrz znów miałam nadzieję i uważałam gadaniny owych pań za plotkę, pozbawioną doniosłości. Postanowiłam śledzić bacznie pana de Conprat i byłam w takim usposobieniu ducha, które pozwalało za najłżejszą wskazówką przyoblekać w szatę rzeczywistości ulotne nawet wrażenie.

Po południu tego dnia złowrogiego byliśmy wszyscy w salonie. Komendant z wujem siedzieli nad partya szachów, Blanka grała sonatę Beethovena, a ja, wyciągnięta w fotelu, przypatrywałam się z pod wpółprzymkniętych powiek zachowaniu i sziyognomii Pawła de Conprat. Siedział przy fortepianie, cokołwiek po za Junoną, i słuchał gry jej z miną poważną, nie spuszczać jej ani na chwilę z oka. Wydawało mi się, że ten wyraz poważny nie przystawał jakoś do jego twarzy i bardzo dobrze mógł uchodzić za wyraz znudzenia. Utwierdziłam się tem więcej w tem mniemaniu, widząc, że kilkakrotnie daremnie usiłował stłumić lekkie ziewnięcie. Wtedy nagle przyszło mi na myśl własne moje za-

dowolenie, kiedy on grywał melodye taneczne. Zrozumiałam, że nie lubię tych melodyi, ale tego, co je wykonywa, i że u niego było także samo uczucie. Nie dbał zgoła o Beethovena! ale zakochany był w Blance i rzeczy antypatyczne dla jego natury podobają mu się w kobiecie, którą ukochał.

Junona skończyła straszliwą swoją sonatę, a Paweł powiedział jej z zapałem, którego już znałam ukrytą przyczynę:

— Jaki to mistrz ten Beethoven i jak go pojmujesz doskonale, kuzynko!

— Pan poziewałeś jednak! — krzyknęłam, zrywając się tak nagle z fotelu, że grający w szachy mrukiem głośnym objawili swe niezadowolenie.

— Myślałam, że śpisz, Regino?

— Nie, nie spałam wcale i powiadam ci, że Paweł poziewał przez ten czas, kiedyś ty grała swego przekłętego Beethovena.

— Regina tak nienawidzi muzyki—odezwał się wuj mój — że przypisuje innym osobiste swoje pomysły.

— Tak, tak, te pomysły doprowadzają mnie jednak do pięknych odkryć! — odpowiedziałam drżącym głosem.

— Co ci się znów stało, Regino? Jesteś w złym humorze, boś się nie wyspała widocznie dzisiejszej nocy.

— Nie jestem wcale w złym humorze, Junono, ale nie mogę znieść hipokryzyi i powtarzam, utrzymuję i utrzymywać będę choćby do śmierci, że Paweł poziewał i jeszcze raz poziewai.

I po tej wycieczce uciekałam ze spokojem huraganu, pozostawiając wszystkich zebranych w salonie w głębokim zdumieniu.

Zamknęłam się u siebie i przechadzałam wzdłuż i wszerz wielkimi krokami po moim pokoju, zlorzczając memu zaślepieniu i bijąc się pięścią po głowie na wzór naszej Piotrusi, kiedy była skłopotaną. Ale

uderzenia pięścią po głowie, pominąwszy to, że mózg wstrząsnąć mogą, nie były nigdy receptą na nie-szczęśliwą miłość; i zniechęcona głęboko, rzuciłam się na fotel, w którym pozostałam długo, trapiąc się i gryząc.

Tak jak zwykle we wszystkich okolicznościach tego rodzaju, przychodziły mi na myśl słowa i szczegóły, które, co sobie mówiłam teraz, powinny były zdawna mnie oświecić. Uczuciem dominującym we mnie, obok wielu innych zmieszanych z sobą, było uczucie żywego gniewu, a że rozbudziła się we mnie duma wielka i podrażniona, więc poprzysięgam sobie, że nikt nie spostrzeże mego zmartwienia. Acz z natury szczerą, wierzyłam w to mocno, że łatwo mi przyjdzie ukryć to wrażenie, choć wszelkie inne zawsze objawiałam ludziom głośno.

Przechodziłam jedną z tych chwil irytacji, podczas których osobnik najspokojniejszy z natury od-czuwa gwałtowną ochotę uduszenia kogoś lub poła-mania czegoś. Nerwy, które nie mogą ulżyć sobie łzami, potrzebują znaleźć dla siebie jakiegokolwiek ujście i rozpoczęłam od moich figurek z terracoty, których miny i uśmiechy naraz wydały mi się wstrętne i śmieszne. Wyrzuciłam je natychmiast przez okno i doznałam jakiejś dzikiej uciechy, słysząc, jak się rozsypywały w kawałki na piasku alei.

Ale wuj, przechodzący właśnie tamtędy, otrzymał jeden z takich pocisków w szacowną swą głowę, na szczęście ochronioną kapeluszem, i uważając, że tego rodzaju postępowanie stoi po za obrębem wszystkich reguł etykiety, odpowiedział na nie wyrazistym okrzykiem:

— Jakiemu to, u dyabła, ćwiczeniu oddajesz się, moja siostrzenico?

— Wyrzucam swoje figurki przez okno, wuju — odpowiedziałam, podchodząc do okna, od którego do-tąd stałam zdaleka, by rzucać z większą siłą swoje pociski.



— Czyż to powód, żeby mnie rozbijać głowę?

— Stokrotnie przepraszam cię, wuju, nie widziałam cię zupełnie.

— Miałabyś nagle dostać pomieszania zmysłów? Dlaczego rozbijasz tak te wszystkie cacka?

— Bo mnie drażnią, wuju; niecierpliwia mnie, denerwują... Ot, patrz, już i koniec!

I od jednego zamachu wyprawiłam pięć sztuk za okno, pozwalając panu de Pavol ciskać gromy na wszelkie siostrzenice, ich kaprysy i nieporządek, zrobiony w alei jego parku.

Wieczorem znów mi prawił kazanie, ale ja słuchałam go z największą obojętnością, marne kazanie, które pośród mych trosk ciężkich sprawiało mi wrażenie bańki mydlanej, pękającej na mojej głowie.

Po obiedzie poszłam przypatrzeć się swoim figurkom z terracoty, leżącym w oplakanyim stanie pośród alei, potłuczone na okruchy, na proch starte tak właśnie, jak moje złudzenia, jak moje szczęście, które uważałam teraz za stracone na zawsze.

---

#### XIV.

Może się kto dziwić temu memu brakowi przenikliwości, ale gdzież jest człowiek, który, nie mając nawet za sobą wymówki lat szesnastu, nie dał przynajmniej raz w życiu dowodu zaślepienia nie do wiary? Chciałabym bardzo wiedzieć, czy istnieje bodaj jeden człowiek, coby nie powiedział sobie, że jest głupcem i niedołągą, odkrywając fakt, którego nie umiał dopatrzeć oddawna, choć fakt ten był aż nadto widocznym? Ach! jakże łatwo jest powiedzieć sobie, że się jest przenikliwym, łatwo także dowieść tego, kiedy nam kto da już jakąś wskazówkę...

Prawdziwą męczarnią były teraz dla mnie spostrzeżenia, robione nad panem de Conprat, męczarnią

każde dopatrzenie się jego uprzejmości niezwyklej dla Blanki, bo wiedziałam już bardzo dobrze, jaką była ich tajemna sprężyna. Jakże też płakałam pokryjomu! ale nigdy, o ile mi się zdaje, nie doznawałam zbyt silnego uczucia zazdrości względem Junony. Tylko na pana de Conprat bezustannie byłam zirytowana. Był on kozłem ofiarnym, na którego zlewałam cały swój zły humor, zmartwienia i rozgoryczenia w postaci różnych docinków. Nie przestawałam mu dokuczać i mówić słodko-kwaśnych rzeczy. A potem uciekałam znów do swego pokoju, gdzie przechadzałam się wielkimi krokami, takie głosząc przemowy:

— Jakie to rozumne zakochać się w takiej kobiecie, której natura tak mało ma z twoją podobieństwa! On tak wesoly, tak gadatliwy! równie gadatliwy jak ja, z pewnością! a ona poważna, milcząca, zwolenniczka etykiety, którą on jest nieraz porządnie znudzony, widzę to doskonale. My to, my właśnie, bylibyśmy doskonale do siebie dobrani! Jak on mógł tego nie widzieć? Ale Blanka jest równie dobrą, jak piękna; zna ją oddawna i koniec końcem, miłość nie przychodzi na zawołanie...

Wszystkie te piękne rozprawy jednak nie pocieszały mnie ani trochę.

Wieczorem, nocą nawet czasem szlochałam w łóżku i mimo mocno powziętego postanowienia, że ukryję głęboko wrażenia, po upływie dwóch tygodni mieszkańcy i zwykli goście Pavol dziwili się memu kapryśnemu zachowaniu się. Rano byłam wesola tak dalece, że mogłam śmiać się po całych godzinach; wieczorem siadałam do stołu ponura, przybita, z zaciśniętymi zębami, a nie odzywałam się ani razu przez ciąg całego obiadu.

To milczenie, tak przeciwne moim zwyczajom, niepokoiło bardzo pana de Pavol.

— Co się tam dzieje w twojej główce, Régino?

— Nic, mój wuju.

— Czy nudzisz się? Może chciałabyś podróżować?

— O! nie, nie, wuju; byłabym bardzo zmarzwiona, gdyby mi przyszło wyjechać z Pavol.

— Jeśli ci chodzi tak bardzo o wyjście za mąż, moje dziecko, to jesteś przecie wolną, a ja nie jestem znów tyranem. Czybyś miała żałować tego, że odmówiłaś tyłu starającym się o ciebie w ostatnich czasach?

— Nie, mój wuju; porzuciłam zupełnie ten zamiar; nie chcę już iść za mąż

Nieszczęsne te pytania dręczyły mnie jeszcze bardziej. Nie mogłam już słuchać, kiedy kto mówił o małżeństwie, ażeby mnie równocześnie nie brała chęć do płaczu. Jeżeli pan de Pavol nie naglił mnie do przyjęcia której z owych partyj, przedstawiał mi niemniej przecie dobre strony każdej z nich i naglił cokolwiek, ażebym zezwoliła na poznanie przynajmniej moich konkurentów. Byłby ich nawet z wielką łatwością wliczył między owe „nadzwyczajne wypadki“ i pośród licznych odkryć, czynionych przeze mnie codziennie, niekonsekwencya mego wuja z pewnością nie najmniej mnie zdumiewała. W głębi serca przypuszczam, że ciążyło mu cokolwiek to brzemie narzuconej mu opieki. Ale pozostawiał mi całkowitą swobodę i kiedy odrzuciłam kilka partyj, zadowolił się przyczynami, w których nie było ani trochę sensu.

— Po co było mówić, że ci tak śpieszno iść za mąż, Regino? — spytała mnie pewnego razu Blanka.

— Nie pójdę za mąż, dopóki nie znajdę tego, czego pragnę.

— Ach!... a czego ty pragniesz?

— Nie wiem tego dziś jeszcze — odpowiedziałam, choć mnie ścisnęło coś za gardło.

Blanka ujęła twarz moją w swoje ręce i przypatrzyła mi się z uwagą.

— Chciałabym umieć czytać w twych myślach, Reginko. Czy ty kochasz kogo? Może Pawła?

— Przysięgam ci, że nie—odrzekłam, wysuwając się z jej uścisku—nie kocham nikogo, a gdy pokocham, ty będziesz to wiedziała natychmiast.

Gdyby śmierć nie była rzeczą tak okropną, pewną jestem, że w tej chwili raczej dałabym się zabić, niżbym przyznać się miała komu do mojej miłości dla człowieka, który kochał inną kobietę, chociaż ta kobieta była moja krewną. Na szczęście, nie było mowy ani o palu, ani o gilotynie, której widok z pewnością byłby mógł zachwiać mój stoicyzm.

— Robię jak ty, Blanko, czekam.

— Ja nie mam takiego powodzenia, jak mój mały wilczek z Buisson—odparła, śmiejąc się—Pięć oświadczyń za jednym zamachem!

— Nie mów mi już o tem, proszę cię, to mnie męczy, nudzi, morduje!

Na nieszczęście, szósty konkurent, łączący w sobie wszystkie najcenniejsze zalety, nagle stanął w szeregu moich adoratorów. Niestety! zbierałam, com posiadała sama, bo od chwili wejścia mego w świat, opowiadałam każdemu z osobna, że mam zamiar iść za mąż jak najprędzej.

Mój wuj polecił mnie przywołać i mieliśmy z sobą długą konferencyę.

— Regino, pan Le Maltour pragnie cię zaślubić.

— Bardzom mu wdzięczna, wuju!

— Czy ci się podoba?

— Ani trochę.

— Dlaczego? Powiedz mi przyczynę, uzasadnioną jakąś przyczynę; te, jakie podawałaś pierwej, przy innych partyach, którym odmówiłaś w czambuł, nie miały najmniejszej podstawy.

— Ależ te twoje partye, wujaszku, były wcale nieosobliwe!

— Cóż znów! Pan de P. był bardzo poważnym konkurentem.

— Och! człowiek trzydziestoletni... Czemużby nie patryarcha jeszcze?

— A pan C.?

— Nazwisko szkaradne, wuju.

— Pan de N., chłopiec z pewną zasługą, bardzo inteligentny?

— Policzyłam mu włosy na głowie, niema ich więcej nad czternaście razem w dwudziestu sześciu latach!

-- Ach!... a ten mały D...?

— Nie cierpię brunetów. A potem to najkompletniejsze zero. Raz się ożeniwszy, uwielbiałby swoją twarz, swoje krawaty i mój posąg, nic więcej!

— Daruję ci go, ale powracam do barona Le Maltour; co mu zarzucasz?

— Człowiek, który nigdy ze mną nie tańczył nic innego prócz kontredansa, dlatego, że nie tańczy walca na trzy pas!—zawołałam z oburzeniem.

— Poważny także zarzut, Regino, powtarzam ci, że podług mnie, niedorzecznością jest wychodzić tak wcześnie za mąż; ale mimo twego posagu i piękności, być może, iż nie zdarzy ci się nigdy partya równie dobra, jak dzisiejsza. To człowiek nadzwyczaj miły; mam jak najlepsze informacye co do jego moralności i charakteru; majątek olbrzymi, tytuł, rodzina szanowana powszechnie i bardzo dawna...

— Ach, tak; przodkowie! jak mówi Blanka — przerwałam ze wzgardą.— Ja mam wstręt do przodków, mój wuju.

— A to dlaczego?

— Tacy ludzie, co to nie myśleli o niczem innym, tylko o wojowaniu i rozbijaniu sobie nosów! Co za idyotyzm!

— A więc wiem, że podobałaś się bardzo pisarzowi trybunału z V.; ten nie ma przynajmniej przodków; może chcesz, ażeby mu powiedziano, że

dla tej przyczyny panna de Lavallo gotowa jest wyjść za niego zamąż?

— Nie żartuj ze mnie, wuju, wiesz dobrze, że jestem patrycyuszką do szpiku kości — odpowiedziałam, chwytając tę sposobność, ażeby podziwiać przez chwilę swoją rękę i końce wysmukłych palców.

— Wierzę temu, jeśli powierzchowność twoja nie zawodzi. A teraz, moja siostrzenico, posłuchaj mnie dobrze. Nie znasz na tyle pana Le Maltour, aby go móżdż ocenić, i życzę sobie bezwarunkowo, ażebyś go widziała kilka razy, zanim mu dasz stanowczą odpowiedź. Napiszę do pani Le Maltour, że decyzja zależy w zupełności od ciebie i że upoważniam jej syna, aby przybył do Pavol kiedy mu się podobać będzie.

— Bardzo dobrze, mój wuju, stanie się, jak zechcesz.

W pięć minut później błakałam się po parku, gwałtownie wzburzona.

— Ach! to tak!—mówiłam gryząc chustkę, żeby stłumić łkanie—będzie tu mile przyjęty ten Maltour! Za cztery dni powinien zupełnie być wykreślonym z mego istnienia. A ten wuj, co nic nie widzi, nic nie pojmuje!..

Myliłam się. Mój wuj, mimo moich silnych postanowień ukrywania, widział wszystko bardzo jasno, ale postępował rozumnie. Nie mógł przeszkodzić temu, aby pan de Conprat kochał jego córkę, ani skłonić go, aby wyrzekł się marzenia, które zarówno on, jak i komendant, wypieścili oddawna. Zresztą, przekonany mocno, że moje uczucie nie było zbyt głębokiem i że w niem jest więcej dziecinnego uporu, niż prawdy, sądził, że najlepszem lekarstwem na uleczenie mnie z tego kaprysu, było odwrócenie mej uwagi i skierowanie jej na innego mężczyznę, który, pokochawszy mnie, będzie umiał wzajem we mnie wywołać dla siebie miłość; zgodnie z owym niezbitym pewnikiem, że miłość budzi miłość.

Rozumowanie to byłoby doskonałem, gdyby nie to, że było błędem u podstawy.

W dwa dni później pani Le Maltour i syn jej zjechali do Pavol, z uśmiechem na ustach i nadzieją w spojrzeniu. Zaczynała ta dama nagadała mi masę komplementów, na które odpowiadałam z miną ponurą i namarszczoną furtyana od Jezuitów.

Baron był poczciwym sobie chłopcem; nie chcę bynajmniej przez to powiedzieć, że był głupim, ani trochę! Przeciwnie, był to człowiek inteligentny, dość dowcipny, ale miał dopiero lat dwadzieścia trzy. Nieśmiały był i bardzo zakochany, ostatnia ta właściwość czyniła go śmiesznym, a w moich oczach stanowiła dla niego zarzut.

Nazajutrz przyjechał do nas bez matki już i starał się zawiązać ze mną rozmowę.

— Czy pani żałuje, że się już skończyły wieczory?

— Tak—odpowiedziałam tonem równie uprzejmym, jak ongi nasza Zuzanna w Buisson.

— Czy bawiła się pani dobrze wówczas u państwa \*\*\*?

— Nie.

— A jednak był to wieczór niezmiernie świąteczny. Jaką prześliczną suknię miała pani na nim! Pani lubi kolor niebieski?

— Oczywiście, skoro go noszę.

Pan Le Maltour odkaszlnął dyskretnie, aby sobie dodać odwagi.

— Czy pani lubi podróże?

— Nie.

— Dziwi mnie to! Byłbym przypuszczał, że umysł pani jest przedsiębiorczy, rzutki i że podróże muszą panią nęcić.

— Idyotyzm! ja się obawiam przecież wszystkiego.

W tym tonie rozmowa trwała czas jakiś. Stropiony moją lakonicznością i zajęciem, z jakim z mi-

na wprost impertynencką ściagałam ewolucyje muchy, przechadzającej się po poręczy mego fotelu, baron podniósł się cokolwiek zaczerwieniony i skrócił wizytę...

Mój wuj odprowadził go aż do drzwi ogrodu i powrócił do mnie, rozgniewany na seryo.

— Tak już nadal być nie może, Regino! To zuchwalstwo, do licha! tak względem mnie, jak względem tego biednego chłopca, który jest nieśmiałym, a którego ty zbijasz z tropu kompletnie. Pan Le Maltour nie jest człowiekiem, którego możnaby traktować jak tekturowego arlekina, moja siostrzenico! Nikt znagłać cię nie będzie, żebyś go poślubiła, ale domagam się, abyś była dla niego grzeczną i uprzejmą. Wiadomo wszystkim, że jesteś bardzo wymowną, kiedy chcesz tylko! Staraj się, aby jutro tak było, pan Le Maltour będzie u nas na śniadaniu.

— Dobrze, mój wuju, będę z nim rozmawiała; bądź spokojny.

— Nie gadajże głupstw przynajmniej.

— Zaczerpnę natchnienia w nauce, wujaszku— odpowiedziałam z namaszczeniem.

— Jakto w...

— Nie lękaj się, wuju, zrobię, czego żądasz, będę mówiła bez ustanku.

— Nie o to chodzi, moja kochana...

Ale ja wymknęłam się, pozostawiając wuja, by myśl swą dalej rozwijał wobec mebli salonu, a sama pobiegłam do biblioteki szukać tego, co mi było potrzebne, aby przeprowadzić pomysł, który mi przeszedł przez głowę. Zabrałam z sobą filozofię Malebranche'a i studyum o Tartaryi.

Malebranche omal mnie nie przyprawił o zapalenie mózgu i porzuciłam go wkrótce, zabrawszy się do Tatarów, z którymi łatwiej jakoś mogłam sobie dać radę. Aż do północy studyowałam zawzięcie kilka stron, wymyślając i zlorzeczając mieszkańcom Buchary, że się przystrajali w imiona tak cudaczne.



Udało mi się wszakże spamiętać kilka szczegółów dotyczących kraju i kilka wyrazów miejscowych, których znaczenia nie rozumiałam zupełnie. Położyłam się spać, zacierając ręce.

— Zobaczymy — powiedziałam sobie — czy Le Maltour wytrzyma tę próbę. Ach, zacny mój wujaszku, ja będę górą, bądź pewien! i za kilka godzin będę już uwolnioną od tego intruza.

Następnego dnia konkurent pojawił się z miną uszczęśliwioną i chwiejącym się krokiem, jakby marszerował po szpilkach, ale przyjął go w sposób tak uprzejmy, że nabrał pewności, obawy zaś pana de Pavol zniknęły.

Obaj panowie Conprat i proboszcz miejscowy byli u nas na śniadaniu. Mnie serce się ścisnęło, patrząc na Pawła, rozmawiającego wesóło z Blanką, kiedy ja skazaną byłam na znoszenie nieśmiałyłch grzeczności pana Le Maltour, którego ładny wygląd denerwował mnie okropnie.

— Zmieniłam gust mój od wczoraj—powiedziałam mu nagle—lubię niezmiernie podróże.

— Podzielam gust pani; to najrozumniejsza ze wszystkich rozrywek.

— Czy pan podróżowałeś już kiedy?

— Tak, cokolwiek.

— Czy znasz pan Ruddarów, Szakird-Piszów, Uzbeków, Tadżyków, Molahsów, Debaszów, Pendza-Baszich, Alamanów? — wymówiłam wszystko jednym tchem, mieszając bez wyboru plemiona, klasy społeczne i godności.

— Co to jest to wszystko?—spytał baron oszolomiony.

— Jakto! Czyż pan nie byłeś nigdy w Tartaryi?

— Ależ nie, nigdy.

— Nigdy nie być w Tartaryi—rzekłam wzgardliwie. — Czy znasz pan przynajmniej Nasr-Ullah, Bahadina, Chana, Melik-el-Munemin, Bird, Blak-Blok?

Dodałam jeszcze kilka sylab mego pomysłu do nazwiska Nasr-Ullaha, aby więcej sprawić wrażenia, będąc pewną, że cień tego człowieka nie wyjdzie z grobu, aby mi czynić wyrzuty.

Wuj mój i jego współbiesiadnicy gryźli wargi, ażeby się nie rozśmiać, ponieważ twarz pana Le Maltour była istnem wcieleniem najwyższego zdumienia, a Blanka zawołała:

— Czyś ty straciła głowę, Regino?

— Ależ bynajmniej, pytam tylko pana, czy podziela żywą moją sympatyę dla Nasr-Ullacha, człowieka, który, jak się zdaje, posiadał wszystkie wady możliwe. Spędzał on czas na dławieniu swych bliźnich, na wtrącaniu posłów obcych mocarstw do więzienia, gdzie im zgnieć dozwalał; nakoniec obdarzony był energią niesłychaną i obcą mu była całkowicie nieśmiałość, ta tak wstrętna wada, według mego zdania! A kraj jego!... Cóż to za kraj rozkoszny! Panują w nim wszelkie choroby świata i tam posłałabym z przyjemnością kiedyś mego męża. Suchoty, ospa, wymioty, trwające po sześć miesięcy, wrzody, trąd, robak zwany riszta, który żywcem cię toczy; chcąc go wyprowadzić z ciała, trzeba...

— Dosyć, Regino, dosyć na Boga; pozwólże nam zjeść śniadanie spokojnie.

— Co chcesz, wuju? Mnie pociąga coś formalnie do Tartaryi. A pana? — dodałam, zwracając się do barona Le Maltour.

— To, co nam pani opowiada, niezbyt jest zachęcające.

— Dla ludzi, co nie mają chyba krwi w żyłach! — odpowiedziałam wzgardliwie. — Ja, skoro pójdę za męża, wyjeżdżam natychmiast do Tartaryi.

— Chwała Bogu, że wówczas nie będziesz mieć własnej woli, moja siostrzenico!

— O, że ją mieć będę, to będę, wujaszku; zawsze we wszystkim postępować będę według własnej głowy, nigdy nie myślę słuchać męża. Zresztą

zabiorę go z sobą do Buchary, aby go tam stoczyły robaki.

— Jakto, stoczyły ro... — bąknął baron nieśmiało.

— Tak, panie, wszakże slyszależ! Powiedziałam: żeby go tam stoczyły robaki, bo w moich oczach stanowiskiem najgodniejszym zazdrości jest stan wdowi...

Jaśnie wielmożny baron Le Maltour, jakkolwiek z rodu chrobrych, nie wytrzymał próby. Zrozumiawszy ukryte znaczenie moich zachcianek tatarskich, wyjechał i nie powrócił więcej.

Wuj gniewał się, ale mnie to nie wzruszało bynajmniej. Wykręciłam się na pięcie i powiedziałam mu sentencyonalnym tonem:

— Mój wuju, kto dąży do celu, nie przebiera w środkach.

---

## XV.

Dotrzymałam obietnicy danej proboszczowi i piływałam do niego regularnie dwa razy na tydzień. Zwyczaj ten tak był mu miłym, tak pocieszającym, że kiedy nagle przerwałam korespondencyę, ogarnął go niepokój i strapienie.

Pochłonięta całkowiće własnymi swemi zmarwieniami, przez dwa tygodnie nie dałam znaku życia; potem, ulegając gorącym jego prósbom, zaczęłam wysyłać do niego listy w rodzaju tego:

„Człowiek jest głupcem skończonym, księżę proboszczu, odkryłam to niedawno. Co, mój proboszczu, sądzisz o tem? Całuję cię, wszelkie konwenance odsyłając do wszystkich dyabłów.”

Albo też:

„Ach! biedny mój księżuniu, obawiam się, że już odkryłam owo źródło zimnej wody, o którem

mówiliśmy przed trzema miesiącami! Szczęście nie istnieje zupełnie, to wabik tylko, to myt, wszystko co zechcesz, tylko nie rzeczywistość.

„Żegnaj mi, księże; gdyby śmierć nie oszpecała nas tak strasznie, radabym umrzeć. Umrzeć, tak, mój proboszczu, przeczytałeś dobrze.”

On przysyłał mi list za listem:

„Droga córko! Co znaczy ten ton ostatnich twoich bilecików? Przed trzema tygodniami jeszcze zdawało się, żeś tak szczęśliwa wśród uciech i rozgłosu, jakie niosły z sobą twe powodzenia w świecie! Nie, nie, Reginko moja, szczęście nie jest bynajmniej mytem, będzie ono twoim udziałem; w tej chwili jednak jesteś pod władzą wyobraźni, co cię unosi i nie dozwala widzieć rzeczy we właściwym świetle. Nie poszłaś za moją radą, Reginko, zbyt hojnie podsycalaś płomień, nieprawdaż? Biedna dziecko moja, przyjeźdź do mnie, pomówimy z sobą o tem wszystkim, co ci dolega i boli.”

Odpowiedziałam mu:

„Drogi proboszczu, wyobraźnia jest arcy-głupią rzeczą, życie—to łachman, świat—to szmat, błyszczący zdaleka, ale wistocie dobry na to tylko, aby go powiesić na drzewie ku odstraszeniu wróbli. Miałabym ochotę wstąpić do trapistów, kochany mój proboszczu! Gdybym była pewną, że od czasu do czasu wolno tam potańczyć walca z ładnymi tancerzami, jak ci, których poznałam, najniezawodniej poszłabym tam poszukać schronienia, pogrzebać w tej samotni młodość moją i piękność. Ale zdaje mi się, że tego rodzaju rozrywek nie dopuszcza reguła. Objaśnij mi szczegółowo pod tym względem, księże proboszczu, i bądź przekonany, że jesteś nawskroś optymistą, twierdząc, że szczęście istnieje i jest mi przeznaczonem. Ty, księżuniu, wiesz życie robaka

zagrzebanego w serze; nie dlatego, abyś był egoistą, ale nie znane Ci są nawet z imienia te katastrofy, jakie się zwalić mogą na głowę człowieka, żyjącego pośród świata.

Ja nie mam już złudzeń, mój księżu. Jestem dziś starą kobieciną, pochyloną do ziemi, skarlowiącą, zwiędłą — pod względem duchowym, rozumie się, bo po za tem jestem ładniejszą, niż kiedykolwiek — taką staruszką, która nie wierzy już w nic, niczego się nie spodziewa, co powiada sobie, że ziemia jest strasznie głupią, skoro jej się chce dalej przechodzić jakieś przewroty, kiedy to, co stanowiło jej radość własną i jej marzenia potłuczone zostało, zmiażdżone, w proch się rozpadło, zamieniło w atomy, niedostrzegalne dla oka... Moja istota moralna, gdyby ją można było rozebrać z cielesnej powłoki, ludzkiej oko badacza, jest tylko szkieletem, drzewem, całkowicie zamarłem, pozbawionem soków żywotnych, odartem z liści i wyciągającym ku niebu sztywne i zeschnięte ramiona. Byleż tylko duch nie przywiódł ciała do zguby. Księżu proboszczu! dreszcz mnie przejmuje! Nie mieć najdrobniejszych złudzeń w latach szesnastu, czyż to nie straszne?

Do widzenia, stary mój proboszczu.“

W dwa dni po wysłaniu tej epistoły, która zapewne dała proboszczowi dość smutne pojęcie o stanie mej duszy, wuj postanowił, że pojedziemy spędzić popołudnie na górze Saint-Michel.

Tego dnia jakiś powiew nieszczęścia unosił się w powietrzu; ja je przeczuwałam. W wigilię już komendant i pan de Pavol mieli z sobą naradę tajemną i przedłużoną bardzo; Paweł wydawał się niespokojny jakiś, zdenerwowany, a kuzynka moja była czegoś rozmarzona.

Mój wuj i Junona, którzy lubowali się w górze Saint-Michel, zamierzili mnie oprowadzić po niej;

ale, pominawszy już, że architektura bardzo małe wogóle robiła zawsze na mnie wrażenie, patrzyłam na wszystko przez ciemną zasłonę mego humoru, zabójczego istotnie.

— Jakież to męczące piąć się po tych wszystkich schodach — mówiłam, jęcząc za każdym krokiem.

— Przeszło sześćset stopni wejść trzeba, chcąc się dostać na sam szczyt, kuzynko.

— Jabyłm wolala tu już zostać.

— Dajże spokój, moja kochana, co u dyabła, przecież nie masz chyba podagry?

I mój wuj, wchodząc po schodach, deptanych przez tyle pokoleń, opowiadał mi dzieje tej góry i epizod z Montgommerym.

Ale co mnie to wszystko obchodziło, ten Montgommery, te szzańce, to cudowne opactwo, te sale olbrzymie, te liczne wspomnienia, co tam drzemią od całych stuleci! Ja baczyłam pilnie, żeby ich nie rozbudzić, bo do obserwacyi miałam rzeczy stokroć więcej zajmujące na twarzy tego tęgiego chłopaka, który otaczał Blanę uprzejmością, usłużnemi staraniami, a o mnie nie pomyślał nawet.

Jakaż ja byłam niedorzeczna, żem pierwiej nie dopatrzyła się jego miłości! Unosił się nad najdrobniejszym kamykiem, aby jej tem sprawić przyjemność, a spojrzeń ponurych, które ja mu rzucalam od czasu do czasu, nie raczył zauważyć nawet.

— A! jesteśmy teraz w sali rycerskiej. Patrz, Regino, co powiesz o niej?

— Powiem, mój wuju, że gdyby tu byli ci rycerze, to sala mogłaby mieć pewien urok.

— A sama przez się niepodoba ci się?

— O! ani trochę. Widzę wielkie kominki, pilastry z jakimiś tam figlami rzeźbionemi u góry, ale bez rycerzy, któremiby można sobie trochę pozawracać głowy... ech! to nic nie warte.

— Nie przyszło mi na myśl nigdy zapatrywać

się na architekturę feodalną z tego punktu widzenia — odparł mój wuj, śmiejąc się serdecznie.

Przechodziliśmy ciemnymi korytarzami, które mnie przejmowały strachem.

— Poskręcamy tu chyba karki! — jęczałam, czepiając się ramienia komendanta, kiedy tymczasem Paweł prowadził Blanę pod rękę.

— Mamy jakieś zmartwienie, Reginko? — rzekł mi cicho komendant.

— Pan mówisz do mnie, jak mój proboszcz — odpowiedziałam wzruszona.

— No, a może zechciałabyś mi się zwierzyć, może ja zasługuje na ufność?

— Nie mam żadnego zmartwienia — odpowiedziałam szorstko — i nie zwierzam się, ani ufam nikomu. Nasza Zuzanna powiedziała mi kiedyś, że mężczyźni zgoła nic nie są warci i podzielałam w zupełności zdanie Zuzanny.

— O, o! — wyrzekł komendant, patrząc na mnie z wyrazem takiej dobroci, że zląkłam się, abym nie wybuchnęła płaczem; — tyle mizantropii w połączeniu z tą młodością.

Nie odpowiedziałam nic, a ponieważ doszliśmy do rodzaju długiego tarasu, wysunęłam rękę z pod jego ramienia i poszłam ukryć się pod olbrzymią arkadą. Oparłam głowę o jeden z tych kilkowiekowych kamieni i rozplakałam się gorącymi łzami.

— Ach! myślałam sobie — jak też słusznie mówił mi mój proboszcz dawno już, bardzo dawno temu, że z życiem nie można wieść sporów, ale mu uledez trzeba! Cała moja logika nie przyda się na nic wobec okoliczności. Jakże to smutne, mój Boże, jak smutno widzieć, że się z nami obchodzą, jak z małą dziewczynką, z którą się rachować nie potrzeba!

I przypatrywałam się przez łyzy tym tarasom tak sławionym, które na mnie robiły tylko wrażenie opustoszenia, temu pomnikowi przeszłości, którego

wysokość przygniatała mnie i nabawiała zawrotu głowy; ale nie zdając sobie z tego sprawy, doznawałam pewnego rodzaju ulgi w tem pokrewieństwie tajemniczem, ponurej, pełnej smutku natury z własnymi memi myślami, w podziwianiu tych wysokich murów, co rzuciły długi cień melancholijny na ziemię i na przeszłość.

Powracając do domu, kiedy już wsiedliśmy do powozu, wuj rzekł mi:

— I cóż, Regino, jakież wrażenie wogóle sprawiła na tobie góra Saint-Michel?

— Sądzę, mój wuju, że można tam umrzeć ze strachu, albo nabawić się reumatyzmu.

Jadąc drogą, prowadzącą od dworca V. do Pavol, zastanawiałam się, jak to rzeczy tego świata dziwnie są nietrwale. Zaledwie trzy miesiące ubiegło od chwili, kiedy dążyłam tą samą drogą pod wpływem marzeń o szczęściu, w upojeniu myśli radosnych o tej przyszłości, którą wyobrażałam sobie tak piękną!... a teraz droga wydała mi się zawałoną gruzami tego szczęścia mego.

Było już dosyć późno, gdyśmy przybyli do pałacu; mimo to wuj zabrał do siebie Blanę, oświadczwszy, że tego wieczora jeszcze musi z nią pomówić poważnie.

Poszłam spać, zalewając się gorzkimi łzami z tą świadomością, że miecz Damoklesa zawieszony jest nad moją głową.

Oddawna już Junona pobratała się ze mną serdecznie. Co rano przychodziła ona do mego pokoju, siadała w nogach łóżkach i prowadziłyśmy z sobą długie częstokroć rozmowy. Nazajutrz już o siódmej rano weszła do mego pokoju krokiem spokojnym, poważnym, z tym pełnym wdzięku uśmiechem, który przeobrażał w zupełności twarz jej dumną, a który mnie jednej tylko może znany był dobrze.

— Regino—rzekła mi odrazu—Paweł oświadczył się o mnie.



Nitka zerwała się, a miecz Damoklesa spadł mi na piersi. Jak też król ten odarty był zupełnie ze zdrowego rozsądku, kiedy mógł tak ciężką maskę uwiązać na zwykłej nitce. Czy to, jeśli się nie mylę, historia nie mówi coś nawet o jakimś włosku? To bardzo do niej podobne!

Bezwątpienia spodziewałam się tej wiadomości, ale dopóki fakt jakiś nie jest pewnym zupełnie, dokonanym, gdzież jest istota ludzka, która w głębi serca nie zachowałaby cokolwiek nadziei? Pobladałam okropnie, tak bardzo zbladłam, że Blanka spostrzegła to, jakkolwiek pokój pogrążony był w półcieniu.

— Co tobie, Regino? Czyś ty chora?

— Nic, to kurcz tylko — szepnęłam słabym głosem.

— Pójdę po eter—rzekła, powstając żywo.

— Nie, nie—wymówiłam z gwałtownym wysiłkiem, chwytając się dumy, co mnie zaczynała zawodzić.—To już przeszło, zupełnie przeszło.

— Czy ty często to miewasz?

— Nie, czasem tylko; to głupstwo, nie mówmy już o tem.

Blanka przesunęła ręką po czole, jak ktoś, co chciałby z niego spędzić jakąś myśl natrętną. Ale ja zaczęłam prowadzić dalej rozmowę głosem tak pewnym, że zdała się wolną już od niepokoju.

— I cóż, Junono, co zrobić zamierzasz?

— Ojciec powiedział mi, że to małżeństwo byłoby spełnieniem wszystkich jego życzeń, Regino.

— A tobie ono się podoba?

— Małżeństwo podoba mi się, oczywiście; wszystkim względem czyni ono zadość; ale jak dotąd nie kocham Pawła, lubię go tylko jako krewnego.

— Cóż mu zarzucasz?

— Nie zarzucam mu nic, prócz tego jednego chyba, że mi się niedość podoba. Bardzo to pocziwy chłopiec, ale ja nia lubię tego rodzaju ludzi. Najprzód nie jest dość ładny, potem ten apetyt prawdzi-

wie normandzki depoetyzuje go okropnie, sama przyznasz!

— A jednak to całkowicie logiczne przecież, jeść, kiedy się jest głodnym!—powiedziałam, powstrzymując łzy.

— Co chcesz? Zdaje mi się, że nie odpowiadamy sobie wzajemnie.

— W takim razie odmawiasz mu, Junono.

— Prosiłam o miesiąc czasu do namysłu, Reginko. Nie wiem sama, co robić, bo obawiam się sprawić ojcu zawodu. Zresztą z pewnych punktów widzenia, małżeństwo to łączy w sobie wszystko, czego mogłabym życzyć sobie, a wreszcie i sam człowiek jest w zupełności godny szacunku.

— Skoro wszakże go nie kochasz, Blanko!

— Ojciec utrzymuje, że pokocham go później, że zresztą miłość, w właściwym znaczeniu tego wyrazu, niepotrzebną jest do tego, aby wyjść zamaż i być szczęśliwą w domowym pożyciu.

— Jak też możesz wierzyć czemuś podobnemu!—zawołałam, zrywając się, oburzona. — Wuj do prawdy ma szkaradne zasady!

Ale Blanka odpowiedziała mi spokojnie, że ojciec jej jest niezmiernie rozsądnym, że ma zdrowe poglądy i że zauważyła już wielokrotnie, iż rzadko myli się w sądzie, że więc skłonna jest go usłuchać.

— Czy Paweł cię kocha, Junono? — bąknęłam półgłosem.

— Tak, oddawna już.

— Tyś wiedziała o tem?

---

## XVI.

Ułożono, że Paweł przez czas jakiś nie będzie przyjeżdżał do Pavol i rzecz dziwna, niepojęta dla mnie, niestychała, Blanka, od chwili gdy go prze-

stała widywać, była nieomal zdecydowana wyjść za niego. Mówiliśmy o tem bezustannie, obmyślaliśmy już nawet tualety wyprawne, a ja składałam dowody rezygnacyi iście stoickiej, godnej bohaterów starożytnych.

Ale rezygnacya ta była tylko pozorną.

Zniechęcenie moje rosło z dniem każdym, oczy podkrażały się coraz mocniej i doszłam do tego, iż uznawszy, że życie zdała od człowieka, którego kochałam, jest nie do zniesienia, powiedziałam sobie, że najlepiej byłoby umrzeć.

Projekt ten przykrym mi był, ale raz go się uchwyciwszy, myślałam już o nim z zapalem; rozważałam go, pieściłam w duszy z radością chorobliwą niemal. Nie przychodziło mi jednak na myśl nigdy uduszenie się lub zażycie trucizny; ale, przeczytawszy gdzieś, nie wiem już w jakiej książce, że młoda jakaś dziewczyna umarła ze zmartwienia, spowodowanego zawodem miłosnym, zawyrokowałam, że pójdę za jej przykładem.

Zdecydowałam się, a że zmizerniałam w ostatnich dniach bardzo, tem więcej mnie to utwierdzało w grobowych mych myślach; uznałam wszakże, że grzecznie będzie i właściwie zawiadomić proboszcza o tem postanowieniu i że wreszcie nie powinnam umierać bez pożegnania z nim.

Uczyniwszy takie postanowienie, weszłam pewnego rana do gabinetu wuja i poprosiłam go, aby mi pozwolił pojechać do Buisson.

— Lepiej może byłoby poprosić proboszcza, Regino, żeby tu przyjechał.

— Nie będzie mógł, wuju; nigdy nie ma grosza przy duszy.

— Bo to wcale niezabawne odwozić cię tam, moja droga.

— Nie jedź ze mną, wuju, proszę o to, byłbyś mi tylko przeszkodą. Chciałabym pojechać sama ze starą klucznicą, jeśli pozwolisz, wujku.

— Zrób jak chcesz. Mój powóz odwiezie cię do C., gdzie już łatwo ci przyjdzie znaleźć jakąkolwiek furmankę, która cię dowiezie do Buisson. Kiedy chcesz jechać?

— Jutro rano, bardzo wczesnie, wuju; chciałybym zrobić proboszczowi niespodziankę i zanocowałabym na probostwie.

— Dobrze, niech i tak będzie! Przyślę po ciebie powóz za dwa dni. Bądź w C. pojutrze około trzeciej.

Popatrzył na mnie uważnie z pod gęstych brwi, trąc sobie podbródek z miną zafrasowaną.

— Czyś ty chora, Regino?

— Nie, wuju.

— Dziecko — rzekł, przyciągając mnie ku sobie — doszedłem do tego niemal, że dziś życzę sobie, aby się plany moje nie spełniły.

Popatrzyłam na niego zdziwiona bardzo, bo wciąż mocno byłam przekonana, że nic nie dojrzał.

Odpowiedziałam mu z zimną krwią, że nie wiem, co chciał przez to powiedzieć, że czuję się bardzo szczęśliwą i zawsze pragnę tego, aby wszystkie jego plany się spełniały. Ucałował mnie serdecznie i odszedł.

Wyjechałam przeto nazajutrz rano, nie przyjąwszy towarzystwa Blanki, która objawiła życzenie pojechania ze mną.

W drodze zastanawiałam się nad słowami wuja.

— Więc on wie wszystko — myślałam. — Mój Boże, jak też ja jestem niedomyślną, mimo wszystkich moich do tego pretensyj. Ale chociażby nawet małżeństwo Junony nie przyszło do skutku, na cóżby mi się to przydało, skoro Paweł jest zakochany? Nie może przecież pokochać innej. Nie rozumiem wuja.

Nie wyobrażałam już sobie teraz, jak dawniej, że można się kochać w kilku naraz kobietach. Sądząc na podstawie własnych uczuć, mówiłam sobie,

że mężczyzna nie może dwa razy kochać w życiu, chyba, że będzie to jakiś niezwyuczajny fenomen.

Ograniczywszy tak wartość serc rodu brodatego, myśli moje przybrały inny kierunek i zaczęłam cieszyć się nadzieją zobaczenia znów mego proboszcza. Powzięłam postanowienie, że rzucę mu się na szyję, choćby dlatego tylko, aby dowieść mojej niepodległości i wzdardy, jaką wyznawałam dla wszelkiej etykiety.

Przybywszy na probostwo, weszłam nie przez bramę, ale przez otwór w płocie, który znałam od niepamiętnych czasów, i podkradałam się na palcach pod okno pokoju, w którym zapewne teraz proboszcz musiał być przy śniadaniu. Okno to było bardzo niskie, ale ja byłam tak małą, że chcąc zajrzeć do wnętrza pokoju, musiałam wejść na pieńek oparty o mur i zastępujący tu ławeczkę.

Wsunęłam głowę ostrożnie między bluszcze, które tworzyły ramę spletaną u okna, i zobaczyłam mego proboszcza.

Siedział przy stole i jadł z miną smutną; policzki jego straciły część dawnych rumieńców i zaokrąglonego kształtu, obfite włosy białe nie były teraz nastrzępione, jak niegdyś, lecz płasko przyczesane do czaszki, co nadawało mu wyraz nieopisanego strapienia.

— Ach, biedny mój proboszcz.

Zeskoczyłam z pieńka i pobiegłam pędem na probostwo, gubiąc po drodze kapelusz i wpadłam jak bomba do parlatorium.

Proboszcz wstał zdumiony; twarz jego zacna rozpromieniła się radością na mój widok i teraz już nie dlatego, by zerwać ze wszystkimi tradycjami etykiety, ale w wylewie serdecznego uczucia, z wielkiego wzruszenia rzuciłam się w jego objęcia i długo, długo płakałam, oparłszy głowę o jego ramię.

Dobrze wiem, że niema nic nieprzyzwoitszego w świecie, jak płakać w objęciach księdza; że wuj

mój, Junona i wszystkie arystokratyczne matrony tej ziemi, wbrew nawet puklerzowi moich przodków, byłyby sobie zasłoniły twarz wobec tak skandalicznego widoku; ale za krótkim snąc był mój pobyt w szkole miarkowania uczuć, abym mogła utracić rodzimą szczerłość swej natury. Zresztą uważam za pewnik, że głupcy tylko, pozerzy i ludzie bez serca utrzymują, że nigdy nie poświęcili praw konwenansu dla prawdziwego i głębokiego uczucia.

— Życie jest łachmanem, mój księżu — mówiłam, zanosząc się od płaczu.

— Więc aż do tego doszliśmy, droga moja dziewczynko, więc aż do tego, doprawdy? Nie, nie, to niemożliwe!

I biedny proboszcz śmiał się i płakał razem, patrzył na mnie z rozrzewnieniem, głaskał mnie po głowie i przemawiał do mnie, jak do zranionej ptaszyny, którejby chciano zagoić złamane skrzydło pieścizotami i dobrymi słowy.

— No, no, Reginko, uspokój się cokolwiek, uspokój, moje kochane dziecko — mówił, odsuwając mnie zlekka.

— Ma ksiądz słuszność — odpowiedziałam, chowając chustkę do kieszeni.—Od trzech miesięcy uczono mnie wciąż spokoju, a, jak widzisz, nie skorzystałam wcale z tych lekcyj. Siądźmy do śniadania, księżu proboszczu.

Zdjęłam rękawiczki i płaszczyk i jednym z tych przeskoków, tak częstych u mnie od niejakiego czasu, zaczęłam śmiać się i wesoło zasiadłam do stołu.

— Będziemy rozmawiali, skoro się posilimy, księżu proboszczu, bo teraz głodna jestem straszliwie.

— A ja tu właśnie nie mam nic prawie w domu!

— Jest przecież fasola! przepadam za fasolą! jest i chleb domowy, to wyborne!

— Ale nie przyjechałaś tu chyba sama, Regino?

— Ach, prawda! klucznica została tam w powozie, za kościołem. Poślij po nią, księżę proboszczu, i niech jej tam kto powie, żeby poszukała mego kapelusza, który gdzieś tam leży w ogrodzie.

Proboszcz poszedł wydać rozkazy i powróciwszy, usiadł naprzeciw mnie. Kiedy zajadałam z wielkim apetytem, mimo mniemanych suchot i moich zmartwień, on nie myślał już o śniadaniu i wpatrywał się tylko ciągle we mnie z zachwytem, który daremnie ukryć usiłował.

— Uważasz zapewne, księżuniu, że wyla-dniała?

— Ależ... cokolwiek, Reginko.

— Ach, mój księżuniu, gdybym miała iść do spowiedzi, do iluż to ciężkich grzechów musiałabym się przyznać! To już nie są owe grzeszki dawne, które znasz tak dobrze.

I nie przestając zajadać, opowiadałam mu o moich przyjemnościach, tryumfach próżności, wrażeń, tualetach, nowych poglądach. Śmiał się, zażywał tabaki bezustannie z dawną swą rozweso-loną miną i wpatrywał się we mnie, nie myśląc na-pewno mnie łajać.

— Czy ja nie jestem już na drodze do piekła, księżę proboszczu?

— Nie sądzę, moja kochana, dobra dziecino. Trzeba być młodym, skoro się jest młodym.

— Młodym, mój drogi proboszczu! Gdybyś mógł widzieć głębię mej duszy! Napisałam ci, że ze mnie szkielet dziś tylko, i to prawda!

— Nie wydaje mi się, w każdym razie...

— Pomówimy o tem za chwilę, księżę proboszczu, i sam wówczas zobaczysz!

Skoro posiliłam się, służąca sprzątnęła ze stołu, rozpalono wspaniały ogień i usiedliśmy oboje w dwóch rogach kominka.

— A teraz, Regino, pomówmy z sobą poważnie. Co mi masz do powiedzenia?

Przysunęłam nóżkę moją do płomienia i odpowiedziałam spokojnie:

— Księżę, ja umieram powolną śmiercią.

Proboszcz, cokolwiek przejęty, zamknął szybko tabakierkę, w której zamierzał właśnie zanurzyć palce.

— Nie wyglądasz mi na to, moje kochane dziecko.

— Jakto, więc ksiądz nie widzi moich podsińcanych oczu, moich warg pobladłych?

— Ależ nic, Regino; wargi masz różowe, a twarz kwitnącą zdrowiem. Z czegoż to jednak umierasz?

Zanim odpowiedziałam, obejrzałam się dokoła, myśląc o tem, że mam wymówić słowo, które nigdy nie rozległo się wśród ścian skromnego tego pokoju; słowo tak dziwne, że stary zegar, pozbawiony sprężyny, stojący w kącie, i pobożne obrazy, pozawieszane na ścianach, prawdopodobnie chyba spadną mi na głowę, przejęte gniewem i oburzeniem.

— I cóż, Regino?

— Księżę proboszczu, ja umieram z miłości!

Zegar, obrazy, meble, wszystko to pozostało nieruchome, a proboszcz sam nawet zlekka poruszył się tylko na krześle.

— Pewien tego byłem — rzekł, przegarniając ręką włosy, które napowrót znów nastroszyły się jak za dawnych, dobrych czasów — pewien tego byłem! Wyobraźnia twoja rozigrała się, Regino!

— Nie chodzi tu teraz o wyobraźnię, ale o serce, księżę proboszczu, skoro kocham!

— Och! ty, tak młoda, takie dziecko jeszcze!

— Alboż to przyczyna? Powtarzam ci, księżę, że umieram z miłości dla pana de Conprat.

— Ach, więc to on!

— Czy mnie uważałeś, księżę, za czeczotkę, za wartogłowa? — zawołałam.

— Ależ Reginko, zamiast umierać, lepiej wyszła byś za niego za męża.



— Byłoby to logiczne, kochany proboszczu, bardzo logiczne. Na nieszczęście, nie podobam się mu.

To twierdzenie wydało mu się tak nadzwyczajnym, że przez kilka sekund stał jak skamieniały.

— To być nie może! — rzekł mi z wyrazem takiego przeswiadczenia, że nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

— Nietylko, że mnie nie kocha, ale kocha jeszcze inną; zakochał się w Blance i oświadczył się o nią.

Opowiedziałam mu, co zaszło przed kilku dniami w Pavol; moje odkrycie, moje poprzednie zaślepienie i wahanie się Junony. Uwieńczyłam tę opowieść, rozplakawszy się gorącymi łzami, bo zmartwienie moje było rzeczywistem.

Proboszcz, który dotąd nie mógł się zdecydować, by wziąć na seryo moje słowa i boleść, teraz był strasznie pomieszany. Przysunął swoje krzesło do mojego, ujął mnie za rękę i usiłował mi przekładać.

— Kuzynka twoja waha się, małżeństwo może nie dojdzie do skutku.

— Mniejsza o to, skoro on ją i tak kocha! Dwa razy kochać nie można.

— A jednak bywa to na świecie, moja dziecino.

— Nie mogę temu wierzyć, to byłoby ohydne! Jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwa, mój biedny księżuniu.

— Czy powiedziałaś o tem wujowi?

— Nie, ale on odgadł, co myślę. Ale i pocóżby mówić zresztą? Nie może przecież przymusić Pawła, żeby mnie pokochał, a zapomniał jego córki. Nie chciałabym, żeby się on dowiedział o mojej miłości, wołałabym umrzeć!

Długa cisza nastąpiła po tym objawie mej dumy. Patrzyliśmy w ogień, jak dwaj czarownicy, co pragną w płomieniu i żarzących węglach wyczytać tajemnice przyszłości.

Ale i płomień i żar węgla pozostały nieme, a ja płakałam zcicha, kiedy proboszcz podjął znów z półuśmiechem:

— A przecież on nie podobny ani do Franciszka I-go, ani do Buckinghama!

— Ach, księżę proboszczu — odpowiedziałam żywo — gdyby Franciszek I szy i Buckingham żyli, jestem pewna, że nie kazaliby się prosić długo, żeby mnie pokochać, i byłabym zadowolona!

— Hm! — proboszcz uznał, że odpowiedź możnaby tłumaczyć niekoniecznie korzystnie. Porzucił więc coprędzej przedmiot, jeżący się zasadzkami, i zaczął przedstawiać mi, że należy się poddać.

— Pomyśl-no, Reginko, jesteś tak młoda jeszcze! To zmartwienie przejdzie, a przed sobą masz długie życie.

— W moim charakterze nie leży rezygnacya, księżę proboszczu. Jeśli żyć będę, nie pójdę nigdy za męż; ale ja żyć nie będę, skłonna jestem do suchot, słuchaj księżę!

I próbowałam zakaszlać głucho.

— Nie żartujmy z takich rzeczy, Regino. Chwała Bogu, jesteś zdrowa.

— Widzę — rzekłam, podnosząc się — że mi ksiądz nie chce wierzyć. Skorzystajmy z ładnej pogody i z ostatnich chwil, jakie mi jeszcze do przeżycia pozostały, i pójdźmy do Buisson.

Wybraliśmy się w drogę do moich dawnych miejsc zamieszkania, przy blasku przyjemnym słońca listopadowego, nieskończenie mniej słodkiego, mniej ogrzewającego, niż uczucia mego proboszcza i widok milej jego twarzy, która zaróżowiła się napowrót od chwili mego przyjazdu. Z zadowoleniem przyglądałam się, jak wiatr igrał z białymi jego włosami, odnajdywałam tę samą postać zaokrągloną i ucieszoną, którą po tyle razy wypatrywałam z okna w kurytarzu, kiedy deszcz siekł szyby, a wiatr wył i świszczwał przez zrujnowane drzwi starego domostwa.

Odwiedziwszy Piotrusię i Zuzannę, obiegłam dom cały od góry do dołu. Wistocie, czasu nie powinno się mierzyć ilością dni upłynionych, ale żywością i liczbą wrażeń. Zaledwie kilka tygodni temu opuściłam tę starożytną ruderę, a gdyby mi kto powiedział, że od tego czasu lat kilka przeszło nad moją głową, uwierzyłabym mu bez wahania.

Pociągnęłam z sobą księdza do ogrodu. Biedny los dziewicy! Przypomniał mi on dni smutne, a przecież przyjemnie mi było przebiegać go we wszystkich kierunkach.

A wreszcie wspomnienie kilku godzin uroczych wciąż mi chodziło po głowie, wspomnienie zawsze jeszcze piękne dla mnie, mimo goryczy rozczarowań, które nastąpiły po chwilce szczęścia.

— Przypominasz sobie, księżo proboszczu? — spytałam, ukazując drzewo wiśniowe, na którym wówczas siedział Paweł.

— Myślmy o czem innym, Reginko.

— Alboż to podobna, drogi proboszczu? Gdybyś mógł wiedzieć, jak ja go kocham! W nim nie ma żadnych błędów, upewniam cię! I skoro już raz wpadłam na ten temat, żadna potęga ludzka, ani nadprzyrodzona, nie mogłaby mnie powstrzymać, tem więcej, że przy Pawle zmuszona byłam ukrywać moje myśli.

Mówiłam tak długo, że nieszczęsnemu proboszczowi chyba mieszało się już wszystko w głowie.

Spędziliśmy wieczór na pogawędce i na sporach. Proboszcz wziął na pomoc cały swój talent oratorski, aby mi dowieść, że rezygnacya jest cnotą pełną mądrości i łatwą do nabycia.

— Mój księżuniu — odpowiadałam mu z miną poważną — nie wiesz, co to jest miłość.

— Wierzaj mi, Reginko, przy dobrej woli zapomnisz i zniesiesz spokojnie tę próbę, przez los zesłaną. Takaś młoda jeszcze.

Takaś młoda!... była to zwrotka, powtarzana

wciąż przez niego. Alboż tak samo nie cierpi się, mając lat szesnaście, jak w każdym innym wieku? Ci starcy są dziwni!

Z mojej strony powtarzałam wciąż, potrząsając głową:

— Ty tego nie rozumiesz, księżuniu, nie rozumiesz!

Nazajutrz, kiedy przechadzał się po swoim ogrodzie, powiedziałam mu:

— Księżę proboszczu, rozmyślałam dzisiejszej nocy nad pewnym pomysłem.

— Zobaczmyż, co to za pomysł, moja mała.

— Chciałabym, żebyś się ksiądz dostał na probostwo w Pavol.

— Nie można, Reginko, zabierać miejsca innym.

Obecny proboszcz w Pavol jest stary jak Herod, starzeje się okropnie; a ja śledzę uważnie oznaki jego osłabienia. Czy nie byłbyś, księżuniu, zadowolony, gdyby cię wyznaczono na jego następcę?

— Oczywiście, że tak; a jednak żałby mi było porzucić moją parafię. Toż to trzydzieści pięć lat tu już jestem i kocham ją teraz.

— Teraz! więc pierwiej nie była ci miłą, księżę proboszczu?

— Ależ nie, Regino; wiesz, jak tu smutno. Może nie pomyślałaś o tem nigdy, że i ja byłem młody kiedyś. Moje marzenia nie były takie, jak twoje, moja dziecino, ale byłbym wolał jednak prowadzić życie czynne; byłbym rad zobaczyć, posłyszeć wiele rzeczy, bo nie byłem pozbawiony inteligencyi i ląknąłem zawsze tych rozkoszy intelektualnych, których mi brakło zawsze. Potem, zanim ty weszłaś w moje istnienie, nie miałem niczyjego przywiązania, niczyjej przyjaźni dookoła siebie. Ale człowiek może przełamać przykrości życia, Regino, skoro tylko chce naprawdę. Byłem już całkowicie szczęśliwy od dość długiego czasu, aż do twego wyjazdu z Buis-

son; zapomniałem długich, smutnych, a tak złych dni mego dzieciństwa.

Zacny ksiądz patrzył w zamyśleniu przed siebie, a ja, co nigdy nie pomyślałam, widząc, że zawsze jest wesoły, zadowolony, że mógł cierpieć również w swoim czasie, poczułam się szczerze rozrzewnioną wobec tej rezygnacyi tak prawdziwej, tak łagodnej, pozbawionej zupełnie złości.

— Księżę proboszczu, tyś święty—rzekłam, ujmując jego rękę.

— Sza! Nie mówmy głupstw, drogie dziecko. Cierpiałem niemało w tem tak ciasnem istnieniu, ale trudno, taki jest już los wszystkich moich współkolegów, których umysł jest żywym i rwie się do czynu. Mówiłem ci zaś tu o tem wszystkim dlatego tylko, abyś zrozumiała, że wszystko przemieść można, że można odnaleźć szczęście, radość, gdy gorzkie próby życia już przeminają i kiedy się je zniosło odważnie.

Rozumiałam to dobrze, ale nauki proboszcza były głosem wołającego na puszczy. Zbyt młodą byłam, aby nie być bezwzględna w mych poglądach, i powiadałam sobie, że w liczbie zmartwień, nie ma nic, coby się dało porównać z nieszczęśliwą miłością.

— Gdyby probostwo w Pavol miało z czasem być wolne, rad byłbym módz tam znaleźć miejsce; tylko, że rzecz ta nie zależy odemnie.

— Tak, wiem o tem, wuj mój wszakże zna się dobrze z biskupem i z pewnością całą tę sprawę przeprowadzi. |

Proboszcz odwiózł mnie do C. Kiedy zobaczył mnie siedzącą w eleganckim powozie wuja, zawołał:

— Jakże rad jestem, że cię widzę, Regino, w odpowiednim dla ciebie otoczeniu! Ten powóz stanowi właściwsze dla ciebie ramy, niż kabriolet Jana.

— Niezadługo zobaczysz mnie, księżuniu, we wspaniałym pałacu—odrzekłam.—Odprawiać będę nowenny, ażeby proboszcz z Pavol przeniósł się do nieba. Myśl to przecież pełna miłości bliźniego, ponieważ staruszek bardzo już jest cierpiący. Będziesz miał, księżuniu, ładny kościół i ambonę, prawdziwą, wielką ambonę, proboszczu.

Konie ruszyły, a ja wychyliłam się jeszcze, żeby mózdz dłużej patrzeć na mego proboszcza, który zasyłał mi zdała wciąż jeszcze serdeczne pozdrowienia, nie myśląc o włożeniu na głowę kapelusza; radosna nadzieja bowiem wstąpiła mu do serca.

---

## XVII.

Te odwiedziny proboszcza chwilową tylko przyniosły mi ulgę.

Zbawienny wpływ słów jego zatarł się niezadługo, popadłam znów w dawne czarne myśli i wuj mój, złorzecząc w głębi duszy wszystkim kobietom, siostrzenicom, ich przewrotnym głowom i kaprysom, zaczął mówić o zawiezieniu Blanki i mnie do Paryża, aby nas rozerwać cokolwiek, kiedy na szczęście, wydarzenia przybrały w krótkim czasie niespodziewany obrót.

W kilka dni po moim powrocie pan de Pavol odebrał list od jednego ze swych przyjaciół, który prosił go o pozwolenie przywiezienia z sobą swojego krewnego, niejakiego pana de Kerverloch, byłego attaché ambasady.

Mój wuj odpowiedział uprzejmie, że z prawdziwą przyjemnością powita u siebie pana de Kerverloch i zaprosił obu tych panów na śniadanie, ani się domyślając, że przyspiesza wypadek, który, niwecząc jego własne marzenia, mnie powracał nadzieję.

Na trzeci dzień — mam słuszne przyczyny pa-

miętać wiecznie ten dzień tak ważny — na trzeci dzień przebrzydła była pogoda.

Wedle zwyczaju zgromadzeni byliśmy w salonie. Blanka siedziała zamyślona przy kominku, odpowiadając monosylabami panu de Conprat. Uparty ten wielbiciel, nie mogąc zbyt długo znieść wygnania, na które go skazano, pojawił się już w Pavoł od dwu dni. Wuj czytał jakąś gazetę, a ja schroniłam się we framugę okna.

Pracowałam z nerwowym zapalem, bo namiętnie oddawałam się wszelkim robotom ręcznym, to znów przypatrywałam się chmurnemu niebu i deszczowi, co padał bez przerwy; słuchałam wycia wichru, tego listopadowego wichru, co płacze tak przeźliwie, i doznawałam nieopisanego zmęczenia, smutku, który wykluczał najłabsze nawet przecucie szczęścia, choć w tej chwili właśnie szczęście to biegło ku mnie przyśpieszonym klusem pary pięknych rumaków.

Od czasu do czasu ukradkiem spoglądałam w stronę Pawła. Wpatrywał się w Blankę z takim wyrazem twarzy, że brała mnie ochota udusić go.

Jakże on głupio wygląda — mówiłam sobie — z temi szeroko otwartymi oczyma, wpatrzonemi nieruchomie, bezmyślnemi niemal! Tak, ale gdybym ja była na miejscu Blanki, gdyby na mnie patrzył w ten sposób, uważałabym, że jest prześliczny, ponętniejszy jeszcze, niż kiedykolwiek. O! głupoto, o niekonsekwencyo ludzka!

I wpięłam igłę z taką wściekłością w materyał, że się złamała na dwoje.

W tej chwili posłyszeliśmy turkot powozu, podjeżdżającego do bramy pałacu. Wuj złożył gazetę, Junona zaczęła nasłuchiwać, mówiąc: „Mamy jakąś wizytę!“ i w kilka sekund później wprowadzono do salonu przyjaciela wuja owego oznajmionego attaché ambasady.

Nie wiem dlaczego w mojej głowie tytuł ten

był nieodłącznym zawsze od starości i łysiny. Pan de Kerveloch wszakże nietylko nie był starym, ani łysym, ale, nie licząc Franciszka I-go na portrecie, nie widziałam nigdy mężczyzny równie pięknego.

Kiedy wszedł, przyszło mi na myśl, że w pięknej jego głowie mieszczą się niezawodnie matrymonialne projekty. Miał lat około trzydziestu, postawę miał tak smukłą i wyniosłą, że Paweł wobec niego wydawał się pigmejem; wyraz twarzy miał rozumny, nieco dumny może i wyniosły, i taki zresztą, że nikt za pierwszym, ani za drugim nawet spojrzeniem, nie mógł posądzić go o świętość. Dość chłodny, ale pełen wytwornej grzeczności, posuniętej aż do drobiazgowości niemal, odznaczał się on temi wielkopańskimi manierami, połączonemi ze swobodą, które od pierwszej chwili zaraz podbiły Blankę.

Pan de Kerveloch przypatrywał się jej z zachwytem, a kiedy powstawszy, by odjechać, stanął przed nią, stwierdziłam z radością tajemną, że trudnoby szukać równie dobranej pary.

Każdy z obecnych, zdaje mi się, zrobił w duchu też samą uwagę, bo Pawłowi, gdy odjeżdżał, twarz mocno spochmurniała. Junona grała dziesięć razy z rzędu „Ostatnią myśl Webera,“ czy coś równie nudnego, co było u niej objawem wielkiego zamyślenia, wuj zaś śledził nas obie, ją i mnie, z miną stroskaną i cokolwiek filuterną.

Pan de Kerveloch przyjechał nazajutrz na śniadanie do Pavol; w trzy dni zaś później poprosił o rękę Blanki, a kiedy dwa tygodnie minęło od tego faktu, pisałam do proboszcza:

„Drogi mój proboszczu! Człowiek jest strasznie zmiennem zwierzątkiem i kapryśnem; chorągiewką, co się obraca wedle wiatru wszystkich kapryśków wyobraźni i okoliczności. Kiedy mówię: człowiek, myślę o ludzkosci całej wogóle, bo osoba moja jest



dziś tego rodzaju zwierzątkiem, o jakim wspomniałam.

„Nie rozpaczam już teraz, nie mam ochoty umierać, mój księżuniu! Uważam, że słońce odzyskało cały swój blask poprzedni, że przyszłość mogłaby dla mnie jeszcze mieć radość niejedną, że ziemia dobrze robi, iż istnieje, i że śmierć jest najgłupszym wynalazkiem Stwórcy.

„Blanka wychodzi za mąż, księżę proboszczu! Blanka wychodzi za mąż za hrabiego de Kerveloch! „Boże, jacyż oni do siebie dobrani!...“ A dość było zdziebelka, atomu, niczego niemal, aby już oddała rękę panu de Conprat, człowiekowi, którego nie kochała zgoła i któremu zarzuca, że je za dużo! Je za dużo!... co to za wzgląd nedorzeczny? Bo czy to nie racjonalne jeść dużo, skoro się ma dobry apetyt? Jeśli mnie pytać będziesz, księżę, jakim sposobem wypadki w Pavol taki wzięły nagle obrót, nie będę mogła, doprawdy, na to odpowiedzieć. Zbyt jestem wzburzona i wszystko, co ci powiedzieć mogę, to to, że pewnego pięknego dnia, dnia rozkosznego—niebo lało wtedy, jak z cebra, ale mniejsza o to! — pewnego dnia, mówię, przybył tu pan de Kerveloch, wprowadzony przez jednego z przyjaciół wuja. Widzę go, kiedy wchodził do salonu; odgadłam odrazu, że ma jakąś myśl ukrytą i zgadłam także, że się podobna Blance, posiada bowiem wszystkie zalety, o jakich marzyła dla swego męża. Pan de Kerveloch patrzył się na nią jak człowiek, co umie cenić piękność, a w kilka dni później prosił o zaszczyt poślubienia jej, jak mówią, wuj mój i etykieta.

„Junona porzuciła zwykłą swą obojętność i na ten raz oświadczyła z zapałem, że nigdy jeszcze żaden z pięknych panów nie podobał się jej tak bardzo i że stanowczo daje odprawę panu de Conprat.

„Tak to odbyło się wszystko, drogi mój proboszczu! Wszakże to jasne, proste, czyste i od tego czasu ja marzę znów o gwiazdach po dawnemu, pu-

szczam cugle wyobraźni, pozwalam jej kłusować dopóty, dopóki tylko biedz będzie mogła, a kiedy jestem sama w swoim pokoju, tańczę bezustannie. Ach! drogi mój proboszczu, nie wiem, dlaczego dziś kocham cię dziesięć razy więcej, niż zwykle. Widzę przed sobą zacną twarz twoją, wydaje mi się ona rozjaśnioną bardziej niż kiedykolwiek uśmiechem, twoje przywiązanie dziś więcej mnie wzrusza, twoje piękne białe włosy zachwycają mnie więcej.

„Dziś rano patrzyłam na lasy bezlistne, wydały mi się one świeżemi i pełnemi zieleni, szare niebo było dla mnie błękitnem i nagle pogodziłam się z wyobraźnią. Żałować będę przez całe życie, że tak okropnie obeszlłam się z nią tak niedawno jeszcze. Wszakże to wieszczka, drogi mój, proboszczu, wieszczka zbrojna w uroki, potęgę, poezyę, która jednym dotknięciem czarnoksiężkiej swej różdżki najnędzniejsze rzeczy przystraja we własną swą piękność.

„Jakiemże zmiennem jest to ludzkie zwierzę! Nie mogę się uspokoić. Od czego zależne są nadzieje, radość? Na co przyda się trapić, kiedy sprawy układają się tak dobrze same przez się, bez naszej pomocy? Ale dlaczego tak jestem wesoła, kiedy nic jeszcze nie zostało rozstrzygniętem, kiedy nic pewnego nie postanowiono o mojej przyszłości? Jakiż tam chaos dotąd, mój księżuniu! Świat jest pełen tajemnic, a dusza jest otchłanią niezgłębioną. Zdaje mi się, że ktoś, nie wiem gdzie, wyraził już tę myśl, może nawet czytałam ją nie dalej jak wczoraj, ale i mnie samej przyszłoby do głowy powiedzieć toż samo.

„Jednakże, kiedy wzruszenie mnie omija, radośne myśli moje mrozi strach jakiś niepokonany; spłoszone rozbiegają się one, ulatują, nikną tak, że czasami nie mogę ich już napowrót połapać. Boć narazcie on ją kocha, księżę proboszczu, kocha! Szkaradne słowo, kiedy musi być tak użyte, jak ja go używam w tej chwili.

„Mówiłeś mi, księżuniu, że nierzadko zdarza się kochać dwa razy w życiu; ale czy tylko jesteś tego pewien? Czyś szczerze o tem przekonany? Powiadają, że miłość wywołuje miłość; gdyby znała mu była moja tajemnica, możeby mnie pokochał? Ty, księżę proboszczu, co jesteś tak rozsądnym człowiekiem, czy nie uważasz, że konwenanse są rzeczą wprost niedorzeczną? Dość byłoby może wyznania z mej strony, by zapewnić sobie szczęście całego życia, i oto prawa, wymyślane przez jakieś umysły, co nie mają nawet może jasnego sądu o rzeczach, nie dopuszczają, bym poszła za swoją skłonnością, bym odsłoniła to, co jest w moich myślach i wyznała miłość swoją temu, którego kocham! Prawdę mówiąc, coś, czego nie umiałabym nazwać, kryjące się w głębi mego serca, znagliłoby mnie również do zamilczenia i... alboż ci nie powiedziałam, księżu, że dusza jest otchłanią niezgłębioną? Drogi mój proboszczu, widzę, jak idzie do mnie procesya czarnych myśli. Mój Boże, jak też człowiekowi brak równowagi!

„Bezwątpienia okoliczności wpływają na zmianę poglądów. Mój wuj zachodzi tak daleko w tem twierdzeniu, że utrzymuje, iż głupcy tylko nie zmieniają nigdy zdania; ale czy z sercem dzieje się toż samo, co z głową?

„Wyjaśnij mi to, stary mój, zacny proboszczu!”

Skoro już rzecz jakaś była postanowioną, pan de Pavol nie lubił zwlekać z jej wykonaniem. Wychodząc z tej zasady oznajmił, że ślub Blanki odbędzie się 15-go stycznia...

Zawód to był dlań przykry; ale o tyle mniej myślał sprzeciwiać się woli córki, że wiedząc o mojej miłości zbyt był prawym, rozumnym i niezdolnym do obstawania przy własnem marzeniu, kiedy w grze było szczęście jego siostrzenicy.

Paweł zniósł owo nieszczęście z wielką odwagą. Tak samo, jak owa mała istota, co go kochała

tak bardzo, choć się tego nie domyślał, nie doznawał on zgoła porywów dzikiej zazdrości. Zaświadczam, że nigdy nie przeszło mu przez myśl otruć swego rywala, lub nadzieć go na szpadę w jakimś ustroniu leśnem, samotnem a poetycznem.

Kiedy dowiedział się, że nadzieje jego wniwecz się obróciły, przyjechał do nas razem z komendantem. Podał rękę Blance, mówiąc szczerze i z prostotą:

— Moja kuzynko, pragnę twego szczęścia przede wszystkim i spodziewam się, że pozostaniemy nadą życzliwymi dla siebie przyjaciółmi.

Ale to zachowanie, przypominające nieco bohaterów komedyi, nie przeszkadzało bynajmniej szczeremu zmartwieniu. Odwiedziny jego w Pavol stały się bardzo rzadkie; ilekroć zobaczyłam go, uważałam zawsze, że się zmienił pod względem duchowym i fizycznym zarówno.

W takich razach płakałam znów pokryjomu, wściekając się na niego równocześnie. Przecież tak logicznem byłoby teraz mnie pokochać, tak racjonalnem spostrzedz nakoniec, że natury nasze niesłychane z sobą mają podobieństwo i że ja kocham go do szaleństwa!

Doprawdy, gdyby ludzie byli zawsze logiczni, na świecie przez to nie byłoby wcale gorzej, a i moralność ludzka nicby na tem nie ucierpiała.

---

## XVIII.

Dnia 15 stycznia pogoda była wspaniała, a zimno dojmujące. Krajobraz wiejski, z białym szronem dziwnie uroczy przedstawiał widok. Junona, niezmiernie blada, w ślubnym stroju była tak piękną, że nie mogłam od niej oderwać oczu. Porównywałam ją do tej przyrody zimnej a wspaniałej, co przy-

strojona w rażącą biel, rzekłbyś, dostroiła się w jeden akord do jej piękności.

Po śniadaniu udała się do swego pokoju, by zmienić toaletę. Powróciła bardzo wzruszona; ucałowaliśmy się wszyscy wielce patetycznie, a potem w drogę do Włoch!

— Jakaż to piękna chwila, jaka piękna chwila! — mówiłam sobie w duszy.

Różnorodne wzruszenia zmęczyły mnie bardzo i zapragnęłam samotności. Pozostawiwszy zatem mego wuja na pastwę jego gości, zarzuciłam na siebie płaszcz podbity futrem i puściłam się ku pewnej części parku, szczególnie ulubionej.

Park ten przerzynała wązka i bystra rzeczka; w jednym miejscu rozszerzała się ona i tworzyła kaskadę, którą umiejętnie poukładane kamienie uczyniły wyższą znacznie i malowniczą. O kilka kroków od tej kaskady zważyło się wielkie drzewo, szczytem dosięgające jednego brzegu, a pniem oparte o drugi. Tak pozostało snąć zapomniane, a kiedy następnej wiosny wuj mój chciał je kazać usunąć, spostrzegł, że drzewo nie było uschnięte, w całej długości pnia bowiem okryło się silnymi gałązkami. Kazał więc rzucić drugie drzewo obok pierwszego, połączyć z sobą ich gałęzie, zasadzić bluszcze, które oplotły obie kłody, tak że z czasem gałązki i pnącze utworzyły dość ścisły mostek naturalny, niezmiernie oryginalny, który przejść było można, narażając się na jedyne niebezpieczeństwo zaplątania się w gałęzie i skapania w wodzie.

Tę to ustronń, samotną i dość oddaloną od pałacu, wybrałam sobie na miejsce rozmyślań. I teraz również zatrzymałam się przy mostku, osnutym szronem, chcąc zastanowić się nad przyszłością i podziwiać olbrzymie sople lodu, zwieszające się u kamieni kaskady.

Nie wiem, od jak już dawna stałam zapatrzona, nie troszcząc się o zimno, co mi twarz szczypało,

kiedy zobaczyłam idący ku mnie przedmiot mej czułości, jakby powiedziała pani Cottin.

Przedmiot ten zdawał się bardzo melancholijnie usposobionym i w okropnym widocznie hu morze. Laską, którą w chwili roztargnienia zabrał memu wujowi, wymierzał energiczne ciosy drzewom, znajdującym się przy jego drodze, a biały pyłek, znajdujący się na nich, rozpryskiwał się i osypywał całą jego postać.

Odwrociłam się nawpół plecami od niego, znana to powszechnie rzecz przecież, że kobiety i z tyłu oczy mają, i nie straciłam ani jednego z jego ruchów.

Doszedłszy do mnie, skrzyżował ręce, popatrzył na zamarłą kaskadę, na most, na drzewa i nie otworzył ust nawet. Zajęta małą gałązką jodły, urwaną przed chwilą, powstrzymywałam oddech, przypatrując mu się z boku, czego on nie spostrzegł zupełnie.

— Kuzynko...

— Co kuzynie?

Czekałam przez kilka sekund na koniec rozpoczętego zdania. Ale widząc, że urwał, raczyłam zrobić pół obrotu w stronę mówiącego, aby mu dodać odwagi.

Zmarszczył brwi i zawołał, wybuchając:

— Mam ochotę strzelić sobie w łeb!

— Bardzo dobrze—powiedziałam sucho—pójdę za pańskim pogrzebem.

Ta odpowiedź wprowadziła go w takie zdumienie, że opuścił ręce i wpatrzył się we mnie nieruchomie.

— Nie przeszkodziłabyś mi w samobójstwie, kuzynko?

— Z pewnością nie — odpowiedziałam spokojnie.—Dlaczegoż miałabym się mieszać do tego, co do mnie nie należy? Cenię swobodę nadewszystko, a skoro pan masz zamiar opuszczenia tego padolu

łez... ha! mój Boże, ja nie podniosłabym palca, żeby panu w tem przeszkodzić. Niechaj każdy w tem życiu postępuje, jak mu się podoba!

I to rzekłszy, zaczęłam znów przypatrywać się mojej jodłowej gałązce, kiedy tymczasem mój „przedmiot,” stropiony liberalnością moich poglądów w przedmiocie grobowego jego zamiaru, miał dość rozczarowaną minę.

— Wyobrażałem sobie, że pani ma dla mnie cokołwiek życzliwości, moja kuzynko. Kiedyś mnie po raz pierwszy zobaczyła, nie wydałem ci się tak śmiesznym!

— Niestety! mój kuzynie, jakież znaczenie mieć może ocena wieśniaczki, skazanej na towarzystwo proboszcza, zgryźliwej starej ciotki i kucharki gderliwej?

— To ma znaczyć, że darzyłaś mnie swemi względami dlatego tylko, że nie byłem proboszczem i że twarz moja nie była tak całkowicie zwiędła, jak twarz pani de Lavallo?

— Tak jest, piękny kuzynie!

Popatrzył na mnie z wściekłością, kręcąc przekornie wąż i zdejmując z humorem kapelusz, rzucał go na most! O! jak ja rozumiałam dobrze każde drgnienie jego duszy! Był szczęśliwy, że ma pozór do zrzędzenia i mścił się na mnie za własne zawody tak, jak ja wywierałam gniew swój i gorycz na owych figurkach z terracoty i nieszczęsnym baronie Le Maltour.

— Ciotka pani była ohydna! — rzekł mi porwczco.

— Moje piękne oczy stanowiły kompensatę jej brzydoty—odpowiedziałam tymże samym tonem.

— A ten piękny stół, ta zastawa ładna! Wszystko leżało tam krzywo!

— Tak, ale co za indyk! Jakim sposobem nie umarłeś pan wówczas z niestrawności? Ja wierzyłam w to mocno aż do chwili, gdy pana tu pono-

wnie spotkałam, mój Boże... w jak najlepszym zdrowiu.

— Wiem, że niepodobna pani przegadać. Nie jestem jednak tak znów nieznośnym krewnym. Cóżem pani zrobić?

— Ależ nic, najzupełniej. Daję tego najlepszy dowód, przyrzekając, że odprowadzę pańskie zwłoki na miejsce wiecznego spoczynku.

— Moje zwłoki! — zawołał z przykrym dreszczem.—Przecież ja nie umarłem jeszcze. Dowiedz się pani, że się nie zabiję i że wyjeżdżam do Rosyi.

— Szczęśliwej drogi, kuzynku!

Oddalił się, a sądząc, że już odszedł na długo może, skrzyżowałam ręce w zniechęceniu i grube łyzy stoczyły mi się po twarzy, kiedy nagle zobaczyłam, że zawraca znów spiesźnie.

— Słuchaj, Regino, dajmy pokój gniewom oboje. Bo i na co mielibyśmy się gniew... A to co! płacz?

— Myślałam o Junonie — rzekłam i udało mi się przybrać przy wymawianiu słów tych ton naturalny.

— To prawda, kuzyneczko, będziesz tu teraz sama zupełnie. Podaj mi rękę, dobrze?

— Dobrze, Pawle.

Niestety! nie pocałował jej, nie uściśnął nawet, bo na myśl przyszła mu inna ręka, daleko piękniejsza, o której posiadaniu marzył tak długo.

I odszedł, aby już nie powrócić.

Mimo zimna, o którym nie myślałam, usiadłam na ziemi przy moście i płakałam, pochylona nad rzeką, na której lód łyzy moje padały.

— Mówił o zastrzeleniu się — dumalam—musiał ją więc bardzo kochać! Wiem dobrze, że tego nie zrobi, ale prawdopodobnie tak samo zakochany jest w niej, jak ja w nim—a ja czuję dobrze, że nigdy nie mogłabym go zapomnieć. Jakie to głupie, jakie niedorzeczne, zakochać się w kobiecie, która tak



w niczem nie była dla niego odpowiednią, kiedy tymczasem tuż obok stoję ja, inna zupełnie...

— Co ty robisz, Regino?—odezwał się wuj, który zbliżył się do mnie, choć ja nie słyszałam zupełnie jego kroków.

Powstałam żywo, zawstydzona, że nie mogę ukryć swego wzruszenia.

— Co to płaczemy!

— Jacy ci mężczyźni są głupi, wujaszku!

— Głęboka prawda, moja kochana! Czy to z tego powodu łzy lejesz?

— Paweł chce sobie w łeb strzelić -- mówiłam z płaczem,

— Czy sądzisz, że jest zdolny do takich ostateczności?

— Nie—odpowiedziałam, uśmiechając się mimowolnie z po za łez.—Wszelka gwałtowność jest bezwątpienia niezgodna z jego naturą, ale ta myśl jego sama już dowodzi, że...

— Tak, wiem już, moje dziecko. Ta myśl jego dowodzi, że kocha moją córkę; ale wierzaj mi, zapomni bardzo prędko, a skoro tu powróci, zrobimy tak, żeby serce jego nie zabłąkało się już na manowce.

— Sądzisz więc, wuju, że mężczyzna może kochać dwa razy w życiu, nie będąc nawet nadzwyczajnym jakimś wyjątkiem?

Pan de Pavol pogłaskał mnie po twarzy, patrząc na mnie z politowaniem, które odnosiło się zarówno do mego niedoświadczenia, jak i do boleści.

— Biedna siostrzeniczko! mężczyźni, którzy kochają raz jeden tylko, są równą rzadkością, jak kruk biały.

— W takim razie, wuju, mężczyzna jest szkaradnym zwierzęciem! — wyrzekłam z głębokim przekonaniem.

Ale byłam niemniej zachwyconą, jak oburzona.

i nie pragnęłam nic więcej, jak skorzystać z tej szkaradności, tak nierozłącznej z ludzką naturą:

— Ale Junona jest taka piękna!

— Popatrz-no, Reginko, na ten mostek, który tak lubisz. Zanim gałęzie i rośliny, co go oplatają, pokryją się nową zielenią, Paweł zapomni, zanim zaś liście zdążą żółknąć i opaść ponownie, powróci do Pavol i...

Uśmiechnął się w sposób wyrazisty, potem odszedł, nie kończąc rozpoczętego zdania, a ja, przejęta do głębi, przypatrywałam mu się jak odchodził, myśląc, że wujowie, co przepowiadają przyszłość z taką pewnością, są doprawdy szczególniejszemi istotami.

— To bardzo dobrze — mówiłam sobie, wracając powolnemi krokami ku domowi — ale jeśli serce jego się zmieni, może on zakochać się w innej kobiecie w ciągu tych swoich podróży. Powiadają, że w Rosyi są bardzo piękne kobiety... Trzebaby go wysłać do Eskimosów!

Zaczęłam biedz z całej siły i doszłam do pałacu w chwili, kiedy komendant wsiadał do powozu.

Pochwyciłam go za ramię i pociągnęłam na bok.

— Panie komendancie, Paweł wyjeżdża do Rosyi?

— Tak, podróż jego jest postanowioną.

Pomyślałam: gdybyś zechciał, żeby... Wreszcie byłoby lepiej...

Stanowczo daleko trudniej było to wypowiedzieć niż sądziłam. Duma była mi przeszkodą i nie dozwalała wypowiedzieć myśli.

— Cóż więc, kochane dziecko, mów prędko, bo ziębnę!

— Kości rzucone! — zawołałam głośno, tupnąwszy nogą. Duma moja i ja jednym skokiem przebyłyśmy Rubikon i rzekłam, spuszcżając oczy:

— Kochany komendancie, błagam cię, doradz Pawłowi, żeby pojechał do Eskimosów?

— Dlaczego do Eskimosów.

— Bo kobiety tego kraju są okropnie brzydkie — wyszeptalam — a Rosyanki są bardzo ładne podobno.

Pocziwy komendant podniósł moją twarz zarumienioną mocno z zawstydzienia i odpowiedział po prostu:

— Dobrze, poradzę mu, żeby pojechał do Eskimosów.

— Jak ja pana kocham! — zawołałam ze łzami w oczach, ściskając mu dłonie. — Ale powiedz mu pan, żeby nie bawił zbyt długo w szalasach tych ludzi, bo to szkodliwe; powiadają, że tam panuje woń okropna.

Widząc nadchodzącego wuja, uciekłam, mówiąc:

— Komendancie, człowiek honoru dochowuje danego słowa, nie zapomnij pan o swoim!

Udałam się do mego pokoju z przeświadczeniem wielce nieprzyjemnem, że poszłam w zupełności za przykładem rządu i że podeptałam nogami wszystkie zasady godności.

Ale gdyby człowiek nie dopomagał sobie cokolwiek w życiu, jakże mógłby dać z nim sobie radę? Ta uwaga uciszyła nieco moje wyrzuty sumienia. Usiadłam przy biurku i napisałam:

„Wszystko skończone, księżu proboszczu. Pobrali się, wyjechali, szczęśliwi, zachwyceni sobą; i byłabym dała dziesięć lat życia mego za to, gdybym mogła być na miejscu Junony z tym, którego ksiądz zna dobrze. Kiedyż do tego dojdę?

„Czy wiesz, księżu, co mi wuj powiedział? Utrzymuje, że mężczyźni, co raz jeden w życiu tylko kochają, są takąż samą rzadkością, jak białe kruki. Proboszczu, kochany mój proboszczu, błagam cię, odpraw jutrzejszą mszę na tę intencję, aby pan de Conprat nie był takim białym krukiem.

„Do widzenia, księżu drogi, spodziewam się,

że niezadługo przybędziesz już na probostwo do Pavol.“

---

## XIX.

Jedynem zdarzeniem tego końca zimy była wistocie instalacja proboszcza na parafii w Pavol i nie chcę opisywać tu radości, jakiej doznaliśmy oboje, kiedy znów połączeni byliśmy z sobą bez obawy blizkiego rozstania.

Z prawdziwą rozkoszą zobaczyłam go wstępującego na ambonę i kazającego z rozpromienionem obliczem na temat ludzkich zdrożności. Następnie zwykle przychodził do pałacu, jak niegdyś do Buisson, podkasawszy sutannę, z kapeluszem pod pachą i włosami rozwianemi na wietrze.

Napowrót rozpoczęliśmy dawne pogadanki i dawne spory. Czas wydawał mi się niesłychanie długi, a listy Junony, niosące z sobą powiew szczęścia najzupelniejszego, bynajmniej nie przyczyniały się do pocieszenia mnie i skłonienia do cierpliwości. To też bezustannie chodziłam odwiedzać proboszcza, by mu się zwierzać z trosk swoich i niepokojów, nadziei i buntów przeciw temu oczekiwaniu, które zmuszona byłam znosić.

Dowiedziałam się, że pan de Conprät niestety, nie uznał mego pomysłu szukania spokoju wśród Eskimosów. Przechadzał się spokojnie po ulicach Petersburga, piękne słowianki zaś przejmowały mnie strachem okropnym.

— Czy pewnym jesteś, księżuniu, że on tam nie zakocha się w jakiej Rosyance?

— Miejmy nadzieję, Reginko.

— Miejmy nadzieję!... Odpowiadajże, księżu, w sposób bardziej kategoryczny. Jak myślisz? Bo wszakże niepodobna, żeby zakochał się w cudzo-

ziemce; powiedz mi, księżu, że to niepodobna i że z czasem pokocha on mnie.

— Pragnę tego gorąco, moja biedna dziecino; lepiej wszakże zrobiłabyś, przypuszczając coś wprost przeciwnego i starając się z tem pogodzić.

— Zabijesz mnie, księżu, tą swoją wieczystą rezygnacją.

— Ach! jakże brak ci rozsądku, Reginko!

— Rozsądek, według mego zapatrywania, polega na tem, żeby pragnąć dla siebie szczęścia. Mój księżuniu, powiedz mi, że on mnie kochać będzie, proszę bardzo!

— Ależ ja niczego więcej sobie nie życzę, kochane dziecko — odpowiadał proboszcz, który mimo obawy, jaką budził w nim ból fizyczny, gotów był iść za przykładem Mucyusza Scevoli i w ogień włożyć swą prawicę, gdyby szczęście moje zależało od takiej ofiary.

Niemniej jednak, mimo radości z odzyskania mego proboszcza, mimo dobroci wuja i tych wszystkich, co mnie otaczali, smutniałam coraz więcej.

Lubiłam przebiegać sama aleje parku; lubiłam po całych godzinach przesiadywać u kaskady, rozmyślając o naszej ostatniej rozmowie, rozważając, cobym zrobiła, gdyby tak niespodzianie zjawił się tu przedemną, wesoly, ujmujący, z tym wyrazem w oczach, który mi się tak podobał w Buisson, a którego odtąd nigdy już nie dostrzegłam.

To zaniłowanie w samotności rozwijało się u mnie z dniem każdym, a smutek wzrastał w tym samym stosunku. Nakoniec stopniowo utraciłam zupełnie całą dawną gadatliwość, a gdyby pan de Pavol oddawna już nie brał był na seryo mojej miłości, ten jeden fakt byłby go o niej przekonał i dowiódł, jak była głęboką.

Tak przeszło pół roku.

Pewnego dnia, w rocznicę mego przybycia do

Pavol, siedziałam w ogrodzie probostwa. Przed dwiema godzinami deszcz ulewny odświeżył powietrze i podlał kwiaty proboszcza. Ksiądz zabawiał się szukaniem ślimaków, ja zaś, z głową opartą o ścianę, przy której siedziałam na ławeczce, pozwoliłam na przystęp radosnym nadziejom. Krople wody, uginające swoim ciężarem liście i opadające od czasu do czasu na moją głowę, przerywały wyłącznie te rozmyślenia, a wyziew przesiąkłej deszczem ziemi przypominał mi najlepsze dla mnie chwile życia.

Od czasu do czasu proboszcz mówił:

— To dziwne, zkąd tu się bierze tyle ślimaków! Czy uwierzyłabyś, Regino, że znalazłam ich dotąd przeszło pięćset?

Podniosłam głowę obojętnie i przypatrywałam się z uśmiechem zacnemu proboszczowi, oddającemu się w dalszym ciągu swym poszukiwaniom. Potem znów zapadłam w zamyślenie i w końcu ogarnął mnie jakiś półsen.

Rozbudził mnie z niego zgrzyt kołowrotu, zamykającego płot ogrodowy, a dźwięk głosu, pełnego wesołości, wstrząsnął mną do samej głębi.

— Dzień dobry, kochany proboszczu, jakże się miewasz? Jakżem rad, że zastaję tu księdza! A gdzie Regina?

Regina wciąż jeszcze siedziała na tem samym miejscu, nie mogąc wymówić ani jednego słowa, nie mogąc nawet się poruszyć.

— Ach, toż tu jest przecie — zawołał Paweł, podchodząc do mnie szybkim krokiem. — Kochana kuzyneczko, jakżem szczęśliwy, mój Boże, jakżem szczęśliwy, że znów się widzimy!

Ujął moją rękę i pocałował...

Zapewniam, że wszystko, co zaszło następnie, było zupełnie już niezależnem od mojej woli i że nie należy wysnuwać ztąd przypuszczeń, niekorzystnych dla mnie.

Z całej siły, zapewniam, opierałem się pokusie;

ale kiedy poczulam usta jego na mojej ręce, kiedy zrozumiałam, że ten postępek nie był objawem banalnej tylko grzeczności, ale głębszego uczucia raczej, kiedy zobaczyłam, jak się pochylił ku mnie i popatrzył mi w twarz z wyrazem niepokoju i życzliwości serdecznej, z takim jakimś odrębnym wyrazem, stokroć więcej porywającym, niż ów, co tyle niegdyś obudził we mnie myśli, wówczas już energia moja na nic mi się nie przydała, a fatalizm, w który wierzę od tej chwili niewzruszenie, popchnął mnie w jego objęcia.

Zaledwie miałam czas odczuć uścisk, który był odpowiedzią na mój poryw niespodziewany. Uciekłam zarumieniona i pomieszana napowrót na ławeczkę, ukrywszy twarz w dłonie; przedtem wszakże dojrzałam jeszcze oblicze proboszcza, którego wyraz jednocześnie zdumiony, wylękły i rozradowany, później dopiero przyszedł na pamięć.

— Droga Regino — szepnął mi Paweł do ucha — gdybym był wcześniej wiedział o twojej tajemnicy, nie byłbym tak długo bawił zdala od ciebie.

Nie odpowiedziałam nic, bo płakałam.

Ujął przemocą jedną z rąk moich i przytrzymał ją w swych dłoniach, ja zaś, opanowana nagle nieśmiałością dziwną, jakiej nie doznawałam nigdy, odwróciwszy głowę, usiłowałam wysunąć ją z jego uścisku.

— Pozostaw mi tę rączkę tak maleńką, a tak ładną; ona już teraz do mnie należy. Spójrz że mi w oczy, Regino!

Popatrzyłam wprost w te piękne oczy otwarte, prawe, co się uśmiechały do mnie, i zawołałam:

— Bogu chwała! wuj miał słuszość, utrzymując, że pan nie jesteś białym krukiem.

— Białym krukiem?... — spytał zdziwiony.

— Tak wuj utrzymywał... ale mniejsza o to! Kto to powiedział ci, kuzynie, o tem, o czem nie wiedziałeś, gdyś odjeżdżał?

— Ojciec, pan de Pavol i wiele rzeczy, które sobie przypominać zacząłem od dwu miesięcy.

— A więc to prawda, że miłość wywołuje miłość?—rzekłam z prostotą.

— Nie ma nic nad to prawdziwszego, moja mała narzeczono!

O! miła nazwo! Tak, byliśmy narzeczeni i nastąpiła cisza w tej chwili; proboszcz tylko płakał z radości, wróble na dachu plebanii wrzeszczały w sposób prawdziwie ogłuszający, a ślimaki wymykały się z więzienia, w którym je proboszcz przezornie umieścił.

Z pewnością wróbel nie jest zbyt pojętnym ptakiem, piórka ma bez blasku, brzydkie, głosowi jego brak wszelkiej melodyjności, a niektórzy oskarżają go o skłonność do złodziejstwa i niemoralność, czemu jednak nie chcę wierzyć; nie słyszałam także nigdy, aby ślimaki uchodziły kiedykolwiek za wielce poetyczne stworzenia; a jednak to prawda, że od tej chwili, o której tu opowiedziałam, uwielbiam wróble i ślimaki.

Byłam oczarowaną, zdawało mi się, że śnię chyba. Nie mogłam się napatrzeć na niego, nasłuchać tego głosu, który mi był tak miłym, nacieszyć się dotknięciem tej dłoni, która ścisnęła moją. Jednakże mimowoli wspomnienie tej, którą on tak kochał bardzo, nachodziło mnie ciągle i mąciło trochę moją radość, ale nie śmiałam mu mówić o niej.

— Czy mój wuj wie, że tu jesteś, Pawle?

— Tak, przychodzę od niego, ale chciałem koniecznie sam przyjść do ciebie. Ten ogród, przemokły od deszczu, czy ci nic nie przypomina, Regino?

Nie odpowiedziałam wprost na jego pytanie, ale rzekłam tylko:

— Ale pan... pan zachowałeś tak złe wspomnienie o Buisson?



— Ja! no proszę! nigdy nie spędziłem tak przyjemnie wieczoru!

— Och! — odpowiedziałam, spoglądając z pod oka na niego — moja ciotka była tak okropna?

— Nie, nie, nie tak znów okropna. Cokolwiek gminna, być może, ale przy niej pani błyszczałaś za to tem więcej swoim wdziękiem.

— A nakrycie stołu było tak rażące! Wszystko leżało krzywo!

— Nigdy nie jadłem tak doskonałego obiadu. Ten dom opustoszały, zrujnowany, był tłem, od którego tem jaśniej odbijałaś pani, jak kwiatek, tem piękniejszy i delikatniejszy, im na brzydszym i nieuprawnniejszym wyrósł gruncie.

— Stałeś się pan, widzę, poetycznym w tych podróżach—rzekłam z uśmiechem.

— Nie, ani trochę, Reginko.

Wsunął sobie rękę moją pod ramię i przeszedł ze mną nieco na ubocze.

— Nie, Reginko, nie stałem się poetycznym bynajmniej, ale tylko zakochałem się w tobie, kuzyneczko. Słuchaj dobrze: kocham cię z całą szczerością uczuć.

Upajałam się słodyczą tego słowa, spojrzeniem, co mu dodawało jeszcze siły, w duszy mówiąc sobie, że to jednak bardzo szczęśliwie, iż mężczyźni tak są niestali w swych uczuciach.

Ale zmiana ta wydawała mi się niesłychaną i nie mogłam powstrzymać się od uwagi:

— Więc to pewne, że pan jej już nie kochasz wcale, wcale?

— Czyż, gdyby było inaczej, mówiłbym, co mówię?—odpowiedział poważnym tonem.—Czyliż nie ufasz mojej prawości?

— O! ufam!—rzekłam, kładąc splecione ręce na jego ramieniu w serdecznym wylewie uczuć.

Było to szczerem, bo po tej jego odpowiedzi nigdy już obraz Blanki nie stawał między mną a mo-

jem szczęściem. Kochałam go bez najmniejszej myśli zazdrosnej lub nieufnej, bo też i on zasługiwał w zupełności na tę ufność bezgraniczną.

— Patrzcie, mój ojciec i pan de Pavol tu idą.

— No i cóż, moja siostrzeniczko, co teraz sądzisz o mojej przepowiedni?

— Jesteś strasznie niedyskretny, wujaszku—odpowiedziałam zarumieniona.

— To komendant, Reginko, wydał cię z tajemnicy; wiedział on o niej oddawna.

— Och! nie, od pół roku dopiero.

— Od pierwszego dnia, gdym cię zobaczył, moja maleńka przyszła synowo.

— Czy podobna!

— I Paweł nie potrzebował, jak widzisz, jeździć do Eskimosów—dodał wuj mój z uśmiechem.

Jakież to szczęście żyć wśród zacnych ludzi! Odczuwałam żywo to szczęście, widząc, z jakim zadowoleniem cieszyli się wszyscy moją radością, z jaką dobrocią i delikatnością żartowali na temat tej sławnej tajemnicy, którą, ani się domyślając, wydawałam na łup wszystkim po kolei.

I rozpoczęła się dla mnie ta czarowna epoka narzeczeństwa, epoka najbardziej urocza, nie mogąca iść w porównaniu z żadną inną w życiu. Nic nie zastąpi tego czasu miłości naiwnej, wiary, złudzeń bezwzględnych i dzieciństw tak pięknych. Ach! jak ja żałuję tych, co nigdy tak nie kochali! Jak żałuję tych, których szaleństwa uniosły zdala od powszechnej kolei, od uczuć prawowitych! Zresztą nigdy, nigdy, naprzekór najwymowniejszym obrońcom przeciwnych teoryj, nie uwierzę, aby miłość prawdziwa istnieć mogła, nie mając za pierwszą podstawę szacunku.

Spędzaliśmy najprzyjemniejsze dla nas dni na plebanii, pod strażą proboszcza. Przypatrywaliśmy się mu, jak dreptał po ogrodzie, przywiązując rośliny do palików, wrywał chwasty, a od czasu do czasu

przerzywał pracę, ażeby zukosa spojrzeć na nas okiem badawczem i dowieść nam tym sposobem, że straż swoją traktuje poważnie.

Spoglądaliśmy na siebie z uśmiechem, bo znaleźliśmy aż nadto dobrze surową powagę naszego poblązliwego nadzorcy.

Nieraz, podszedłszy do zacnego staruszka, by wraz z nim unosić się nad jakimś kwiatem, drzewem lub owocem, mówiłam mu:

— Księżuniu, a czy pamiętasz jeszcze te czasy, kiedy to chciałeś wyperswadować mi, że miłość nie jest najpiękniejszą rzeczą w świecie?

— Ach! kochana moja dziecino, zdaje mi się, że sam Bossuet nie byłby mógł cię przekonać.

— No i cóż, alboż nie miałam racyi?

— Zaczynam wierzyć, że miałaś — odpowiadał mi z poczciwym swym, ujmującym uśmiechem.

Dzień mego ślubu zabłysnął dla mnie promieniem. Nigdy sklepienie niebios nie wydało mi się tak wspaniałem. Później już utrzymywano wobec mnie nieraz, że tego ranka niebo było bardzo chmurne, ale ja temu nic a nic nie wierzę.

Tłum życzliwie usposobionych tłoczył się w kościele. Szeptano dokoła:

— Jaka ładna panna młoda! Jaka rozpromieniona szczęściem i spokojną!

To pewno, że zdumiewająco byłam spokojna.

Ale bo i dlaczego miałabym się dręczyć lub niepokoić? Spełniało się najdroższe moje marzenie, przyszłość jasna, szczęśliwa otwierała się przedemną i najłżejszy nie przejmował mnie niepokój.

Dostrzegłam, jak przez mgłę, kilka matron arystokratycznych, uśmiechających się do mnie w przechodzie, i przejęła mnie dla nich litość niezmierna, gdy pomyślałam, że były już za stare na to, żeby iść zamaż.

Organ rozbrzmiewał tak radośnie, że w tej chwili wyrzekłam się w części moich uprzedzeń do

muzyki. Ołtarz przybrany był w kwiaty, jaśniał światłem, a wszystkie szczegóły przystrojenia, które się odbywało pod kierunkiem artystycznego gustu Junony, zachwycały obecnych.

Mąż mój wsunął drżącą ręką obrączkę ślubną na mój palec, przygryzając piękny swój wąsik, by ukryć drganie ust. Był daleko więcej wzruszony odemnie, choć spojrzenie jego mówiło mi to, cobym rada była słyszeć powtarzane wiecznie...

A doprawdy, daremnie chyba szukaćby na ziemi i na wszystkich innych planetach wszechświata twarzy tak rozpromienionej, jak nią była w dniu owym twarz mojego proboszcza.

KONIEC.

## OD REDAKCYI.

---

Chcąc wzmocnić i ustalić łączność redakcyi z czytelnikami, wprowadzamy niniejszą rubrykę, która zawierać będzie zarówno zawiadomienia wprost od redakcyi pochodzące, jak i odpowiedzi jej na propozycye lub pytania czytelników.

W zeszłorocznym plebiscycie daliśmy dowód, jak tej łączności pragniemy, a ze swej strony prenumeratorowie nasi mieli sposobność zauważyć, że od tej pory ulepszyliśmy wydawnictwo pod wielu względami, korzystając z nadesłanych nam wskazówek i życzeń.

W ostatnich czasach nadto przedsięwzięliśmy reorganizacyę prac redakcyjnych w tym duchu, żeby im zapewnić większą sprężystość i szybkość w przeprowadzeniu wytkniętego planu. Dzięki temu, będziemy mogli lepiej odpowiedzieć potrzebom chwili i nadać „Bibliotece“ więcej pożądanej żywotności.

O szczegółowych ulepszeniach i nowych projektach na przyszłość powiadomimy czytelników w swoim czasie.

---

P. L. Sk. w Sułkowicach. Zapewne Sz. Pan już otrzymał „Słowaków.“ Za uznanie serdecznie dziękujemy. Mamy nadzieję, że następne kwartały tem więcej Sz. Pana zadowolnią.

*P. S. Z. w Siedlcach.* List Szan. Pana jest tak niedbale napisany, że bynajmniej nie zachęca do powierzenia Panu przekładu; zresztą posłkujemy się tylko przekładami piór wytrawnych.

*P. N. P. w Petersburgu.* Nie obiecywaliśmy i nie mogliśmy obiecywać, że Literaturę Chmielowskiego ukończymy w roku bież., gdyż sam autor jeszcze rękopisu nie ukończył. Drukujemy tomy *natychmiast* po otrzymaniu oryginału od autora. Chcąc wydać porządnie, nie można drukować prędzej; same korekty, przesyłane do Zakopanego, zajmują co najmniej kilka tygodni czasu. Zresztą, czy Sz. Pan na seryo mógłby żądać, żeby wydawca brał 2 rb. 50, zwracał 4 rb. i jeszcze w dodatku darowywał 11 tomów Biblioteki? A takby wypadło, gdyby zamiast jednego, wychodziły dwa tomy Literatury na kwartał. Obiecywaliśmy tylko, że „wartość księgarska Literatury pokryje całoroczną prenumeratę Biblioteki“ — i tak jest. Niech Sz. Pan sprawdzi rachunkiem, a przekona się, że jeszcze żadne dzieło ilustrowane polskie nie było wydane tak tanio, jak Literatura Chmielowskiego w cenie prenumeracyjnej „Biblioteki.“ Prawdą jest tylko to, że wydanie I go tomu opóźniło się o kwartał — ale na tem najwięcej stracił wydawca i gdyby był mógł, z pewnością byłby wcześniej rozpoczął wydawnictwo. Prosimy o trochę względności dla pracy, która bynajmniej nie jest lekką, ani łatwą. — Co zaś do tego, żebyśmy dawali więcej takich dzieł oryginalnych jak Literatura Chmielowskiego — nie mamy nic przeciwko temu — prosimy tylko o wskazanie, gdzie ich dostać można?.. Będziemy nieskończenie wdzięczni za pośrednictwo. Gdyby Sz. P. znał lepiej stosunki literackie, toby wiedział, że dzieła takie, jak Literatura Chm. ukazują się raz na kilkanaście lat, jeżeli nierzadziej, że zatem pięćdziesięciu dwóch tomów rocznie zapełnić nimi nie można.

*P. St. T. w Warszawie.* Podróż Hedina „Przez pustynie Azyi“ jest rzeczywiście doskonałą i dla nas odpowiednią, ale z łaskawej propozycji korzystać nie możemy, gdyż nad przekładem tego dzieła już od miesiąca pracuje dla „Biblioteki,“ prof. Wiktor Doleżan z Tarnowa, znany geograf.

*P. W. B. w Warszawie.* Taki program mógłby być wykonany tylko przez specjalne Wydawnictwo Klasyków. My mu.

simy dawać przeważnie rzeczy nowe. — Co do innych punktów podzielamy zdanie pańskie, ale 1-o, musimy się trzymać w ramach koncesyi, a 2-o czyż podobna, żebyśmy cały rok drukowali dzieła jednego autora? — Po N. R. damy między innymi wyborne dzieło prof. Lassara Cohn'a p. t. „Chemia życia codziennego.“

*P. B. M. L. w Lwowie.* Z łaskawej propozycyi korzystać nie będziemy.

*P. P. w Krakowie* Nowelle drukujemy tylko wyjątkowo. Ta forma, wcale nie łatwiejsza od większej powieści, a nadużywana przez mierne talenty, znużyła czytelników.

*P. F. E. w Warszawie.* Dramatów nie drukujemy.

*P. S. K. w Łodzi.* Nieregularne nadsyłanie prenumeraty jest wielkiem utrudnieniem dla stron obu. Rzeczywiście tracimy nieraz prenumeratorów przez to, że z upływem terminu wstrzymujemy wysyłkę, bo niejedyn, tak jak Sz. Pan, miał zamiar dalej prenumerować i tylko się opóźnił. Ale na to rady nie ma. Publiczność musi się pilnować terminów, bo inaczej my nie bylibyśmy w stanie uregulować wysokości nakładu. Ciągłe zaś dobijanie stukilkudziesięciu tomów jest fizykiem niepodobieństwem.

*Prof. Z. w Charkowie.* Uprzejmie dziękujemy za życzliwe uwagi, ale nie wydaje nam się słusznym zarzut Sz. Pana, że w ostatnich czasach dajemy za wiele powieści. Staramy się zawsze zachować równowagę między lżejszą i poważniejszą treścią tomów. W następujących kwartałach znajdzie Sz. Pan cały szereg prac historycznych, żądanej treści.

---

**Trzeci tom Historii „Literatury Polskiej“ P. Chmiewskiego ukaże się za tydzień.**







## DOTYCHCZAS WYSZŁY:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Powieści poetyckie**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 2, 3 i 4. Bolesławita. **Tułacze**, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Pługa*.
5. Gustaw Le Bon. **Psychologia rozwoju narodów**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowelle**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego**, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy*.
- 8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. **Dzieje Księstwa Warszawskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
11. Wiktor Gomulicki. **Cudna Mieszczka**, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
12. Jan Kochanowski. **Psalterz Dawidów**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perelka**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
17. Teodor Jeske-Choiński. **Stłumione Iskry**, powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
18. Juliusz Słowacki. **Poemata**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studjum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiiego*.
20. Maryan Gawalewicz. **Szkice i obrazki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi (1815—1825)**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
- 22 i 23. Franciszek Wężyk. **Władysław Łokietek**, powieść historyczna, z przedmową *Juliana Mohorta*.
24. Roman Plenkiewicz. **Kształcenie młodzieży** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.

Tom.

- 26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. **Pojata, córka Lezdejki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
30. Julian Ochorowicz. **Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu**, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*, z ilustr.
31. Klemens Junosza. **Na zgliszczach**, powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 32 i 33. Anna Potocka. **Pamiętniki**, tłomaczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
34. H. Lachambre i A. Machuron. **Wyprawa Andréego balonem do bieguna**, w przekładzie M. O., z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami.
- 35 i 36. Berta baronowa Suttner. **Precz z orężem!** historia prawdziwa, obrobił Włodzimierz Trąpczyński, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
37. Fryderyk hr. Skarbek. **Pamiętniki Seglisa**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 38 i 39. Fridtjof Nansen. **Podróż do bieguna północnego**, w przekładzie i z przedmową *St. Janiszewskiego*, z ilustr.
- 40, 41, 42. Wiktor Hugo. **Rok dziewięćdziesiąty trzeci**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
43. Klementyna z Tańskich Hofmanowa. **Dziennik Franciszki Krasieńskiej**, z przedmową *T. Jeske-Choińskiego*.
44. Wiktor Biernacki. **Nowe dziedziny widma**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami.
- 45 i 46. Hr. A. K. Tołstoj. **Książę Srebrny**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
47. Juliusz Słowacki. **Beniowski**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 48 i 49. Teodor Tomasz Jeż. **Szandor Kowacz**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
50. Adam Krechowicki. **Stella.—Tartówna**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
51. G. Krahmer. **Syberya i znaczenie wielkiej kolei Syberyjskiej**, w tłomacz. i z przedmową *Włodz. Trąpczyńskiego*.
- 52, 53, 54, 58. **Dzieje Narodu Polskiego**, z przedmową *Władysława Smoleńskiego*, z mapą dawnej Polski.
55. Adolf Dygasiński. **Wilk, psy i ludzie. — W puszczy**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 56, 57. Marek Twain. **Przygody Huck'a**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
59. **Pamiętniki Franciszka Karpińskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 60, 61. J. I. Kraszewski. **Barani Kożuszek**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
62. Marya Rodziewiczówna. **Straszny Dziadunio**, z przedmową *Adama Pługa*.
- 63, 64, 65. L. Gallet. **Kapitan Czart. Przygody Cyrana de Bergerac**, przekład Gomulickiego, z przedm. *Święcickiego* z ilustr.

Tom.

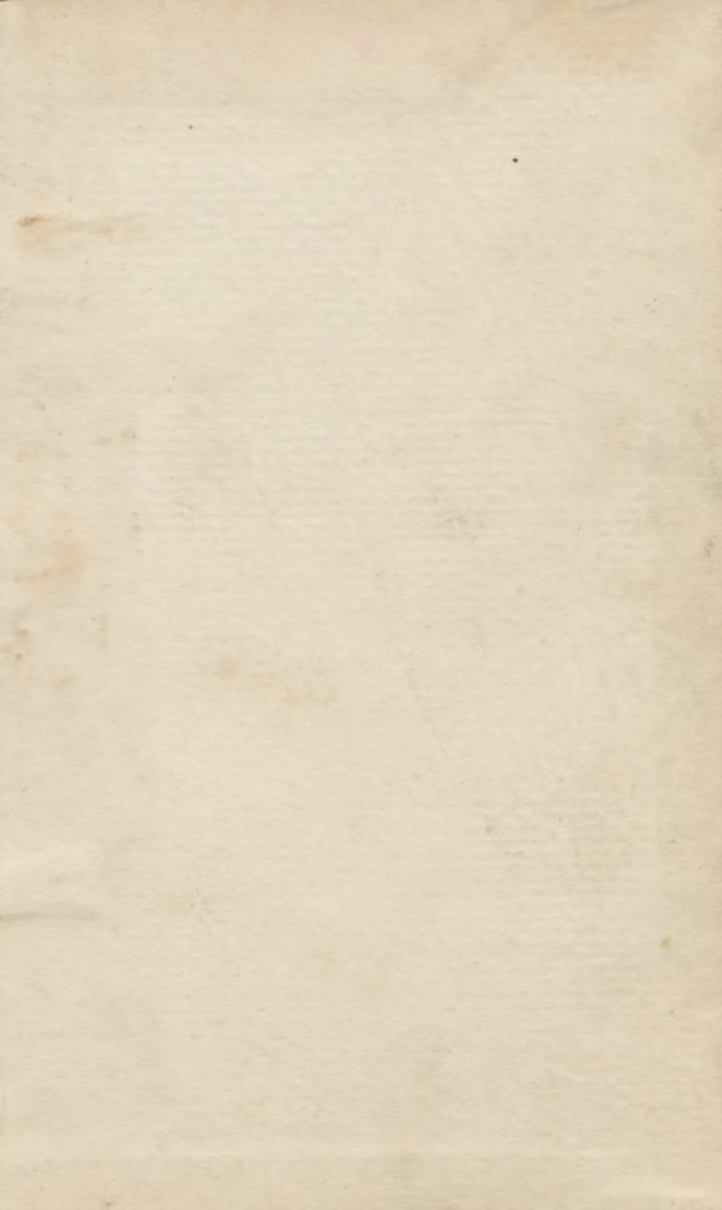
- 66, 67. Oskar Mysing. **Berezyna**, w przekładzie i z przedmową *Włodzimierza Trampczyńskiego*.
68. Konstanty Rengarten. **Pieszko do Chin**, w przekładzie Henryka Wernica, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
69. C. F. Gordon Cumming. **Życie w Chinach**, w przekładzie d-ra Wik. Wolskiego, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
70. Michał Bałucki. **Przekłète pieniądze**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 71, 72. Ferdynand Hoesick. **Miłość w życiu Zyg. Krasieńskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 73, 74. Kajetan Kraszewski. **Bartochowski**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 75, 76, 77, 78, 79, 80. Cervantes. **Don Kiszot**, w przekładzie W. Zakrzewskiego, z przedmową *J. A. Święcickiego*, z ilustracjami G. Dorégo
81. Edmund Biernacki. **istota i granice wiedzy lekarskiej**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- 82, 83. Anna Neumanowa. **Obrazy z życia na Wschodzie**, z przedmową *J. A. Święcickiego*, z ilustracjami.
84. Stanisław Grudziński. **Półpanek**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 85, 86. Teod. Tom. Jeż. **Nad rzekami Babilonu**. Powieść.
87. Teodor Jeske-Choiński. **Historyczna powieść polska**. Studium krytyczno-literackie.
88. Włodzimierz Zagórski. **Wybór poezyi**, z przedmową *Wiktora Gomulickiego*.
- 89, 91. **Pamiętniki Szymona Konopackiego**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
90. Maciej Wierzbiniński. **Nowelle**, z przedmową *T. Jeske-Choińskiego*.
- I. Piotr Chmielowski. **Historja Literatury Polskiej**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracjami.
92. S. M. Roguski. **Wilcze gardła**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
- 93, 94. **Pamiętniki Sierżanta Bourgogne'a**, w przekładzie i z przedmową *Walerego Przyborowskiego*.
95. Ks. A. Brykczyński. **Listy z Włoch o sztuce kościelnej**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracjami.
- 96, 97. Oskar Mysing. **Wróg Napoleona**, w przekładzie Topora.
- 98, 99, 100. Maurycy Jokay. **Serce kamienne**, z przedmową.
101. Roman Zawiliński. **Słowacy ich życie i literatura**, z przedmową *J. A. Święcickiego*, z ilustracjami.
102. Sylweryusz Kondratowicz. **Całą siłą**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- II. Piotr Chmielowski. **Historja Literatury Polskiej**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*, z ilustracjami.

Tom.

103. Gustaw Doliński. **Jak u nas chowano dzieci?** (Zarys dziejów pedagogii polskiej), z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
  104. Sewer. **Wśród pokus**, powieść z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
  105. A. Seidel. **Transwaal i Boerowie**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*, z ilustracyami i mapką.
  - 106, 107, 108 T. T. Jeż. **Ci i tamci**. Powieść z czasów kampanii węgierskiej
  109. Julian Mohort. **Przelotne wrażenia z podróży do Rzymu**, z ilustracyami.
  110. Władysław St. Reymont. **Sprawiedliwie!** z przedmową *Teodora Jeske-Chońskiego*.
  111. **Pamiętnik Generała Wysockiego**, z ilustracyami.
  112. Jan de la Brète. **Mój Wuj i mój Proboszcz**, z przedmową *Juliana Mohorta*.
-







523

Biblioteka WSP Kielce



0143893